



Ks. Alfred Cholewiński SJ

## **Chrześcijaństwo ponownie odkrywane**

*Wybór konferencji i homilii wygłoszonych  
w Radiu Watykańskim w latach 1976–1985*

## *Spis treści*

Przedmowa	5
Telegram papieski	9
Relacja z pogrzebu o. Alfreda Cholewińskiego SJ	9

### Rozdział 1.

STARY TESTAMENT W RĘKU CHRZEŚCIJANINA	12
Biblia — słowo Boga skierowane do mnie.	12
Historia ludu wybranego naszą historią.	16
Wszyscy znajdujemy się w niewoli.	20
Dam wam serce nowe.	24
Zbawieni za darmo.	29
Tylko Bóg może mnie wybawić.	34
Wiara rodzi się z przepowiadania i słuchania.	38

### Rozdział 2.

ŻYCIE PIERWSZYCH CHRZEŚCIJAN	42
Rozwój pierwszych wspólnot chrześcijańskich.	42
Społeczny przekrój pierwszych wspólnot chrześcijańskich.	46
Wezwani, aby być znakiem sprzeciwu w świecie.	50
Patrzcie, jak oni się miłują.	55
Duch ewangelizacji.	59
Całkowicie przemienieni przez Ewangelię.	62
Modlitwa i sprawowanie liturgii.	67
Szkoła życia chrześcijańskiego.	71

### Rozdział 3.

PROROCY STAREGO TESTAMENTU MÓWIĄ DO NAS	76
Prawo Boże prawem sprawiedliwości, miłości i miłosierdzia.	76
Mieście w nienawiści zło, a miłujcie dobro.	80
Bóg brzydzi się fałszywą pobożnością.	83
Zapłata za grzech jest śmierć.	87
Szukajcie Boga, a żyć będziecie.	90

## *Spis treści*

### Rozdział 4.

EWANGELIA W DNIACH TRUDNYCH	95
Jezus i Jego ojczyzna pod okupacją.	95
Oddajcie Cezarowi to, co należy do Cezara.	97
Korzenie niesprawiedliwości politycznej i społecznej tkwią w sercu człowieka.	101
Nie stawiajcie oporu złemu.	105
Nadstaw drugi policzek.	106
Jezus albo Barabasz — dramat wyboru.	108
W Chrystusie wszyscy jesteście wolni.	110
Doświadczenie Boga żywego czyni nas ludźmi nowymi.	112

### Rozdział 5.

CHRZEŚCIJAŃSTWO PONOWNIE ODKRYWANE	115
Czy istotnie trzeba odkrywać dziś chrześcijaństwo?	115
Miłujcie się tak, jak Ja was umiłowałem.	117
Krzyż kręgosłupem chrześcijanina.	120
Chrześcijanin człowiekiem w drodze.	122
„Człowiek według ciała”	125
„Człowiek według ciała” człowiekiem słabym.	128
Chrześcijanin nowym stworzeniem.	131
Odrodzeni do nowego życia.	133
Usprawiedliwieni przez wiarę.	136
Wierzyć, że Chrystus zmartwychwstały jest Panem naszego życia.	139
Zbawieni przez głupstwo przepowiadania.	141
Wzrastanie w wierze.	144
Pascha Pana sercem chrześcijaństwa.*	147

### Rozdział 6.

HOMILIE	151
Odrzućcie głupotę, a będziecie żyli.	151
Ja jestem Dobrym Pasterzem.	153
Uwierzmy w imię Jezusa i miłujmy się wzajemnie.	156
Miłujcie się tak, jak Ja was umiłowałem.	159

## *Spis treści*

Duch Święty Pocieszyciel będzie was prowadził.	162
Królestwo Boże podobne jest do ziarnka gorczycy.	164
Niech z nami idzie Bóg miłosierny i miłujący.	167
Nie samym chlebem żyje człowiek.	170

*Ilustracja na okładce: Chrystus Eucharystyczny, ikona z XVI wieku.  
W zbiorach Muzeum Historycznego w Sanoku.  
Wikimedia Commons.*

*Skład i łamanie: Piotr Matusiewicz, wrzesień 2015 r.  
Na podstawie tekstów umieszczonych na portalu [www.mateusz.pl](http://www.mateusz.pl)*

## **Przedmowa**

*Kiedy 26 stycznia 1988 roku około godziny 17<sup>00</sup> jezuici z Warszawy przekazali telefonicznie do Sekcji Polskiej Radia Watykańskiego wiadomość o śmierci naszego współbrata Alfreda, zaczęliśmy pośpiesznie przygotowywać krótką notę biograficzną, by jeszcze tego samego wieczoru podać przez Radio Watykańskie wiadomość o Jego śmierci i przypomnieć Jego głos znany naszym słuchaczom. Ks. Alfred Cholewiński występował przecież wielokrotnie przed mikrofonami tej rozgłośni prowadząc audycje o tematyce biblijnej. Kilkakrotnie też pracował w Sekcji okresowo, zastępując któregoś ze stałych pracowników. Spontanicznie pomysłiliśmy o Jego ostatnim cyklu: „Chrześcijaństwo ponownie odkrywane”. Gdy zamierzaliśmy odtworzyć fragment z którejś z tych audycji, uświadomiliśmy sobie, że w naszym archiwum nie zachowało się żadne nagranie... Musieliśmy zadowolić siebie i naszych słuchaczy odtworzeniem krótkiego fragmentu jednej z audycji z okresu, kiedy ks. Alfred kierował pracą w Sekcji podczas podróży Ojca Świętego Jana Pawła II do Brazylii, w lipcu 1980 roku. Kilka dni po pogrzebie nadeszły do nas z Polski prośby o udostępnienie nagrań z pogadankami biblijnymi głoszonymi w Radio Watykańskim przez ks. Cholewińskiego. Niestety, z powodu ich braku nie możemy spełnić tych życzeń. Zachowane jednak zostały maszynopisy.*

*Wiedzieliśmy, że pogadanki biblijne ks. A. Cholewińskiego cieszyły się dużym powodzeniem: cały cykl „Życie pierwszych chrześcijan” wkrótce po jego nadaniu w radio ukazał się drukiem w zeszytach rzymskiego ośrodka dla pielgrzymów „Corda Cordi”, prowadzonego wówczas przez ks. Kazimierza Przydatka S.J, niektóre z nich drukowane były w czasopiśmie, przepisywane na maszynie, powielane w „drugim obiegu” w trudnych do skontrolowania ilościach i rozprowadzane prywatnie wśród osób zainteresowanych ich treścią; ostatni zaś cykl „Chrześcijaństwo ponownie odkrywane” na życzenie słuchaczy nadaliśmy przez Radio Watykańskie dwukrotnie: w okresie letnim 1984 roku i w okresie Wielkiego Postu 1985 roku. Po śmierci Autora odszukaliśmy więc w naszym archiwum teksty wszystkich Jego pogadanek i wystąpień przed mikrofonami Rozgłośni Watykańskiej, by wydać je w formie książki, którą właśnie oddajemy do rąk polskiego czytelnika. Przygotowując tekst do druku staraliśmy się wiernie zachować styl Autora, który mówił do nie znanego mu wprawdzie i niewidocznego słuchacza, a nie pisał dla niego książki. Trzeba to sobie uświadomić przed zetknięciem się z jej treścią. Lektura bowiem tej książki*

powinna być raczej słuchaniem zawartego w niej przekazu niż czytaniem jej treści ujętej w formę literacką. Właśnie w trosce o zachowanie charakterystycznego dla Autora stylu mówienia i określenia ludzkich i Bożych spraw, objawionych w Piśmie Świętym oraz przekazanych w tradycji Kościoła i życia chrześcijańskiego, przywrócićiliśmy niektóre zdania, określenia czy fragmenty tekstu przygotowane do mówienia, ale z różnych racji nie wygłoszone w audycji; oddają one bowiem pełniej myśl Autora przelaną na papier, co nie zawsze było konieczne w audycji radiowej, gdy Autor mógł akcentem, siłą i barwą głosu zatrzymać uwagę słuchacza na przekazywanej treści.

Treść tej książki nie tylko jest owocem biblijnych studiów ks. Alfreda, ale przede wszystkim refleksją nad doświadczeniem chrześcijańskim, którego On doznał na drodze wspólnot neokatechumenalnych. Ten szczegół nie jest bez znaczenia. Ks. A. Cholewiński wszedł na drogę tych wspólnot odkrywając tam praktyczne zastosowanie studiów, które odbywał w tym czasie w Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie. Dostrzegł wówczas moc przepowiadania, o której wielokrotnie mówi Pismo Święte. Był świadkiem, jak słowo Boże przepowiadane i przyjmowane we wspólnocie zaczyna przekształcać serce człowieka, prowadząc stopniowo do pełnej dojrzałości chrześcijańskiej. Na początku drogi neokatechumenalnej był tym tak poruszony, iż w przekazywaniu Ewangelii nie chciał posługiwać się inną formą, jak tylko bezpośrednim przepowiadaniem. Wiem o tym z osobistych długich rozmów, jakie z Nim prowadziłem, usiłując nakłonić Go do pisania na tematy biblijne i do prowadzenia pogadank radiowych w formie katechez. Początkowo ks. Alfred nie chciał się na to zgodzić twierdząc, iż tę formę przepowiadania, z którą się spotkał, można stosować jedynie wobec konkretnych ludzi, którzy potem będą mieli sposobność kontynuowania wskazywanej im drogi i osobistego doświadczenia spełniających się obietnic otrzymanych podczas słuchania katechez. Na usilne prośby i nalegania, by nie ukrywał swoich talentów, wiedzy i doświadczenia, zgodził się przygotować dla polskiego programu Radia Watykańskiego audycje biblijne i omówić niektóre tematy — prowadził przecież wykłady z zakresu nauk biblijnych na Wydziale Teologicznym „Bobolanum” Księży Jezuitów w Warszawie i w Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie.

Treść powstałej z tych wystąpień książki ułożona jest chronologicznie, to znaczy według czasu nadawania poszczególnych cykli audycji. Łatwo dostrzec, iż pierwsze cykle pogadank mają charakter informacji, wyjaśnienia, przekazu pewnego zasobu wiedzy historycznej i biblijnej. Mniej widoczna jest natomiast strona katechetyczna — przepowiadanie Ewangelii. Stopniowo ten drugi aspekt — kerymatyczny — dochodzi również do głosu i zawarty jest już w sposób „nie ukryty” w ostatnim cyklu pogadank i homiliach głoszonych podczas mszy św. transmitowanych z kaplicy Radia Watykańskiego. Okazało się potem, iż ten

właśnie sposób przekazywania treści biblijnych, oparty na osobistym doświadczeniu, stanowił odpowiedź na oczekiwania odbiorców. Wielu z nich pytało potem: I co dalej? W jaki sposób można tej „nowej” rzeczywistości chrześcijańskiej doświadczyć w życiu osobistym? Niektórzy poszli drogą przebytą przez ks. Alfreda, który dzielił się swoim doświadczeniem z innymi — drogą wspólnot neokatechumenalnych. Wyrażają oni teraz wdzięczność Bogu za to, iż postawił na ich drodze ks. Alfreda, czy to w sposób bezpośredni — jako katechistę głoszącego im katechezy, czy pośredni — poprzez drogę neokatechumenalną, zapoczątkowaną w Polsce w 1975 r. (w kościele Księży Jezuitów w Lublinie) przez Niego i ekipę świeckich katechistów przybyłych wtedy z Włoch. Wspólnot neokatechumenalnych w Polsce jest obecnie już ponad dwieście, a członków — kilkanaście tysięcy \*. Pragną oni jednego: doświadczyć w swoim codziennym życiu Dobrej Nowiny, którą Jezus z Nazaretu przyniósł światu objawiając bezgraniczną miłość Boga Ojca do człowieka, streszczoną w słowach zapisanych w Ewangelii św. Jana: Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne (J 3,16).

O potrzebie i konieczności tej właśnie wiary mówi ks. Alfred w swoich pogadankach. Czyni to zaś w taki sposób, iż uważny czytelnik-słuchacz wyczuwa, że nie chodzi tu jedynie o zdobycie wiedzy, lecz o wejście na drogę, na której już na tym świecie można by osobiście doświadczyć, czym jest życie wieczne płynące z wiary w Chrystusa zmartwychwstałego, który ma moc zwyciężyć w sercu każdego z nas śmierć spowodowaną grzechem i wyzwolić to serce z lęku, napełniając pokojem tego, który w Niego uwierzy... Zainteresowanie treścią tych pogadank wskazuje, iż wiele osób poszukuje drogi takiego przeżywania i doświadczenia swojego chrześcijaństwa. Oby pomogło im w tym poszukiwaniu głoszenie Dobrej Nowiny zawarte w tej książce i świadectwo wiary jej Autora, który — jak czytamy w telegramie papieskim przesyłanym po Jego śmierci — swoje życie i zdolności poświęcił zgłębianiu natchnionego Słowa Bożego, znajdując w nim inspirację do duszpasterskiej posługi niesionej zwłaszcza wspólnotom neokatechumenalnym.

*ks. Florian Pełka SJ*

*Kierownik Sekcji Polskiej  
Radia Watykańskiego  
Rzym, 15 sierpnia 1988 roku*

*W Uroczystość Wniebowzięcia  
Najświętszej Maryi Panny*

Gdyby w upalnym dniu, nam spragnionym, podano dwie szklanki wody informując, że w pierwszej woda została zaczerpnięta z ujścia Wisły do Bałtyku, a w drugiej pochodzi z samych źródeł Wisły, bez wahania sięgnęlibyśmy po wodę ze źródła – czystą, rokującą zdrowie. Podobnie rzecz się ma w sferze ducha. Nie bez wpływu Ducha Świętego. Ojcowie Soboru Watykańskiego II wiele dobrego w tym względzie uczynili.

W wierzących rodzi się i rośnie głód poznania Pisma Świętego, nie tyle jako źródła wiedzy (ta bowiem po dwóch tysiącach lat jest ogromna), co raczej jako mocy Bożej przemieniającej człowieka.

W tym klimacie w latach 1980-81 grupa Kapłanów — Jezuitów, prowadzących ośrodki akademickie prosiła swego kolegę ks. Alfreda Cholewińskiego, biblistę z wykształcenia, o pomoc.

Przez dwa lata z rządu pod koniec czerwca spotykaliśmy się w liczonym gronie w Zakopanem u Jezuitów pod Gubałówką na „Górcie”, by przez kilka dni słuchać wtajemniczeń w dynamikę życia chrześcijańskiego według Pisma Świętego.

Dobrze się stało, że te wykłady w drugim roku naszych spotkań zostały utrwalone na taśmie magnetofonowej. Z czasem spisał je w formie skryptu kleryk teologii zauroczony wartością syntez duchowości biblijnej.

Całe lata ów skrypt żył i karmił wielu (zwłaszcza na „obozach biblijnych”) bezustannie powielany na ksero. Co wartościowe, piękne i dobre broni się samo. Nie gasnące „powodzenie” skryptu upomniało się o przygotowanie do druku.

Bywają książki, które narodziły się drukiem tylko dlatego, że ich autorzy tego pragnęli, a czytelnicy a czytelnicy postanawiają być bardziej ostrożni przy kolejnych zakupach. Bywają książki, których „życia” pragnęli i autor i czytelnicy.

W przypadku tej książki jej autor mógł co najwyżej z Nieba wpływać na jej narodziny. W gruncie rzeczy jej walory powołały ją do życia drukiem. Tym samym jej autor będzie mógł kontynuować swe wykłady spod Gubałówki dla spragnionych „wód życia” w Księgach Natchnionych, zwłaszcza że w jego życiu Wiara i Nadzieja już zgasły, a wybuchła Miłość.

o. Mieczysław Wołoszyn SJ



## Telegram papieski

Ks. Alfred Cholewiński SJ zmarł we wtorek 26 stycznia 1988 roku o godz. 16<sup>15</sup> w warszawskim szpitalu przy ul. Banacha na rozległy zawał serca. Wiadomość o Jego śmierci przekazana została Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II, który znał osobiście ks. Alfreda i wiedział o Jego pracy apostolskiej we wspólnotach neokatechumenalnych. Substytut Sekretariatu Stanu arcybiskup Eduardo Martinez Somalo przesłał w imieniu Papieża na ręce przełożonego Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Księży Jezuitów telegram następującej treści:

Przewielebny Ojciec Prowincjał Stanisław Opiela SJ  
ul. Narbutta 21, 02-536 WARSZAWA, POLONIA

*Jego Świątobliwość Jan Paweł II uczestniczy w bólu i żałobie po śmierci ks. Alfreda Cholewińskiego, duchowego syna św. Ignacego. Odszedł po wieczną nagrodę do Boga gorliwy kapłan, który swoje życie i zdolności poświęcił zgłębianiu natchnionego Słowa Bożego, znajdując w nim inspirację do duszpasterskiej posługi niesionej zwłaszcza wspólnotom neokatechumenalnym. Ojciec Święty modli się o wieczny pokój dla zmarłego, a wszystkim pogrążonym w żałobie z serca błogosławi.*

abp E. Martinez

## Relacja z pogrzebu o. Alfreda Cholewińskiego SJ

Pogrzeb ś.p. ks. Alfreda Cholewińskiego odbył się w poniedziałek 1 lutego 1988 roku. Następnego dnia Radio Watykańskie w programie polskim przekazało na ten temat następującą korespondencję telefoniczną przygotowaną przez jednego z uczestników pogrzebu i ucznia Zmarłego oraz współpracownika Sekcji Polskiej Radia Watykańskiego, studenta Fakultetu Teologicznego „Bobolanum” w Warszawie, ks. Andrzeja Majewskiego SJ:

Wczoraj, w poniedziałek, odbył się w Warszawie pogrzeb ś.p. Księdza Alfreda Cholewińskiego. O jego śmierci Radio Watykańskie po-

informowało w ubiegły wtorek. Wielu słuchaczy знаło zapewne Księdza Alfreda z jego wystąpień w polskich audycjach, emitowanych przez rozgłośnięcie papieską. Był biblistą, w oczach młodych jezuitów — niezastąpionym profesorem. Wspaniale wprowadzał w świat Biblii, uczył go rozumieć i kochać. Uczył żyć Ewangelią, mobilizował do takiego życia. Ale nie praca naukowa stanowiła o jego popularności, więcej, o ogromnej sympatii i poważaniu, jakim się powszechnie cieszył.

Od 1975 roku znany był jako inicjator drogi neokatechumenalnej w Polsce. Dlatego tak liczne elementy liturgii neokatechumenalnej towarzyszyły ostatniej drodze ś.p. Księdza Alfreda. Jego trumna wystawiona została w niedzielę po południu w kaplicy przy Kolegium Księży Jezuitów w Warszawie, gdzie żył i pracował przez ostatnie lata. W niedzielę i przez całą prawie noc z niedzieli na poniedziałek jezuiti oraz całe wspólnoty neokatechumenalne z Warszawy i okolic gromadziły się tutaj na wspólnej modlitwie. Nie umiem powiedzieć, ile osób przybyło, na pewno kilka tysięcy. Modlitwy te miały charakter dziękczynienia Bogu za życie Księdza Alfreda.

Na miejsce poniedziałkowej liturgii pogrzebowej obrano stołeczny kościół Św. Augustyna, który uchodził za jeden z największych w Warszawie. Liczono się bowiem z możliwością przybycia przedstawicieli wspólnot neokatechumenalnych z całej Polski. I stało się. Pomimo mrozu, normalnego dnia pracy w Polsce, wreszcie pomimo naszych polskich, nie kończących się kłopotów z komunikacją, do kościoła Św. Augustyna przybyła, jak się ocenia, ponad trzytysięczna rzesza przyjaciół Księdza Alfreda. Niektórzy przyjechali z daleka: z Krakowa, Lublina, Gdańska, Wrocławia. Nie tylko, przybyła blisko pięćdziesięcioosobowa grupa Włochów z rzymskich wspólnot neokatechumenalnych, tych najstarszych. Do jednej z nich należał Ksiądz Alfred Cholewiński. Niezwykła to była liturgia. Nie tyle z racji wielkości zgromadzenia, ile bardziej jeszcze ze względu na modlitewne zaangażowanie obecnych, siłę jego wyrazu. Była to jakaś chóralna modlitwa wdzięczności Bogu za życie tego kapłana jezuity i prośba o jego zbawienie. Ofierze mszy św., koncelebrowanej przez prawie stu pięćdziesięciu kapłanów, przewodniczył biskup sufragan warszawski Władysław Miziołek. Wraz z nim liturgię eucharystyczną sprawowali biskupi Marian Duś z Warszawy, Edward Samsel z Łomży, Ryszard Karpiński z Lublina, oraz Prowincjałowie obu polskich prowincji Towarzystwa Jezusowego.

Na początku mszy św. Ojciec Prowincjał Stanisław Opiela, przełożony Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Jezuitów, odczytał telegram kondolencyjny przesłany z Watykanu w imieniu Ojca Świętego w związku ze śmiercią Księdza Alfreda. Homilię wygłosił ksiądz Mieczysław Wołoszyn, jezuita, duszpasterz akademicki ze Szczecina. Na zakończenie mszy św. biskup Władysław Miziołek zwrócił się w kilku słowach do obecnych, podkreślając, między innymi, że wydarzenie śmierci Księdza Alfreda Cholewińskiego należy odczytywać jako Boży znak czasu wskazujący na to, iż neokatechumenat w Polsce dojrzał już w pełni do swych zadań, że teraz sam musi realizować swój cel.

Bezpośrednio po mszy św. kondukt pogrzebowy z trumną Księdza Alfreda ruszył w kierunku warszawskich Powązek. Rozciągał się na pewno na kilkaset metrów. Przewodniczył mu, a później także modlitwom przy grobie, biskup Marian Duś. Przez całą drogę, niemal nieprzerwanie, śpiewano pieśni tradycyjne i neokatechumenalne. Przy grobowcu Księży Jezuitów, w którym spoczęło ciało Księdza Alfreda, odtworzono z taśmy magnetofonowej fragment jednej z ostatnich jego katechez, jakie głosił po różnych wspólnotach neokatechumenalnych. Mówił w niej o chrześcijańskiej postawie gotowości na śmierć.

Zainicjowane w Polsce przez Księdza Alfreda Cholewińskiego dzieło trwa i rozwija się. O jego żywotności świadczy choćby ów tłum ludzi przybyłych na wczorajszą liturgię. Dziś w naszym kraju istnieje ponad dwieście pięćdziesiąt wspólnot neokatechumenalnych, skupiających blisko dziewięć tysięcy osób. Wspólnoty te, zmierzając do pogłębienia chrześcijańskiej świadomości, coraz wyraźniej zaznaczają swoją obecność w różnych polskich diecezjach i pomnażają duchowe bogactwo Kościoła na naszej ziemi.

Świętej pamięci Księdzu Alfredowi Cholewińskiemu zawdzięczamy wiele. Już go pożegnaliśmy. Nie jesteśmy w stanie ukryć smutku, jakim okryła nas ta śmierć, ale jest też w nas iskra radości, nie tej powierzchownej, ale dogłębnej, która jest rezultatem rzeczywistego przezwyciężenia tragizmu ludzkiego losu. Jest to radość najpełniejsza, radość chrześcijańskiej nadziei.

LAUDETUR IESUS CHRISTUS!

## **Rozdział 1.**

### **STARY TESTAMENT W RĘKU CHRZEŚCIJANINA**

#### **Biblia — słowo Boga skierowane do mnie.**

W dzisiejszą niedzielę rozpoczynamy nowy cykl audycji o tematyce biblijnej. W obecnym, pierwszym odcinku podamy kilka uwag wstępnych dotyczących charakteru zaprojektowanego cyklu, tak by nasi słuchacze z góry wiedzieli, czego mogą się po nim spodziewać i z jakim nastawieniem mają otwierać swe radioodbiorniki.

Z Pismem Świętym jest tak, jak z jakimś obrazem będącym arcydziełem sztuki. Ktoś wpatrując się w niego może sobie stawiać rozmaite pytania. Np.: Na jakim płótnie obraz został namalowany? Jakich farb do niego użyto? Jakiej techniki? Czyim on jest dziełem? W jakim czasie powstał? Ile razy w ciągu swej historii był odnawiany i co przy tej okazji do niego domalowywano? Są to wszystko pytania uzasadnione i na miejscu, nie wyraża się w nich jednak najważniejsza postawa, z jaką winniśmy stawać przed dziełem sztuki. Każde dzieło sztuki woła o jedno: o kontemplację i zachwycenie się tym, co ono przedstawia; o wchłonięcie w siebie i wzbogacenie się treścią, którą pragnie nam przekazać. Podobnie Pismo Święte! Zajmując się nim można pytać: Jak ono powstawało? W jakiej kolejności? Kto i po co je w ciągu wieków poszerzał? Jakie funkcje pierwotnie pełniło? Jak są zbudowane (np. pod względem stylistycznym) jego poszczególne opowiadania? Jaki jest ich rodzaj literacki? Są to pytania jak najbardziej sensowne, nawet konieczne do właściwego zrozumienia Biblii i nie można ich, zwłaszcza przy naszej

-krytycznej mentalności, usuwać na bok; nie trafiają one jednak w sedno. Jedynym bowiem słusznym podejściem do Pisma Świętego jest to, które wyraża się w pytaniu: Co Bóg w tym słowie, które czytam, dziś chce do mnie powiedzieć? Taka postawa jest postawą wiary, że Biblia zawiera wiecznie aktualne słowo Boga dane Kościołowi (czyli konkretnie nam wierzącym) na jego wędrówkę poprzez wieki, będące dla Kościoła światłem, które oświeca, i pokarmem który syci. Nasze pogadanki niedzielne będą miały na celu uwypuklić właśnie tę zasadniczą stronę Pisma Świętego, by w ten sposób pokazać jego nigdy nie przebrzmiałą aktualność i przybliżyć je do naszego życia. Nie należy więc w nich szukać zaspokojenia ciekawości intelektualnej, która pragnie poszerzyć swoją wiedzę na temat Biblii i znać odpowiedzi na ataki wrogów jej Bożego pochodzenia. Nasze audycje biblijne pragną przyjść z pomocą tym, którzy chcieliby Pismo Święte czytać jako żywe słowo Boże, a nie potrafią wejść w jego żywą tkankę i zniechęceni odkładają je na bok, jako że im ono nic nie mówi. Istnieje bowiem jakaś tajemnicza przeszkoda, która odgradza nas od Biblii, czyni ją księgą obcą, którą nie wiadomo, jak powiązać z naszym konkretnym życiem.

Zatrzymajmy się przez chwilę nad tym niepokojącym zjawiskiem. Jakie są jego źródła? Nie tu jest czas i miejsce, by je szeroko analizować; wskaźmy jednak krótko na trzy przyczyny. Pierwsza leży w tym, że po prostu nie przychodzi nam na myśl, że Pismo Święte może i powinno być dla nas księgą życia. Przyzwyczailiśmy się traktować je jako opowiadanie relacjonujące nam, co się kiedyś w Izraelu, w życiu Jezusa z Nazaretu i w życiu Kościoła pierwotnego wydarzyło i co należy do bezpowrotnie minionej przeszłości. Wiemy też niejasno z naszego powierzchownego wykształcenia religijnego, że Biblia stanowi jakiś istotny element w fundamencie naszej wiary (dlatego nasz niepokój, gdy ktoś atakuje jej boski autorytet czy prawdomówność), ale przy tym wszystkim leży ona sobie spokojnie na półce — o ile w ogóle jest w naszym domu — pokryta kurzem, nie rozumiana, nie czytana. Wielu uważa, że to jest normalne i trudno, by było inaczej. Na tej samej zasadzie, na jakiej nie mamy ochoty na lekturę książki historycznej, która opowiada nam dzieje np. Hammurabiego — bo co to nas dziś może obchodzić — nie zaglądamy również do Biblii.

A oto druga przyczyna. Wydaje nam się, że najważniejsze w Piśmie Świętym jest to, czy dane opowiadanie jest aby historyczne. Wszystko inne jest drugorzędne. Tymczasem Biblia w tym właśnie względzie

nastęcza trudności. Nazbyt często wydaje się nam, że przyjęcie za prawdę historyczną wszystkiego, co Biblia podaje, po prostu nas ośmieszy. Lepiej więc usunąć na bok tę drażliwą kwestię i Pismem Świętym wcale się nie zajmować. Takie podejście jest jednak błędne. Nasze uwrażliwienie na to, czy Biblia rzeczywiście opowiada historyczną prawdę — i biada jej, jeśli tego nie robi — powoduje, że Biblia rzeczywiście się przed nami zamyka. Bo to prawda, że historia odgrywa w Piśmie Świętym istotną rolę — Biblia opowiada przecież dzieje ingerencji Boga w naszą historię — fundamentalne wydarzenia, o których ona opowiada, są więc bezsprzecznie prawdziwe. Pismo Święte nie jest jednak podręcznikiem historii, ono ją interpretuje, ukazuje jej głęboki, wierze tylko dostępny wymiar. To zakłada oczywiście, że podawane fakty naprawdę miały miejsce, jednak sposób ich przedstawiania odbiega nieraz bardzo od współczesnych kryteriów pisania historii. Autorzy biblijni, zgodnie z kulturą swoich czasów, uprawiali gatunki literackie, które są nam zupełnie obce i w naszym odczuciu zakrawają na legendę. Tego ciekawego i delikatnego problemu nie możemy tu szerzej omawiać, może jednak potrafimy po tych krótkich uwagach przestawić się w naszym podejściu do Pisma Świętego na inne tory. Niech naszym pierwszym pytaniem, z jakim podchodzimy do Biblii, nie będzie: Co w tym opowiadaniu, które właśnie przeczytałem albo usłyszałem, jest historią, a co nie? ale: Co w tym urywku Bóg chce do mnie powiedzieć? Zapamiętajmy to sobie głęboko — Biblia nie uważa siebie samej za podręcznik historii, ona jest słowem Boga objawiającego się w historii, skierowanym do każdego człowieka, także do ciebie i do mnie.

Najważniejsza przyczyna, dla której Pismo Święte w tym najistotniejszym wymiarze jest dla nas zamknięte, leży jednak jeszcze głębiej. By to lepiej zrozumieć, przypomnijmy sobie pewną oczywistą, ale zapomnianą prawdę. Biblia, choć wierzymy, że jej pierwszym autorem jest Bóg, nie spadła z nieba. Narodziła się ona w życiu ludu Bożego, najpierw Izraela, a potem Kościoła pierwotnego. Obydwie te społeczności powstały wskutek ingerencji Boga w historię ludzką i utrzymywały się w swym istnieniu dzięki temu, że ciągle na nowo doświadczały Bożego działania. To objawienie się Boga w wydarzeniach historycznych ukształtowało wiarę Izraela, a później Kościoła. Izraelici, apostołowie, pierwsi chrześcijanie poznawali Boga po tym, co On dla nich w ich życiu zrobił. Biblia jest wykwitem i świadectwem tego doświadczenia wiary. W niej Izrael i pierwotny Kościół opisał to, co przeżył i czego doświadczył.

U nich, pierwszych odbiorców tego Bożego Pisma, wywoływało ono efekt, jaki na młodym, zakochanym chłopcu wywołuje list, który on sam napisał do swej narzeczonej; przy jego ciągle nowym odczytywaniu drgają w nim wszystkie struny jego jestestwa, gdyż w liście tym odbija się jego doświadczenie miłości. Pozostańmy jeszcze na chwilę przy tym porównaniu, a zrozumiemy, dlaczego Biblia do nas, być może, nie przemawia. Jeżeli list kogoś zakochanego wpadnie w ręce kogoś, kto nie doświadczył podobnej miłości, będzie dla niego martwą literą. Stwierdźmy całkiem obiektywnie jeden fakt. Biblia jest dla wielu nawet wierzących i praktykujących katolików martwą literą, ona im nic nie mówi! Ten fakt jest poważnym dzwonkiem alarmowym. Postawmy sobie pytanie: Czy przypadkiem powodem tego zjawiska nie jest to, że brak nam doświadczenia wiary naszych ojców, z którego wypłynęło Pismo Święte? Czy nie jest może tak, że nasza religijność wskutek wielu czynników historycznych rozwinęła się według jakiegoś innego, nie biblijnego, schematu? Nie przeżywamy być może naszej wiary tak jak biblijny Abraham czy król Dawid, lub Maryja, Matka Jezusa, albo Paweł z Tarsu. Może to dlatego właśnie nasze życie nie współdrga z Pismem Świętym? Bóg dał Kościołowi Pismo Święte jako obowiązującą wiecznie normę wiary, do której Kościół musi się ciągle przymierzać. Wszelkie życie religijne, które nie rodzi się i nie rozwija tak, jak to jest opisane w Biblii, nie jest tym życiem, o które w chrześcijaństwie chodzi i które Bóg pragnie w chrześcijanach wzbudzać. Bóg bowiem, tak jak działał i zbawiał w Izraelu, jak działał w życiu, śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa, jak działał w życiu pierwotnego Kościoła, tak samo pragnie działać w nas, którzy jesteśmy przedłużeniem tej samej historii zbawienia, o której świadczy Biblia.

W tym miejscu może sami już dostrzegamy, jak nieodzowna jest dla chrześcijanina nieustanna lektura Pisma Świętego. W zamiarach Boga jest ona bowiem nie jedynym wprawdzie, ale niezastąpionym i koniecznym środkiem kształtowania w nas autentycznego życia chrześcijańskiego. *Wszelkie Pismo od Boga natchnione jest i pożyteczne do nauki, do przekonywania, do poprawiania, do kształcenia w sprawiedliwości, aby człowiek Boży był doskonały, przysposobiony do każdego dobrego czynu* (por. 2 Tm 3,16n)\* — czytamy w Drugim Liście do Tymoteusza. Kościół powtarza to samo. Soborowa Konstytucja o Objawieniu mówi: Tak wielka tkwi w Słowie Bożym moc i potęga, że jest ono dla Kościoła podporą i siłą żywotną, a dla synów Kościoła utwierdzeniem wiary, pokarmem duszy oraz źródłem czystym i stałym życia duchowego.

Nasze pogadanki radiowe pragną przyczynić się do tego, by w tej ograniczonej i skromnej mierze, w jakiej to jest możliwe, przełamane zostały bariery, które dzielą nas od Pisma Świętego, tak by mogło ono stać się znowu naszym codziennym pokarmem, stać się księgą nam bliską, po którą sięgamy chętnie, której lektura kształtuje i rozwija naszą wiarę.

4 lipca 1976 r.

\* Wszystkie cytaty wg Biblii Tysiąclecia, wyd. II, Pallottinum, Poznań — Warszawa 1971 (przyj. red.).

## **Historia ludu wybranego naszą historią.**

Punktem wyjścia naszych rozważań biblijnych będzie na ogół jakiś tekst Starego Testamentu. Dzisiaj przeczytamy fragmenty pierwszego rozdziału Księgi Wyjścia.

Posłuchajmy:

*Oto imiona synów Izraela, którzy razem z Jakubem przybyli do Egiptu. Każdy zaś przyszedł ze swoją rodziną: Ruben, Symeon, Lewi, Juda; Issachar, Zabulon i Benjamin; Dan, Neftali, Gad i Aser. Było zaś wszystkich potomków Jakuba siedemdziesiąt osób, Józef zaś już był w Egipcie. Potem umarł Józef i wszyscy jego bracia, i całe to pokolenie. A synowie Izraela rozradzali się, pomnażali, potężnieli i umacniali się coraz bardziej, tak że cały kraj się nimi nappełnił.*

*Lecz rządy w Egipcie objął nowy król, który nie znał Józefa. I rzekł do swego ludu: „Oto lud synów Izraela jest liczniejszy i potężniejszy od nas. Roztropnie przeciw niemu wystąpmy, ażeby się przestał rozmnażać. W wypadku bowiem wojny mógłby się połączyć z naszymi wrogami w walce przeciw nam, aby wyjść z tego kraju”. Ustanowiono nad nim przełożonych robót publicznych, aby go uciskali ciężkimi pracami. Budowano wówczas dla faraona miasta na składy: Pitom i Ramses. Ale im więcej go uciskano, tym bardziej się rozmnażał i rozrastał, co jeszcze potęgowało wstręt do synów Izraela. Egipcjanie nietościwie zmuszali synów Izraela do ciężkich prac i uprzykrzali im życie przez uciążliwą*



*pracę przy glinie i cegle oraz przez różne prace na polu. Do tych wszystkich prac przymuszano ich nielitościwie.*

*Potem do położnych u kobiet hebrajskich, z których jedna nazywała się Szifra, a druga Pua, powiedział król egipski te słowa: „Jeśli będziecie przy porodach kobiet hebrajskich, to patrzcie na płęć noworodka. Jeśli będzie chłopiec, to winnyście go zabić, a jeśli dziewczynka, to zostawcie ją przy życiu”. Lecz położne bały się Boga i nie wykonały rozkazu króla egipskiego, pozostawiając przy życiu [nowo narodzonych] chłopców.*

*Ponieważ położne bały się Boga, również i im zapewnił On potomstwo. Faraon wydał wtedy całemu narodowi rozkaz: „wszystkich nowo narodzonych chłopców Hebrajczyków należy wyrzucić do rzeki, a dziewczynki pozostawić przy życiu” (Wj 1,1-17.21-22).*

Zanim wsłuchamy się w słowo, które Bóg do nas w tym tekście skierował, należy się słuchaczom wyjaśnienie, dlaczego w naszych audycjach zajmować się będziemy Starym Testamentem. Powodów jest wiele. Najpierw dlatego, że jest on olbrzymiej większości nawet praktykujących wiernych zupełnie nie znany. Ci zaś nieliczni, którzy do niego zaglądną, albo nie są w stanie go zrozumieć, albo gorszą się czytając w nim o wojnach i rzeziach, i to w dodatku nakazanych przez Boga, albo nie mogą przebrnąć przez nie kończące się genealogie czy przepisy prawne rozsiane po wielu księgach. Stary Testament w powszechnym odczuciu jest księgą zupełnie dziś nieczytelną. Drugą racją, dla której przedmiotem naszych audycji biblijnych jest Pismo Święte Starego Testamentu, jest fakt, że jest ono niezbędne do właściwego zrozumienia Nowego Testamentu. Opisana bowiem w obydwu częściach Biblii historia zbawienia jest jedną organiczną całością, jakby jakimś drzewem, którego Stary Testament jest korzeniem i pniem a Nowy Testament koroną. Jak nie istnieje korona bez pnia i na odwrót, tak nie można zrozumieć jednego bez drugiego. Trzecim powodem naszego zwrócenia się ku Staremu Testamentowi jest jego ustawiczna aktualność. W nim też zawarte jest słowo Boże, wiecznie świeże, które także nam w każdej chwili, gdy go słuchamy, przekazuje poselstwo od Boga. Owszem, dla nas, którzy je czytamy w świetle Nowego Testamentu, jest ono o wiele bogatsze w treść, niż było dla Izraelitów, pierwszych jego odbiorców.

By jednak Stary Testament mógł by przez nas odbierany jako aktualne słowo Boże, by stał się księgą żywą w ręku chrześcijanina, trzeba się ustawić w odpowiedniej perspektywie. W tym celu przypomnijmy sobie pewne prawdy teologiczne, dla starożytności i średniowiecza chrześcijańskiego oczywiste, a dla wielu z nas dziś nie znane. Izraelita żyjący w ekonomii zbawienia Starego Testamentu był świadom, że Bóg działa w historii jego narodu i kieruje ją ku jakiemuś wspaniałemu wydarzeniu zbawczemu, które tę historię uwieńczy i zakończy. O tym wydarzeniu wiedzano, że będzie ono polegało na powszechnym panowaniu Boga-Jahwe (takie imię nosił Bóg, który objawił się Izraelowi). Pokona On wrogów swego Królestwa, a tym, którzy je przyjmą, da szczęście i pokój. Jak to wszystko będzie jednak konkretnie wyglądało, nikt nie wiedział. Prorocy, ci, którzy myślą wybiegali ku tej ostatniej fazie historii zbawienia, wyobrażali ją sobie na wzór tego, czego naród już doświadczył w przeszłości i mówili np.: „Będzie to nowe wyjście z Egiptu, przejdziemy jeszcze raz przez pustynię, wejdziemy do Ziemi Obiecanej, do nowego Jeruzalem”, itd. Wszystko to powtórzy się jeszcze raz, tylko że w sposób o wiele wspanialszy. W ten sposób dawne fakty z historii Izraela, same w sobie jedyne i niepowtarzalne, zaczęły urastać do rangi symbolu, obrazu — teolog fachowo powie: do rangi figury, typu — przyszłego zbawienia. To zbawienie dokonało się w rzeczywistości w Jezusie Chrystusie, najpierw w Jego śmierci i zmartwychwstaniu, potem w Zesłaniu Ducha Świętego, który swoim działaniem zmienił i zmienia po dziś dzień serca tych, którzy uwierzyli słowu Chrystusa, i gromadzi ich w Kościół. Zbawienie to dopełni się wreszcie w powtórnym przyjsciu Chrystusa, które odsłoni oczom wszystkich Królestwo Boże, obecne już teraz na ziemi w ukryciu. Apostołowie i pierwsi chrześcijanie, dla których to wydarzenie ostateczne stało się przeżywanym faktem, mogli je lepiej i głębiej zrozumieć właśnie dzięki Staremu Testamentowi, który je w niewyraźny jeszcze sposób przepowiadał; i odwrotnie, Stary Testament stał się teraz dla nich jasny. Każda jego stronica, przedtem nieraz dwuznaczna i mglista, mówiła im o zbawieniu dokonany przez Jezusa. Mieli oni pełne prawo czytać z takiej właśnie perspektywy Stary Testament, bo jak powiedzieliśmy wyżej, dzieje Izraela i dzieje Jezusa oraz Kościoła są fazami jednej i tej samej historii zbawienia. Jedyłą racją bytu historii zbawienia Starego Testamentu było ugotowanie dróg Jezusowi Chrystusowi. Ten sam Bóg, który zbawił świat w Jezusie Chrystusie, działał dla zbawienia człowieka w Starym Testamencie i Jego działanie tu i tam miało te same cechy charakterystyczne. Izraelita, który na własnej

skórze przeżywał np. jakieś wyzwolenie od wrogów, swoich czy swojego narodu, dokonane przez Boga, ocierał się o to samo działanie Boga, które swój szczyt osiągnie w historii Jezusa i Kościoła. Właśnie dlatego wydarzenia Starego Testamentu mogły stać się obrazem i figurą zbawienia, które przyniósł nam Jezus Chrystus.

Wróćmy teraz do przeczytanego na wstępie fragmentu Księgi Wyjścia. Tekst ten, będący zlepkiem trzech relacji napisanych kolejno w X, IX i VI w. przed Chr., opowiada, na czym polegała niewola Izraelitów w Egipcie. Opisane wydarzenia miały miejsce w XIII w. przed Chr. Ciężka, pańszczyźniana praca przy budowie nowych miast dla faraona Ramzesa II, próby zahamowania vitalności pokoleń izraelskich, dekret o zabijaniu wszystkich noworodków płci męskiej. Jakie znaczenie mogą mieć dziś dla nas te wiadomości? Mogą one zainteresować chyba jedynie historyka, który z racji zawodowych zajmuje się rekonstrukcją początków dziejów Izraela. Związków tej historii z naszym życiem w każdym bądź razie trudno się nam dopatrywać.

Sytuacja zmienia się nieco na lepszą, gdy sobie uświadomimy, że to dramatyczne położenie Żydów w Egipcie jest punktem wyjścia całego łańcucha wydarzeń, w których Izrael rozpoznał działanie Boga i doświadczył Jego potęgi i miłości. Oto szczepy izraelskie na dnie poniżenia i niewoli wołają do Boga; On słyszy ich jęk, wyprowadza je z Egiptu, przeprowadza przez pustynię, daje im na własność Kanaan, dzisiejszą Palestynę, gdzie są wolne u siebie w domu, ciesząc się pokojem. Ten szerszy kontekst pozwala nam poznać naszego Boga w akcji. To Jego działanie nie ma jednak ciągle jeszcze bezpośredniego związku z nami, ono należy do bezpowrotnie minionej przeszłości. Dopiero gdy ustawimy się w perspektywie przedstawionej wyżej, tzn. gdy w opowiadaniach Starego Testamentu zaczniemy widzieć zapowiedź i zarys tej historii zbawienia, którą Bóg pragnie dziś z nami współtworzyć, opowiadanie z Księgi Wyjścia zaczyna nabierać aktualności, dla nas bynajmniej nie obojętnej. Niewola egipska w tym naświetleniu staje się obrazem, figurą o wiele głębszej niewoli, w której znajduje się każdy człowiek. Ale o tym szerzej będziemy mówić za tydzień.

11 lipca 1976 r.

## **Wszyscy znajdujemy się w niewoli.**

W dzisiejszej audycji biblijnej powrócimy jeszcze do przeczytanego poprzednim razem fragmentu pierwszego rozdziału Księgi Wyjścia, który opowiadał o niewoli egipskiej Izraelitów. Czy tekst ten ma jakiś związek z nami? Na to pytanie daliśmy taką odpowiedź: Tak, związek z nami istnieje, ale odkryjemy go tylko wtedy, gdy na Stary Testament spojrzemy z tej perspektywy, z jakiej patrzyła na niego starożytność i średniowiecze chrześcijańskie, tzn. gdy w opowiadaniach Starego Testamentu zaczniemy widzieć zapowiedź i zarys tej historii zbawienia, którą Bóg dzisiaj z nami pragnie tworzyć. W tym naświetleniu niewola egipska staje się obrazem, figurą o wiele głębszej niewoli, w której znajduje się każdy bez wyjątku człowiek.

O jaką niewolę tu chodzi? Jest nią nasza duchowa sytuacja pełna wewnętrznych sprzeczności. Na dnie naszej duszy ugruntowana jest pewność, że człowiek stworzony jest do miłości zarówno czynnej (kochać) jak i biernej (być kochanym). Ale i w jednej, i w drugiej doznajemy ciągłych rozczarowań. Kochać potrafimy drugiego tylko o tyle, o ile odpowiada on naszym upodobaniom i zasadom, o ile nas wzbogaca i przyczynia się do naszego wewnętrznego rozwoju. Gdy jednak ten warunek się nie spełnia, nasza miłość ustaje, zamienia się w obojętność lub wrogość, i na dnie naszej duszy okazujemy się egoistami niezdolnymi wyjść bezinteresownie ku drugiemu człowiekowi. Tak samo beznadziejnie jest z miłością, której od innych oczekujemy. Im bardziej rośnie nasze doświadczenie życiowe, tym jaśniej widzimy, jak interesowny i wyrachowany jest stosunek innych ludzi do nas; przekonujemy się, że każda ludzka miłość ma swoje nieprzekraczalne granice i że nasze pragnienie miłości jest właściwie utopią i snem. W tym położeniu czujemy się samotni i skazani na samych sobie. Sami musimy dbać o nasze życie, rozwijać je, wypełniać szczęściem i treścią, bronić przed tymi, którzy kawałek po kawałku chcą je nam uszczuplić i zabrać dla siebie. Bo kto za nas będzie się troszczył o nasze życie? Może Bóg? W praktyce absolutnie w to nie wierzymy! I tu właśnie leży sedno dramatu człowieka. Wyszliśmy z ręki Boga, korzenie naszego jestestwa tkwią w Jego miłości, miłości jedynej, która nie zawodzi, ale grzech pierworodny, który dziedziczymy, przeciął tę podstawę naszego bytu. Egzystencjalna nić wiążąca z Bogiem przerwała się. Dla wielu, którzy w Niego wierzą, Bóg stał się abstrakcją, ideą, a nie motorem życia. Jeśli

porusza się w nas jakieś uczucie ku Niemu, to jest nim częściej strach niż miłość. Puste miejsce, które zostawił po sobie żyjący Bóg, zajmują dziś w naszym życiu inni bogowie którzy nami rządzą: troska o prestiż i o to, co ludzie o nas powiedzą, nasza kariera, pieniądze, osoby, które są przedmiotem naszych uczuć. Te rzeczy, same w sobie dobre, stały się dla nas jedynym konkretem, do którego przytwierdzone jest nasze życie. I one mają nad nami absolutną władzę. Jesteśmy w ich niewoli. By mieć te rzeczy, idziemy na nie wiadomo jakie kompromisy, dopuszczamy się czynów, które wydają się nam same przez się zrozumiałe, a które w swojej istocie są przewrotnością i egoizmem. Ta sytuacja szerzy w naszym otoczeniu zło, rodzi w innych zawiść, sprzeczki, zawody, a nam sprawia w gruncie rzeczy cierpienie, daje poczucie niedosytu, wiecznego niespełnienia, pcha nas do ustawicznej gonitwy za wiatrem, powoduje ustawiczną wewnętrzną szamotaninę. Kto z nas nie rozpozna siebie w tym opisie?

Pismo Święte nazywa opisaną wyżej sytuację człowieka grzechem. Jestem świadom — pisze św. Paweł w siódmym rozdziale Listu do Rzymian — że we mnie, to jest w moim ciele, nie mieszka dobro: bo łatwo przychodzi mi dobra chcieć, ale wykonać — nie! *Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię to zło, którego nie chcę. Jeżeli zaś czynię to, czego nie chcę, już nie ja to czynię, ale grzech, który we mnie mieszka* (por. Rz 7,18–20). Oto nasza wewnętrzna niewola, której symbolem i obrazem była tamta zewnętrzna niewola Izraelitów w Egipcie.

Jest też w tym dramacie człowieka ktoś, kto za tym wszystkim stoi, niewidzialny, jakby za kulisami, manewrując nami, jak chce. Biblia demaskuje go: Cały świat leży w mocy Złego — mówi Pierwszy List św. Jana (por. 1 J 5,19); a Chrystus powie: *Wy jesteście z ojca diabła i chcecie pełnić požądania waszego ojca* (por. J 8,44). Oto nasz faraon, który nas trzyma w niewoli.

Niewola Izraelitów w Egipcie była nie tylko obrazem, typem tej niewoli; ona była doświadczeniem tego samego misterium zła, tylko że w jego warstwie — nazwijmy ją — naskórkowej, w której nie widać jeszcze jego głębokiego wymiaru i jego korzeni. Wgląd w otchłaniej tej tajemnicy nie jest jednak wyłącznym przywilejem chrześcijan; odkryli ją także żydzi w Starym Testamencie, o czym świadczą późniejsze jego księgi.

Posłuchajmy teraz nowego tekstu biblijnego. Jest nim piętnasty rozdział prorocstwa Ezechiela:

*Jabwe skierował do mnie te słowa:  
„Synu człowieczy, czyż drzewo winorośli jest lepsze  
od jakiegokolwiek drzewa liściastego  
które jest wśród drzew w lesie?  
Czy weźmie się z niego drewno  
by uczynić jakiś przedmiot?  
Czy użyje się go do zrobienia kotka,  
aby na nim zawiesić jakiejkolwiek naczynie?  
Oto w ogień się wrzuca je na spalenie.  
Obydwa jego końce ogień już strawił,  
a środek został nadpalony.  
Czy przyda się jeszcze na co?  
Oto gdy jeszcze było nietknięte,  
już nie nadawało się do obróbki;  
tym mniej się nada do obróbki,  
gdy ogień je strawił, a ono spłonęło.  
Dlatego tak mówi Jabwe Pan:  
podobnie jak z drzewem winorośli,  
które jest wśród drzew w lesie,  
a które wrzuciłem w ogień na spalenie,  
tak postąpię z mieszkańcami Jerozolimy.  
Oblicze moje zwracam przeciwko nim;  
ognia uszli,  
lecz ogień ich strawi.  
I poznacie, że Ja jestem Jabwe,  
kiedy oblicze moje zwrócę przeciwko nim.  
Zamienię ten kraj w pustkowie,  
bo dopuścili się wiarołomstwa” —  
wyrocznia Jabwe Pana (Ez 15).*

Tekst ten napisany został parę lat przed zburzeniem Jerozolimy przez króla babilońskiego Nabuchodonozora w 586 r. przed Chr. Kilka lat wcześniej, w 597 r., Jerozolima doświadczyła innego najazdu ze strony tego samego władcy, który przy tej okazji deportował do Babilonii sporą część ludności buntowniczej stolicy. Dlatego prorok porównując Jerozolimę do drzewa winorośli, mówi: Obydwa końce drzewa winorośli ogień już strawił [w 597 r.] i środek został nadpalony (por.

Ez15,4); ...ognia uszli, lecz ogień ich strawi (Ez 15,7). Prorok ma tu na myśli 586 r., datę zupełnego zniszczenia miasta.

To proroctwo było z całą pewnością wielkim szokiem dla uszu przeciętnego Izraelity tamtych czasów. W wielu wcześniejszych tekstach biblijnych Izrael porównywany był do szlachetnej winorośli zasadzonej i pieczołowicie pielęgnowanej przez samego Boga, który po wszystkim, co dla niej zrobił, czeka na jej cenny owoc. Cios, który Izraelowi zadał Ezechiel polegał na tym, że nie ma w jego proroctwie ani słowa o owocach winnego krzewu, mówi się w nim o jego drewnie. Ono zaś — jak to dobrze wiedzą wszyscy stolarze — do niczego się nie nadaje. Nie można z niego zrobić żadnego przedmiotu, nawet kołka, by na nim coś powiesić. Taką jest Jerozolima, serce Izraela, jego najlepsza część. Bóg stwierdza twardo o swoim wybranym narodzie: jest nieużyteczny, jest wiarałomny. Grzech go wewnętrznie toczy i grzech go niszczy.

Jest to smutny bilans siedmiu wieków historii Izraela. Okazała się ona jednym pasmem niewierności i apostazji od Boga. Ezechiel wielokrotnie — powyższy fragment jest jednym z wielu — wyraża swą wątpliwość, czy jego naród jest w ogóle zdolny postępować inaczej. Podobnie wypowiada się współczesny Ezechielowi prorok Jeremiasz: *Czy zdola Kuszyta odmienić swą skórę, a pantera swoje pręgi? Tak wy, czy potraficie dobrze czynić, przyzwyczajeni do zła?* (por. Jr 13,23). Jeżeli taki jest Izrael, który poznał Boga w faktach swojej historii, wszedł z Nim w Przy mierze, otrzymał dar Prawa, to o ileż bardziej jest to problem całej ludzkości! Duchowy organizm człowieka toczy jakieś tajemnicze zło, które nie pozwala mu być sobą i żyć w miłości. *Wszyscy razem zblądzili, stali się nikczemni; / takiego, co dobrze czyni, / nie ma ani jednego* — powie psalm (por. Ps 14/13/3). W oczach Boga, który nas zna, który wie, co w nas siedzi, w Jego oczach każdy z nas jest nieużytecznym drewnem, które nadaje się na spalenie. Św. Paweł powie to bez osłonek: *tak Żydzi, jak i poganie są pod panowaniem grzechu. I stąd każde usta muszą zamilknąć i cały świat musi się uznać winnym wobec Boga* (Rz 3,9.19).

Biblia nie wini za ten stan Boga. Jest on wynikiem odrzucenia naszej zależności od Boga i naszego pragnienia, wprowadzonego w czyn, by być samowystarczalnymi. Rana zadana naszemu człowieczeństwu jest głęboka i należy teraz jakby do atrybutów naszej upadłej natury. Sięga ona głębiej niż nasza wola. Dlatego nie da się jej uleczyć żadnym ludzkim wysiłkiem. Tu jest racja bytu egzorcyzmów, których Kościół udziela przy

chrzcie. Ta praktyka, odziedziczona po Chrystusie i po pierwotnym Kościele, wypływa z wiary, że człowiek skrepowany jest więzami zła, od których sam nie potrafi się uwolnić. Nic tu nie pomoże jego najlepsza wola, dobre postanowienia, silny charakter, praca nad sobą. Te środki mogą nas trochę ogładzić, usunąć ostre kanty, którymi raniły innych, uczynić dobrze wychowanymi ludźmi, ale zasadniczego problemu naszej egzystencji one nie załatwią. Pozostaniemy zawsze jeszcze niezdolnymi do prawdziwej miłości, pozostaniemy zawsze nieużytecznym drewnem. Św. Paweł, gdy uświadomił sobie tę wspólną nam wszystkim sytuację, zawołał: *Nieszczęsny ja człowiek! Kto mnie wyzwolił z ciała tej śmierci* (por. Rz 7,24).

Biblia od początku do końca jest odpowiedzią na to pytanie.

Jaką odpowiedzią, zobaczymy następnym razem.

18 lipca 1976 r.

### **Dam wam serce nowe.**

Punktem wyjścia i oparciem naszej dzisiejszej audycji biblijnej będzie fragment z Księgi proroka Ezechiela. Posłuchajmy:

*Jabwe skierował do mnie te słowa: Synu człowieczy, kiedy dom Izraela mieszkał na swojej ziemi, wówczas splugawili ją swym postępowaniem i swymi czynami: postępowanie ich wobec Mnie było jak nieczystość miesięczna kobiety. Wtedy wylałem na nich swe oburzenie z powodu krwi, którą w kraju przelali, z powodu bożków, którymi go splugawili.*

*I rozproszyłem ich pomiędzy pogańskie ludy, i rozsypali się po krajach, osądziłem ich według postępowania i czynów. W ten sposób przyszli do ludów pogańskich i dokąd przybyli, bezczęścili święte imię moje, podczas gdy mówiono o nich: To jest lud Jabwe, musieli się oni wyprowadzić ze swego kraju. Wtedy zatroszczyłem się o święte me imię, które oni, Izraelici, zbezczęścili wśród ludów pogańskich, do których przybyli. Dlatego mów do domu Izraela: Tak mówi Jabwe Pan: Nie z waszego powodu to czynię, domu Izraela, ale dla świętego imienia mojego, które bezczęściliście wśród ludów pogańskich, do których przyszliście. Chcę uświęcić wielkie imię moje, które zbezczęszczone jest pośród ludów, zbezczęszczone przez was pośród nich, i poznają ludy, że Ja jestem Jabwe — wyrocznia Jabwe Pana — gdy okażą się Świętym względem was przed ich*



*oczami. Zbiorę was spośród ludów, zbiorę was ze wszystkich krajów i przyprowadzę was z powrotem do waszego kraju, pokropię was czystą wodą, abyście się stali czystymi, i oczyszczę was od wszelkiej zmyzy i od wszystkich waszych bożków. I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała. Ducha mojego chcę tchnąć w was i sprawić, byście żyli według moich nakazów i przestrzegali przykazań, i według nich postępowali. Wtedy będziecie mieszkać w kraju, który dałem waszym przodkom, i będziecie moim ludem, a Ja będę waszym Bogiem.*  
(Ez 36,16–28).

Jest to jedna z najradośniejszych stronicy Starego Testamentu. Przypatrzmy się jej z bliska. Uderza nas najpierw kontrast między człowiekiem a Bogiem, między tym, do czego my jesteśmy zdolni, a co może i pragnie w nas dokonać Bóg. Lektura ta jeszcze raz potwierdza pesymistyczną diagnozę ludzkiego serca, o której szerzej mówiliśmy w naszej przedostatniej pogadance. Izrael mimo tak ogromnego światła, jakim było ustawicznie w jego historii rozbrzmiewające słowo Boże, mimo Przymierza i daru Prawa, nie potrafił zmienić swego przewrotnego serca. *Postępowanie ich wobec Mnie było jak nieczystość, krew przelali, splugawili kraj bożkami, zbezczeszili moje święte imię* (por. Ez 36,17–20). Jeżeli taki był Izrael, cóż powiedzieć o całej reszcie ludzkości? Jest niezmiernie ważne dla każdego człowieka zdać sobie raz wreszcie sprawę ze swego prawdziwego położenia i rzeczywistych możliwości, gdy chodzi o życie w prawdziwej miłości, bo jeżeli to będzie przed nim zakryte, jeżeli uzna się on wobec Boga za porządnego, uczciwego człowieka, zawdzięczającego swój nienaganny poziom moralny swojemu charakterowi i swoim wysiłkom, to nigdy nie zrozumie, do czego mu właściwie służy Jezus Chrystus i od czego ma On go zbawić. Ewangelia nigdy nie stanie się dla niego Dobrą Nowiną. Jeżeli natomiast, oświeceni światłem Bożym wyprowadzającym nas ze złudzeń co do samych siebie, rozpoznamy siebie w obrazie grzesznego Izraela, którego z takim realizmem przedstawił Ezechiel, wtedy zadrży nasze serce radością na wieść o tym, co Bóg z nami grzesznymi zamierza począć. Jego ostatnią odpowiedzią na nasze zło nie jest kara; ona w postaci cierpienia pojawia się jakby automatycznie, jako naturalna konsekwencja grzechu; ale ostatnią odpowiedzią Boga jest skuteczny ratunek dla człowieka, by mógł on być nareszcie szczęśliwy. *Nie z waszego powodu to czynię* (Ez 36,22) — mówi najpierw Bóg, tzn. w was nie istnieje żaden tytuł zmuszający Mnie do ingerencji zbawczej; nie możecie jej sobie przypisać; ona jest całkowitym moim darem. *Czynię to dla świętego mojego imienia...* (por. Ez 36,22). Imię to

synonim istoty Boga. W niej, a nie w nas, jest jedyna racja, dla której Bóg się nad nami pochylił.

A potem Ezechiel opisuje, co takiego Bóg z nami uczyni. *Zabiorę was spośród wszystkich ludów, zbiorę was ze wszystkich krajów i przy-prowadzę was z powrotem do waszego kraju, pokropię was czystą wodą...* (Ez 36,24–25). Izrael VI w. przed Chr., pierwszy adresat tych słów, znajduje się wskutek swoich grzechów w niewoli babilońskiej, rozproszony, daleko od swojej ojczyzny. Bóg jednak przywróci wszystko do pierwotnego stanu. „Pokropię czystą wodą” oznaczało dla Izraela przejście przez ryt oczyszczający, o którym jest mowa w dziesiętnym rozdziale Księgi Liczb. Ryt ten, wykonywany przez kapłana, usuwał zewnętrzne przeszkody uniemożliwiające Izraelicie uczestniczenie w kulcie Bożym. Tym razem oczyszczenie będzie skuteczne, gdyż pokropienia wodą dokona sam Bóg. Ta część proctwa, przez Izraelitów rozumiana w sensie dosłownym, ma dziś dla nas wartość obrazu, figury. Starożytność chrześcijańska, czytając słowa, że Bóg zjednoczy Izraela na swojej ziemi, że pokropi go czystą wodą, myślała o rzeczywistości, która już się wypełniła w Chrystusie — Bóg zjednoczył całą ludzkość w Kościele obmywając ją z grzechu wodą chrztu. Za tym opisem przedstawiającym doczesne wybawienie Izraela, wybawienie, które w takich wymiarach, o jakich mówi tekst, nigdy nie miało miejsca, zarysowuje się bowiem inne zbawienie, wewnętrzne, radykalne, usuwające korzenie wszystkich nieszczęść doczesnych, które zwały się na Izraela.

O tym wewnętrznym, radykalnym wyzwoleniu mówią dalsze słowa tekstu. *Dam wam nowe serce, kamienne serce wam odbiorę a dam wam serce z ciała. Ducha mojego chcę tchnąć w was i sprawić, byście żyli według moich nakazów i przestrzegali przykazań, i według nich postępowali. Wtedy będziecie moim ludem, a Ja będę waszym Bogiem* (por. Ez 36,26–28). To ostatnie zdanie nazywa się formułą Przymierza: Ja twoim Bogiem, ty moim ludem; Bóg odnowi z Izraelem swoje Przymierze, które zostało złamane. To Nowe Przymierze nie będzie jednak jak to pierwsze, zawarte na Synaju. Ono było nieskuteczne, ono przedstawiło Izraelicie z zewnątrz tablice przykazań, samo z siebie nie potrafiło jednak dać mu siły do ich zachowywania. Człowiek pozostał istotą o kamiennym, wiarodolnym sercu. By w tym Nowym Przymierzu nie powtórzyła się ta sama historia, Bóg zapowiada, że Jego działanie osiągnie teraz samej egzystencji człowieka, jego wnętrza, i tam dokona ono niezbędnej operacji. Serce kamienne, to, z którym każdy z nas się rodzi, zostanie usunięte, a będzie

nam dane serce z ciała, tzn. czułe, zdolne do miłości. Motorem nowego życia w człowieku, nowych jego postaw, sposobów reakcji, jego nowej mentalności, nowego postępowania będzie Duch Boga: *Ducha mojego chcę tchnąć w was i w ten sposób sprawić, byście przestrzegali moich przykazań* (por. Ez 36,27). Zachowanie miłości i miłosierdzia, które stanowią istotę Bożych przykazań, będzie nareszcie możliwe. Bóg sam uzdolni do tego człowieka. Sparaliżowany grzechem człowiek zostanie mocą Boga uwolniony od swego paraliżu i teraz będzie mógł chodzić.

Zapamiętajmy to sobie dobrze. Prorok zapowiedział w tekście, który przeczytaliśmy, wydarzenie, wielkie wydarzenie, które dokona się w egzystencji człowieka, prawdziwą rewolucję kopernikańską, która odmieni nasze serca. Nowy Testament szeroko opisuje, jak Bóg de facto zrealizował proctwo Ezechiela. Dokonało się to przez Jezusa Chrystusa, przez Jego śmierć i zmartwychwstanie. Rozdział pięćdziesiąty trzeci proctwa Izajasza, który rozważaliśmy poprzednio, umożliwił nam głębsze zrozumienie sensu tych dwóch wydarzeń. Było tam m.in. powiedziane: *Wierny mój Sługa usprawiedliwi wielu* (por. Iz 53,11). Jak to się stanie? Oto Jezus — poucza nas Nowy Testament — nie zgładził naszego grzechu w tym tylko sensie, że przez swą śmierć złożył On Bogu, nieskończoną wartość mającą, zadośćuczynienie za nasze grzechy; Jego zaś zmartwychwstanie nie tylko jest osobistą nagrodą przyznaną Mu przez Ojca za Jego wierność aż do śmierci; ono jest nie tylko otwarciem bram nieba dla nas wszystkich, gdy umrzemy. Jego zmartwychwstanie jest dla nas źródłem nowego życia już tu, na tej ziemi. Zmartwychwstały Chrystus został bowiem ustanowiony przez Boga Panem, tzn. kimś, kto ma moc i władzę nad wszystkim, również i przede wszystkim nad chorym i skamieniałym sercem człowieka. Św. Paweł w Liście do Koryntian mówi o Nim jako o Duchu dającym życie (zob. 1 Kor 15,45). Nazywa się Go tak dlatego, bo Chrystus zmartwychwstał — używam tu słów św. Piotra z jego kazania zielonoświątecznego — *wyniesiony na prawicę Boga otrzymał od Ojca obietnicę Ducha Świętego i teraz zesłał Go na nas, jak to sami widzicie i słyszycie* (por. Dz 2,33n). Chrystus zmartwychwstały jest dawcą Ducha Świętego, o którym mówiło proctwo Ezechiela: *Ducha mojego chcę tchnąć w was*. (Ez 36,27).

Te wszystkie piękne obietnice mogą wejść w życie każdego człowieka i to życie zrewolucjonizować, gdy słysząc o tym wszystkim w przepowiadaniu Kościoła otworzy się on na nie przez wiarę, tzn. gdy uwierzy, że Chrystus zmartwychwstały ma moc zmiany jego życia. Tak pojęta

wiara prowadzi do doświadczenia Boga żywego, do doświadczenia w sobie mocy zmartwychwstania Jego Syna, mocy, która stawia nas na nogi.

Tak więc proroctwo Ezechiela odnosi się do czasów Kościoła. Ludzie, którym dokonano operacji serca, w których Bóg tchnął swego Ducha, którzy zdolni są do wierności Bożemu Prawu miłości bez granic, to chrześcijanie. A momentem uprzywilejowanym, w którym spełnia się to proroctwo, jest chrzest. Chrzest nazywa się w Nowym Testamencie odrodzeniem z wody i z Ducha Świętego (zob. J 3,5; Tt 3,5), ponownym stworzeniem (zob. Ga 6,15). Wyrażenia te doskonale syntetyzują to, co chciał wyrazić prorok Ezechiel. Człowiek musi się jeszcze raz urodzić, tym razem z Ducha Świętego, musi być jeszcze raz stworzony, by móc żyć po chrześcijańsku, tzn. w miłości aż do krzyża, tak jak nas tego uczył Jezus Chrystus. Zwróćmy uwagę, że postępowanie zgodne z taką miłością nie wypływa z naszej woli, choć ma ona w tym swój niezastąpiony udział. Zanim jednak nasza wola będzie mogła tu cokolwiek zrobić, musi wejść w akcję Bóg, który założy w naszym wnętrzu nową rzeczywistość, da nam swojego Ducha, który nas uzdolni do nowego życia.

To wszystko, o czym dziś słyszeliśmy, nie jest tylko piękną teorią biblijną. To są fakty, które w historii Kościoła w mniej lub bardziej widoczny sposób wydarzyły się. Paralelizm dwóch naszych cykli radiowych — biblijnego, który idzie na falę w niedzielę, i środowego, poświęconego życiu chrześcijan w II w. — nie jest przypadkowy. Ten drugi cykl pragnie pokazać naszym słuchaczom, że chrześcijaństwo takie, o jakim prorokował Ezechiel, jest rzeczywistością z tej ziemi. Tę samą rzeczywistość Bóg pragnie stwarzać zawsze, także w naszych czasach. Zaprasza do niej każdego z nas. Zechcemy i my wejść w ten Boski wymiar chrześcijaństwa?

*1 sierpnia 1976 r.*

## Zbawieni za darmo.

Posłuchajmy na wstępie naszej biblijnej pogadanki radiowej tekstu z Księgi Sędziów. Będzie to fragment historii Gedeona. Opowiadanie to przeniesie nas w przedkrólewskie czasy historii Izraela (XII i XI w. przed Chr.), kiedy to ligą dwunastu plemion izraelskich kierowali charyzmatyczni przywódcy zwani Sędziami. Pojawiali się oni zwłaszcza wtedy, gdy Izrael — cały lub pewne jego części — nękany był dokuczliwymi najazdami swoich sąsiadów. Gedeon był właśnie jednym z takich Sędziów. Misją daną mu przez Boga było uwolnienie Izraela spod przemocy Madianitów i Amalekitów.

*Potem zebrali się wszyscy Madianici i Amalekici oraz lud ze wschodu, a przeprowadzwszy się [przez Jordan] rozbili obóz w dolinie Jizreel.*

*Ale duch Jahwe okrył Gedeona, który zatrąbił w róg i zgromadził przy sobie ród Abiezera. Wysłał też gońców do całego pokolenia Manassesa, które również zgromadziło się przy nim, a następnie wysłał gońców do pokolenia Asera, Zabulona i Neftalego, które wyruszyły, aby się z nim połączyć ...*

*Wstał więc o świcie Jerubbaal, czyli Gedeon, wraz z całym zgromadzonym ludem i rozbił obóz u źródeł Charod. Obozowisko Madianitów leżało na północ od pagórka More w dolinie.*

*Jahwe rzekł do Gedeona: „Zbyt liczny jest lud przy tobie, abym w jego ręce wydał Madianitów, gdyż Izrael mógłby przywłaszczyć sobie chwałę z pominięciem Mnie i mówić: «Moja ręka wybrała mnie». Wobec tego tak wołaj do uszu ludu: Ten, który się boi i drży, niech zawróci i chroni się ku górze Gilead”. Tak więc odeszło z ludu dwadzieścia dwa tysiące, a pozostało dziesięć tysięcy.*

*Rzekł Jahwe do Gedeona: „Jeszcze zbyt liczny jest lud. Zaprowadź go nad wodę, gdzie ci go wypróbuję. Będzie tak: o którym powiem: Ten pójdzie z tobą! — on pójdzie z tobą. O którym zaś powiem: Ten nie pójdzie z tobą! — on nie pójdzie”.*

*Zaprowadził więc lud nad wodę, a Jahwe rzekł do Gedeona: „Wszystkich, którzy będą wodę chęptać językiem, podobnie jak pies, pozostawisz po jednej stronie, a tych wszystkich, którzy przy picu ukłękają, pozostawisz po drugiej*

stronie”. Liczba tych, którzy chęptali z ręki podnoszonej do ust, wynosiła trzystu mężów. Wszyscy inni pijąc zginali kolana. Rzekł wówczas Jahwe do Gedeona: „Przy pomocy tych trzystu mężów, którzy chęptali wodę językiem, wybarwię was i w ręce twoje wydam Madianitów. Wszyscy inni mężowie niech wracają do siebie”.

Lud wziął ze sobą żywność i rogi, a Gedeon odesłał mężów izraelskich, każdego do swego namiotu, z wyjątkiem owych trzystu mężów. A obóz Madianitów znajdował się poniżej jego stanowiska w dolinie. . .

Wówczas Gedeon rozdzielił owych trzystu mężów na trzy hufce, dał w ręce każdego z nich rogi i puste dzbany, a w nich pochodnie.

„Patrzcie na mnie — rzekł im — i czyńcie to samo, co ja. Oto ja dojdę do krańca obozu, a co ja będę czynić, i wy czyńcie. Gdy zatrąbię w róg ja i wszyscy, którzy są ze mną, wówczas i wy zatrąbicie w rogi dokoła obozu i będziecie wołać: *Za Jahwe i za Gedeona!*”

Gedeon i stu mężów, którzy mu towarzyszyli, doszli do krańca obozu w chwili, gdy tuż po zmianie następowało czuwanie środkowej straży nocnej. Zatrąbili w rogi i potłukli dzbany, które trzymali w swych rękach. Natychmiast zatrąbiły w rogi także owe trzy hufce i potłukły dzbany. Wziąwszy zaś w lewą rękę pochodnie, a w prawą rogi, aby na nich trąbić, wołali: „*Za Jahwe i za Gedeona!*” I przystanęli, każdy na swoim miejscu, dokoła obozu. Powstali wtedy wszyscy w obozie, poczęli krzyknąć i uciekać.

Podczas gdy owych trzystu mężów trąbiło na rogach Jahwe sprawił, że w całym obozie jeden przeciw drugiemu kierował miecz. Obóz uciekł do Bet-Haszszitta ku Sartan aż do granicy Abel-Mechola obok Tabbat.

Zebrali się mężowie Izraela z pokolenia Neftalego, Asera i z całego pokolenia Manassesza i urządzili pościg za Madianitami

(Sdz 6,33-35; 7,1-8.16-23).

Ten, sam w sobie drobny i mało ważny, epizod z historii Izraela był momentem, w którym człowiek znowu doświadczył, że Bóg — jak mówi psalm (por. Ps 67/66,21) — jest Bogiem, który zbawia, i który daje ujęć przed śmiercią. Ze szczególną wyrazistością został w tym opowiadaniu wypuklony najbardziej charakterystyczny rys zbawienia Bożego — jego darmość. Historia Gedeona została w tym celu jakby specjalnie

wyreżyserowana. Oto Bóg redukuje do liczby bardziej niż symbolicznej potężną z początku armię Izraela. Z trzydziestu dwóch tysięcy zostaje trzystu wojowników. Ta garstka stoi wobec wroga licznego jak szarańcza (por. Sdz 7,12). Bóg odebrał w ten sposób Izraelowi wszelką nadzieję na zwycięstwo. Ale mimo to zostało ono osiągnięte. Jednak nie ludzkimi środkami. Trzystu pozostawionych wojowników nie potrzebuje nawet wydobyć miecza. Jedynym ich zadaniem jest zatrzeć w rogi, potłuc dzbany i wołać: Za Jahwe i za Gedeona (zob. Sdz 7,20). To zwycięstwo nie jest dziełem człowieka! Aby Izrael nie mógł przywłaszczyć sobie chwały pomijając Mnie i mówić: „Moja ręka wybawiła mnie” (por. Sdz 7,2).

Darmowość zbawczej interwencji Boga, którą ta historia z taką emfazą podkreśla, jest rysem obecnym we wszystkich opisach biblijnych, które przedstawiają zbawiającego Boga. Tak jest np. w historii najważniejszego wybawienia którego doświadczył Izrael, w wyjściu z Egiptu i wejściu do Ziemi Obiecanej. Niewola egipska była nieszczęściem którego ani Izrael, ani żadna inna ludzka siła nie mogły odwrócić. Żydzi byli wtedy bezbronnymi niewolnikami. Jako darmowa siła robocza byli jednym z filarów ekonomii Egiptu. Nie było żadnej nadziei, że faraon zgodzi się na żądanie Mojżesza: Wypuść mój lud... (Wj 5,1). Krąg niewoli był szczelnie zamknięty! A jednak został on rozerwany! Przez kogo? Przez Boga! On wyprowadził z „domu niewoli” swój lud. Czy nie było w tym udziału człowieka? Owszem był, ale polegał on głównie na ciągle się powtarzającym niedowiarstwie, niezadowoleniu, narzekaniu i chęci powrotu do czosnku i cebuli egipskiej (por. Lb 11,5). W tym wielkim wydarzeniu, jakim było wyzwolenie z Egiptu, wiele było momentów, które ciągle na nowo przypominały Izraelowi, że Bóg zbawia go darmo. Tak było nad Morzem Czerwonym. Izrael dopiero co doświadczył potęgi Boga w swym wyjściu z Egiptu, gdy oto znowu znalazł się w jeszcze bardziej beznadziejnym położeniu. Faraon żałuje danego Izraelowi pozwolenia na opuszczenie Egiptu i ze swą armią puszcza się w pościg za Żydami. Spotkanie bezbronnych uciekinierów ze swoim uzbrojonym prześladowcą następuje nad brzegami Morza Trzciny, jednej z odnóg Morza Czerwonego. Dla Izraela wybiła godzina niechybnej zguby; przed nimi wody morza, za nimi i z boków armia faraona. Jak w tej sytuacji zachowuje się człowiek? *Czyż nie mówiliśmy ci wyraźnie w Egipcie: Zostaw nas w spokoju. Lepiej bowiem było nam służyć Egipcjanom, niż umierać na tej pustyni* (por. Wj 14,12). Jak widzimy, odpowiedzią Izraela jest brak wiary i rozpacz! A co robi Bóg? Rozbija zamknięty krąg ludzkiej



niemożności, otwiera drogę w środku morza i przeprowadza przez nią swój lud. W tych samych wodach, które dla Izraela były zbawieniem, gotuje grób dla armii faraona. Opis biblijny kończy się w tym miejscu stwierdzeniem: *W tym to dniu wybawił Jahwe Izraela z rąk Egipcjan* (Wj 14,30); a Izrael w uniesieniu wyznaje: *Jahwe jest moją mocą i moją chlubą! Jemu zawdzięczam moje ocalenie... Rzucił w morze rydwany faraona i jego wojsko... Uwielbiona jest potęga Twojej prawicy, Jahwe* (por. Wj 15,2.4.6). Olbrzymia liczba innych faktów, np. zawalenie się potężnych murów Jerycha, których Izrael nie zdobywa, tylko okrąża je procesjonalnie przez siedem dni, i które wał się same na dźwięk trąb, albo zwycięskie wojny machabejskie na progu ery nowotestamentowej — wszystkie te fakty są świadectwem, że Bóg zbawia Izraela gratis, za darmo. Psalm 44(43), 3–4.7–8 wyraził to w słowach nie pozostawiających żadnej wątpliwości:

*Ty własną ręką  
wygnałeś pogan a ich zasadziłeś,  
starteś narody, a im dałeś przestrzeń.  
Bo nie zdobyli kraju własnym mieczem  
ani ich nie ocaliło własne ramię,  
lecz prawica i ramię Twoje /.../  
boś ich umiłowat /.../  
Bo nie zaufałem mojemu łukowi  
ani mój miecz mnie nie ocalił.  
Lecz Ty nas wybawiłeś od wrogów  
i zawstydziliś tych co nas nienawidzą.*

W tym miejscu mała dygresja. Nasza konkluzja wcale nie jest zagrożona faktem, że niektóre z przytoczonych tu opisów stwarzają trudności z punktu widzenia krytyki historycznej. Ich treść teologiczna i posłannictwo, które mają nam przekazać, nie są zawarte jedynie w tym, co w danym opisie jest ściśle historyczne; Biblia jest dla nas słowem Boga we wszystkim, co w niej jest zapisane. By zaspokoić umysły krytyczne, można by powiedzieć, że w naszym przypadku opis faktów, co do swojego jądra historycznych, został literacko tak ukształtowany, by uwypuklić właśnie darmowość zbawienia. Ale wróćmy do naszego tematu!

Wszystko to, co zawiera Stary Testament, jest zapowiedzią, obrazem, figurą ekonomii zbawienia definitywnego, które spełniło się w Jezusie Chrystusie i w które wciągnięci jesteśmy my, chrześcijanie. Historie starotestamentowe, o których przed chwilą mówiliśmy, chcą nam zilus-



trować jedno: darmość naszego zbawienia. Jak Bóg sam, bez udziału człowieka wybrał Izraela z ręki Madianitów, jak wyprowadził za darmo swój lud z Egiptu i wprowadził go do Ziemi Obiecanej, tak gratis, bez naszych zasług, bez naszych uczynków, wyprowadza nas z niewoli grzechu i wprowadza do Królestwa umiłowanego Syna swego. Św. Paweł powie: *Wszyscy zgrzeszyli i pozbawieni są chwały Bożej, a dostępują usprawiedliwienia darmo, z Jego łaski, przez odkupienie, które jest w Jezusie Chrystusie* (por. Rz 3,23n). Na czym polega darmość zbawienia? W czym wyłączony jest nasz współudział? Najpierw w tym, czego dokonał dla nas Jezus Chrystus. Jego śmierć, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie są dziełem wyłącznie Bożym. Potęgą i miłością Boga został pokonany w śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa nasz grzech, zniszczona jego moc nad nami, dana możliwość wyjścia z niego i wejścia w nowe życie — wieczne, które może się dla nas zacząć tutaj i nigdy nie skończyć; nawet śmierć nie jest w stanie go przerwać. Ta obiektywna — jak ją nazywa teologia — faza naszego zbawienia jest od początku do końca dziełem Boga. My jesteśmy tu wyłącznie obdarowanymi! Nie w tym jednak punkcie kończy się darmość zbawienia, by dać nareszcie pole do popisu człowiekowi. Również subiektywna faza naszego zbawienia jest w swym wyjściowym, fundamentalnym punkcie dziełem Boga w nas. Ten subiektywny etap zbawienia — przypomnijmy to sobie z poprzedniej pogadanki — polega na wewnętrznym odrodzeniu człowieka. Prorok Ezechiel mówił o tym obrazowo: kamienne serce będzie nam zabrane, a dane serce z ciała (zob. Ez 36,26). Duch Jahwe dokona tego w nas. To wielkie wydarzenie egzystencjalne związane jest z chrztem, który w terminologii Nowego Testamentu nazywany jest odrodzeniem z wody i z Ducha Świętego, nowym stworzeniem, powstaniem z martwych razem z Jezusem Chrystusem, obrzezaniem serca (zob. Kol 2,11; Rz 2,28). To wydarzenie zachodzące w człowieku jest takim samym faktem, jak śmierć, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie Jezusa. Mamy tu do czynienia z najgłębszymi i najradykałniejszymi zmianami zachodzącymi na płaszczyźnie egzystencji człowieka. Te zmiany też są od początku do końca dziełem Boga, Jego darem. By stać się chrześcijaninem, trzeba najpierw powstać z martwych, jeszcze raz się urodzić, jeszcze raz być stworzonym. Pomyślmy — czy trup może w czymkolwiek przyczynić się do swego zmartwychwstania, czy ten, kto nie istnieje, ma jakiś wpływ na swoje urodzenie czy powołanie do istnienia? Nie! Tylko ktoś inny, kto ma po temu moc, może to sprawić! Tak jest właśnie z naszym wejściem w egzystencję chrześcijańską. Ono jest dziełem Bożym w nas, Jego darem. Posłuchajmy, z jaką przedziwną

prostotą wyraził to św. Paweł. Pisze on do chrześcijan z Efezu: *Łaską jesteśmy zbawieni przez wiarę. A to nie pochodzi od nas — jest to dar Boga: nie na skutek naszych czynów, aby się nikt nie mógł chlubić sobą. Jego dziełem jesteśmy, stworzeni w Chrystusie Jezusie dla dobrych uczynków, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili* (por. Ef 2,8n). Narzuca nam się w tym miejscu pytanie: Gdzie wobec tego zaczyna się wkład człowieka i na czym polega jego współpraca z Bogiem? I na to pytanie odpowiedzi może nam dostarczyć Stary Testament. Zapoznamy się z nią następnym razem.

8 sierpnia 1976 r.

### **Tylko Bóg może mnie wybawić.**

Posłuchajmy na wstępie następującego fragmentu z Drugiej Księgi Kronik:

*Potem Moabici i Ammonici, a z nimi część spośród Maonitów, wtargnęli, aby walczyć przeciw Jozafatowi. Przyniesiono wówczas Jozafatowi wiadomość następującą: „Powstało przeciw tobie z drugiej strony morza, z Edomu, wielkie wojsko i jest już teraz w Chaseson-Tamar, to jest w Engaddi”. Przerazony Jozafat zwrócił się o pomoc Jahwe. Ogłosił też post w całej ziemi judzkiej. Zebrali się więc mieszkańcy Judy, aby prosić Jahwe o pomoc. Przybyli zaś z każdego miasta Judy, aby błagać Jahwe...*

*A pośród zgromadzenia duch Jahwe spoczął na Jachazjelu, synu Zachariasza, synu Benajasza, synu Fejela, synu Mattaniasza — lewicie spośród potomków Asafa. I rzekł on: „Wszyscy mieszkańcy Judy i Jerozolimy, i ty, królu, Jozafacie, słuchajcie uważnie. Tak do was mówi Jahwe: Nie bójcie się i nie lękajcie tego wielkiego mnóstwa, albowiem nie wy będziecie walczyć, lecz Bóg. Nie bójcie się i nie lękajcie! Jutro wyruszą im na spotkanie, a Jahwe będzie z wami”.*

*Wczesnym rankiem powstali i ruszyli ku pustyni Tekoa. Gdy ruszali, stanął Jozafat i rzekł: „Mieszkańcy Judy i Jerozolimy, posłuchajcie mnie: Zaufajcie waszemu Bogu, Jahwe, a ostaniecie się, zaufajcie Jego prorokom, a będzie się wam powodziło”.*

(2 Krn 20,1-4.14-15.17b-20).

Izrael rzeczywiście zwyciężył! Nie musiał przy tym wcale walczyć. Jahwe sprawił, że w obozie wrogów wybuchło zamieszanie, które zniweczyło ich armię. Opowiadanie Drugiej Księgi Kronik tak zostało literacko wystylizowane, by pokazać całkowitą darmość interwencji Bożej oraz pouczyć, na czym polega wkład człowieka w spełnienie się tego zbawienia. Współpraca człowieka polega fundamentalnie na wierze! *Mieszkańcy Judy i Jerozolimy, posłuchajcie mnie: Zawierzcie waszemu Bogu, Jahwe, a ostaniecie się, uwierzcie Jego prorokom, a będzie wam się powodziło* (por. 2 Krn 20,20).

To opowiadanie, niezależnie od tego, co w nim jest historią, a co nie, mówi nam o istotnej strukturze naszego także zbawienia; zbawienia, które nie jest już wyzwoleniem od przemocy wrogów zewnętrznych, ale od naszego wewnętrznego zła. Człowieka znajdującego się pod panowaniem tego zła Pismo Święte porównuje do umarłego, do istoty, która — użyjmy tego paradoksalnego określenia — fałszywie istnieje. To Bóg nas wyprowadza z tego stanu, odradzając nas za darmo do nowego życia, stwarzając nas jeszcze raz, bez żadnych naszych zasług, bez naszych uczynków. Jedynym warunkiem z naszej strony jest — tak jak to było w historii Jozafata — wiara.

Takie postawienie sprawy wydaje nam się dziwne. Za wiarę uważamy bowiem akt naszego rozumu, który uznaje za prawdę np. to, że Bóg jest jeden, ale w trzech osobach, że Jezus Chrystus jest Bogiem i człowiekiem, że zmartwychwstał, że narodził się z Maryi Dziewicy itd. Jakim cudem ten akt rozumu może mieć aż tak wielkie znaczenie, by być nieodzownym warunkiem naszego zbawienia? To istotnie byłoby dziwne, gdyby wiara była tylko tym, za co ją powszechnie uważamy. Jest to jednak bardzo zacieśnione pojęcie wiary, które w małym stopniu odpowiada temu, czym w Biblii de facto jest wiara.

Wiara — jak to już widać było w przeczytanym wyżej urywku z Księgi Kronik — jest czymś bardzo konkretnym, nie mającym w sobie zrazu nic z intelektualnego wyznawania abstrakcyjnych prawd dotyczących Boga. Akt wiary zakłada najpierw sytuację osaczenia, w której człowiek czuje się zagubiony i bezradny. Jozafat razem ze swoim ludem dowiaduje się, że powstała przeciw niemu koalicja sąsiadów dysponująca wojskiem o wiele liczniejszym niż jego. To oznacza koniec! Jego siły nie wystarczą, by temu podołać. Jozafat jest przerażony! Człowiek syty, zadowolony z siebie i pewny swych sił, który nigdy nie znalazł się w sytuacji udręki

i niespełnienia z trudem uwierzy. To był negatywny warunek ułatwiający powstanie wiary. A teraz, jak rodzi się wiara? Nie jakakolwiek wiara, ale ta, o którą w chrześcijaństwie chodzi, rodzi się ze słowa Bożego, które w taki czy w inny sposób zostaje człowiekowi zakomunikowane. Dla Izraela, który razem ze swoim królem modli się o ratunek, jest to słowo proroka, które zapowiada interwencję Boga: *Nie bójcie się! Bóg będzie walczył za was!* (por. 2 Krn 20,15). Jak widzimy, Bóg sam poprzez swoje słowo staje na drodze człowieka i obiecuje ratować jego doczesne życie. Wiara w swoim najpierwotniejszym znaczeniu zaczyna się wtedy, gdy człowiek spuści się na Boga, zacznie na Niego liczyć, weźmie na serio obietnicę Jego interwencji i będzie oczekiwał jej spełnienia; słowem, gdy człowiek zawierzy Bogu. Pismo Święte mówi, że w tym akcie Bóg odbiera od człowieka najwyższą chwałę (zob. Rz 4,20). To jest jasne! W akcie wiary człowiek nie tylko w abstrakcji, ale w konkretności swojego życia wybiera Boga jako jedyne, który może ocalić jego egzystencję. Nie przemyślność ani spryt, nie siła fizyczna ani moralna, nie przypadek, ale Bóg może mnie wybawić mówi niejako człowiek wierzący. To całkowite zdanie się na Boga, którym jest wiara, stwarza w nas przestrzeń, w której Bóg może rozwinąć całą swoją wszechmoc; ma On teraz wolne ręce do działania w nas. A Jego działanie jest zawsze ku naszemu dobru. Jozafat, zawierzywszy, otrzymuje w darze bez dalszego swego współdziałania zwycięstwo. Ten schemat powielony jest w Starym Testamencie nieskończoną liczbę razy. Bóg chciał w ten sposób przygotować lud Starego Przymierza, a dziś, gdy my czytamy historie starotestamentowe, chce przygotować nas do wiary chrześcijańskiej i wprowadzić w jej głębię.

Dla nas, chrześcijan, negatywną przesłanką wiary jest zdanie sobie sprawy i poczucie się źle w tej naszej wewnętrznej sytuacji, którą tak szeroko opisywaliśmy w naszych poprzednich pogadankach: niemożność prawdziwej czyli bezinteresownej i trwałej miłości; nasze ustawiczne szukanie siebie we wszystkim, wewnętrzne rozdarcie, szamotanie się i zmęczenie spowodowane gonitwą za pseudowartościami, które prędzej czy później okazują się złudne. Wiara chrześcijańska przychodzi do nas ze słowem Bożym, które słyszymy, gdy jest nam przepowiadana Ewangelia. W niej staje przed nami Jezus Chrystus, w którego śmierci i zmartwychwstaniu została zniszczona moc zła, które nas wiąże i jest silniejsze niż nasza dobra i najsilniejsza wola. Jezus Chrystus zmartwychwstały — głosi dalej Ewangelia — jest Panem, który dając nam swojego Ducha, może nas wewnętrznie zmienić, odrodzić, jeszcze raz

stworzyć. W Nim możemy stać się nowymi ludźmi, nad którymi grzech nie będzie miał władzy i którzy będą zdolni kochać tak, jak kocha Bóg.

Stajemy się ludźmi wierzącymi, gdy w Ewangelię i w obietnicę, jaką ona dla naszego życia zawiera, uwierzymy. Człowiek w tym momencie stawia jedynie na Boga; mając wzrok skierowany na Niego wierzy w możliwość swojej zmiany; to nic, że do tej pory w naszym życiu były ustawiczne rozczarowania, wracały ciągle te same grzechy, że nasz egoizm szedł dotąd za nami jak cień. Teraz Bóg obiecuje dokonać naszej naprawy; człowiek w obliczu tej perspektywy nie patrzy na własne nieprawdopodobieństwo i niemoc, ale na potęgę Tego, który obiecuje, i opiera się całkowicie i wyłącznie na Nim.

To był początek wiary! Życie człowieka wchodzi odtąd w nowy wymiar, staje się — jak to cudownie określa Stary Testament — obcowaniem, chodzeniem z Bogiem (zob. Mi 6,8). Na drodze wiary człowiek poznaje Boga. W całej Biblii wyrażenie „poznać Boga” nigdy nie oznacza teoretycznej tylko wiedzy o Nim; poznać Boga, to doświadczyć Go, to przekonać się na sobie, że On naprawdę istnieje, kocha człowieka, że nie opuszcza go nigdy w potrzebie; że spełnia swoje obietnice i rzeczywiście zmienia mentalność i zastarzałe zwyczaje człowieka. Wiara prowadzi do takiego właśnie poznania Boga. Człowiek wierzący (wierzący w sensie wyżej wyłożonym) doświadcza Boga w tym, co On dla jego życia uczynił, jak je wypełnił sensem i pełnią, jak je zmienił, jak niemożliwe uczynił możliwym. Kto ma za sobą takie doświadczenie Boga, ten jest człowiekiem odmienionym, gdyż zdany na Boga, pozwalającym, by w nim działała Jego moc. Najgłębszą tajemnicę chrześcijanina wyraził św. Paweł w słowach: *Teraz to już nie ja żyję, to żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie* (por. Ga 2,20). W kim żyje i działa Chrystus, ten potrafi kochać tak jak Chrystus. Oto dlaczego wiara dojrzała daje znać o sobie w czynach miłości. Bez nich jest ona wiarą martwą (zob. Jk 2,17), tzn.: taką, która nie ma mocy zbawiania.

Czym jest wobec tego nasze „Wierzę w Boga”, które odmawiamy w pacierzu i w czasie niedzielnej mszy? Skąd się wzięły te na pozór abstrakcyjne zdania na temat Boga, które uznajemy aktem rozumu za prawdziwe? U ich początków leży to poznanie Boga, o jakim wyżej mówiliśmy. To jest synteza tego, czego Kościół doświadczył zawierzyw-

szy Bogu. Kiedyś, gdy nasze katolickie wyznania wiary krystalizowały się, Kościół żył i doświadczał tego, co wyznawał. Nasze „Wierzę w Boga” wypłynęło z życia Kościoła.

Zakończmy naszą dzisiejszą pogadankę refleksją na temat wiary, którą żyjemy my, chrześcijanie XX w. Czy nasza wiara posiada i dziś także ten moment doświadczenia i poznania Boga, który stanowi jej duszę? Wiara tylko intelektualna, wiara będąca bardziej elementem sentymentalnej tradycji czy folkloru niż spotkaniem w głębiach naszego „ja” z Chrystusem zmartwychwstałym, jest wiarą niewystarczającą, słabą, niezdolną wpływać na nasze życie i przekształcać je. To właśnie to, co Pismo Święte nazywa wiarą martwą. Jak przejść od wiary martwej do wiary żywej? Nasze wrześnie audycje niedzielne zamierzają być wskazaniem drogi w tym kierunku.

22 sierpnia 1976 r.

### **Wiara rodzi się z przepowiadania i słuchania.**

Tłem naszych rozważań będą dzisiaj dwa fragmenty biblijne, jeden z Księgi Wyjścia mówiący o Przymierzu na Synaju, drugi z Księgi Kapłańskiej, zawierający urywek Prawa, które w Izraelu uważano za dar dany przez Boga w momencie zawierania Przymierza. Posłuchajmy:

*Mojżesz wstąpił wtedy do Boga, a Jahwe zawołał na niego z góry i powiedział: „Tak powiesz domowi Jakuba i to oznajmisz synom Izraela: Wyście widzieli, co uczyniłem Egiptowi, jak niosłem was na skrzydłach orlich i przywiodłem was do Mnie. Teraz jeśli pilnie słuchać będziecie głosu mego i strzec mego przymierza, będziecie szczególną moją własnością pośród wszystkich narodów gdyż do Mnie należy cała ziemia. Lecz wy będziecie Mi królestwem kapłanów i ludem świętym. Takie to słowa powiedz synom Izraela” (Wj 19,3–6).*

Dalej Jahwe powiedział do Mojżesza:

*Mów do całej społeczności synów Izraela i powiedz im: Bądźcie świętymi, bo Ja jestem święty, Jahwe, Bóg wasz!...*

*Nie będziecie wydawać niesprawiedliwych wyroków. Nie będziesz stronniczym na korzyść ubogiego, ani nie będziesz miał względów dla bogatego.*

*Sprawiedliwie będziesz sądził bliźniego. Nie będziesz szerzył oszczerstw między krewnymi, nie będziesz czytał na życie bliźniego. Ja jestem Jahwe! Nie będziesz żywił w sercu nienawiści do brata. Będziesz upominał bliźniego, aby nie zaciągnąć winy z jego powodu. Nie będziesz szukał pomsty, nie będziesz żywił urazy do synów twego ludu, ale będziesz kochał bliźniego jak siebie samego. Ja jestem Jahwe! (Kpł 19,1-2.15-18).*

W tej lekturze znajdziemy wiele momentów bliskich naszemu chrześcijańskiemu doświadczeniu wiary. Wymieńmy tylko dwa z nich.

Pierwszym jest prawo żydowskie, które w tym passusie nie jest już właściwie prawem w naszym rozumieniu tego słowa, ale zachętą do wejścia w jego istotę i jedyną rację bytu: w miłość. *Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego* (por. Kpł 19,18). To przykazanie, które w Starym Testamencie gubi się w gąszczu innych praw, zostało przez Chrystusa ustanowione fundamentem i szczytem chrześcijaństwa. Chrystus przejął je w jego dosłownym brzmieniu, sprecyzował tylko bliżej drugą jego część, owo „jak siebie samego”. „Jak siebie samego” w wydaniu chrześcijańskim znaczy: „jak ja, Jezus Chrystus, was umiłowałem”. Jezus Chrystus umiłował nas aż do oddania swego życia za nas, Jego wrogów. Św. Paweł pisze: *Chrystus umarł za nas jako za grzeszników w oznaczonym czasie, gdyśmy jeszcze byli bezsilni. Albowiem z największą tylko trudnością podejmuje się ktoś umrzeć za człowieka sprawiedliwego. Jeszcze za człowieka życzliwego może odważyćby się ktoś ponieść śmierć. Bóg swoją miłość ku nam okazuje przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy jeszcze byli grzesznikami* (por. Rz 5,6-8). Taka jest też miara miłości chrześcijańskiej — miłość do nieprzyjaciela! Powiedzmy więcej jeszcze. Jest to jedyne kryterium, po którym można poznać, czy ktoś jest naprawdę chrześcijaninem, czy z imienia tylko. Jedyne kryterium! By stać się człowiekiem w potocznym tego słowa znaczeniu uczciwym, pracowitym, lojalnym, odpowiedzialnym itd., nie trzeba być chrześcijaninem. To są zalety ogólnodostępne, do których osiągnięcia wystarczy ludzka dobra i silna wola. Czego jednak nikt nie posiada i nie może posiadać, poza tymi, którzy są naprawdę chrześcijanami, to miłość, która nie ustaje w obliczu wroga. Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego zostało w Chrystusowym Kazaniu na Górze wypełnione taką oto praktyczną treścią: *Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb, a Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz. Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków,*



*idź dwa tysiące... Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują... Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią? I jeśli pozdrawiacie tylko swych braci, cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią? Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski (Mt 5,38–48).* O takich wymiarach miłości należy pamiętać, czytając starotestamentowy tekst z Księgi Kapłańskiej.

Drugim momentem bliskim naszemu chrześcijańskiemu doświadczeniu wiary, który znajdujemy w przeczytanej wyżej lekturze biblijnej, jest opis tego, co Bóg uczynił dla Izraela. *Wyście widzieli, co uczyniłem Egipcjowi, jak niosłem was na skrzydłach orlich i przywiodłem was do Mnie (Wj 19,4).* To jest obraz i figura tego, co Bóg dla nas uczynił. Dzięki Jezusowi Chrystusowi i w Nim została zniszczona moc naszych wrogów — grzechu i śmierci, których symbolem biblijnym jest niewola egipska. My także zostaliśmy wyrwani spod władzy grzechu i jakby na skrzydłach orła przyprowadzeni do Boga, który żyjąc w nas czyni nas nowym stworzeniem, posiadającym w sobie Jego naturę. Zwróćmy uwagę na sekwencję faktów: najpierw Bóg czyni dla człowieka wielkie rzeczy, które radykalnie zmieniają jego egzystencję; najpierw wyprowadza go z niewoli na wolność, a potem dyktuje swoje przykazania i żąda ich zachowania. Tak samo jest w chrześcijaństwie. Najpierw Bóg wybawia człowieka z tyranii grzechu; czyni to przez śmierć i zmartwychwstanie swego Syna i przez wewnętrzne wskrzeszenie z martwych i odrodzenie człowieka, przez co dokonuje się radykalna zmiana w naszej egzystencji, przejście do nowego sposobu istnienia; najpierw za sprawą Boga dzieje się w nas to wszystko, a potem dopiero Bóg nakłada nam swoje prawo Kazanie na Górze — i żąda jego zachowania. A teraz ważne stwierdzenie: nikt z ludzi nie jest w stanie żyć według logiki Kazania na Górze, jeżeli przedtem nie dozna w sobie tej przemiany wewnętrznej, której swoją mocą może i pragnie w nas dokonać zmartwychwstały Chrystus. Innymi słowy: by po chrześcijańsku żyć, trzeba najpierw chrześcijaninem się stać. To ostatnie dokonuje się w chrzcie; z jednym jednak zastrzeżeniem. W chrzcie zostaje w nas złożone nasienie nowego życia; jeżeli ono się nie rozwinie w dojrzałym wieku człowieka, z chrześcijaństwa pozostaje tylko etykieta.

Jeżeli ktoś ciekawy lub może zmartwiony anemią własnego życia religijnego zacząłby się w tym miejscu dopytywać, co trzeba robić, by chrześcijaństwo przestało być etykieta, a stało się samym życiem,



biblista może dać jedną tylko odpowiedź. Jest ona następująca: Pierwsze ożywienie daru otrzymanego w chrzcie może nastąpić tylko tam, gdzie się przepowiada Dobrą Nowinę, i gdzie się jej słucha. Pismo Święte bowiem mówi: *Wiara jest z przepowiadania* (por. Rz 10,17). Wzrost zaś życia wiary uwarunkowany jest równoczesną obecnością i oddziaływaniem na człowieka trzech czynników: słowa Bożego zawartego w Biblii, sakramentów i życia w prawdziwej, nie fikcyjnej wspólnocie kościelnej. Do tego należy dołączyć modlitwę. Nie ma zdrowego i normalnego życia chrześcijańskiego bez tych elementów.

Powyższa recepta jest również pytaniem postawionym naszemu duszpasterstwu, takiemu, jakie się uprawia po naszych diecezjach i parafiach. Czy jest w nim miejsce na wszystkie wyżej wymienione czynniki? Tylko w przypadku odpowiedzi w całości pozytywnej można będzie powiedzieć, że nasze duszpasterstwo jest rzeczywiście tym, co wyraża jego nazwa: prowadzeniem na zdrowe i życiodajne pastwiska Bożego ludu.

29 sierpnia 1976 r.

## **Rozdział 2.**

# **ŻYCIE PIERWSZYCH CHRZEŚCIJAN**

### **Rozwój pierwszych wspólnot chrześcijańskich.**

W naszym nowym cyklu radiowym poświęconym sprawom pierwotnego Kościoła zajmować się będziemy życiem chrześcijan w II w. po Chr. Z dwóch powodów nasz wybór padł na ten właśnie okres w historii. Jest to, po pierwsze, okres dla dziejów chrześcijaństwa bardzo delikatny i bardzo ważny zarazem. Kościół jest w tym momencie swojej historii — używamy tu słów Renana — jak dziecko, które posiada już dostatecznie rozwinięte wszystkie organy potrzebne mu do życia, odłącza się od matki i zaczyna żyć życiem autonomicznym. W II w. była jeszcze bardzo żywa pamięć apostołów. Pod koniec tego wieku Św. Ireneusz z Lyonu cytował będzie słowa Św. Jana, które mu przekazał mistrz jego młodości, Św. Polikarp, biskup Smyrny, który sam był uczniem ostatniego apostoła. Chrześcijanie, głęboko przywiązani do wspomnień przeszłości, łączą wierność wobec tradycji z odwagą i otwierają przed Kościołem nowe horyzonty, pragnąc, by otrzymany w spadku talent wiary przynosił ciągle nowe owoce. Wspólnoty chrześcijańskie nie zamykają się w getcie; ich wewnętrzna witalność każe im nie bać się konfrontacji z państwem i ze współczesną kulturą. II wiek jest więc jeszcze okresem pierwszej gorliwości, a jednocześnie czasem dynamicznego rozwoju, nie bojącego się ryzyka. Tu leży korzeń jego jeszcze większej mocy wewnętrznej, ale też i kryzysów, które się uwidoczną w dwóch następujących wiekach.

Druga racja, dla której zajęliśmy się tym okresem dziejów Kościoła, leży w tym, że wiek ten wyraźniej niż późniejsze czasy pokazuje nam Kościół będący w swej całości i w swoich wspólnotach lokalnych wielkim znakiem dla pogańskiego społeczeństwa, w którym żył; znakiem budzącym podziw u jednych, a sprzeciw u drugich. Kościołowi, by mógł spełniać wobec świata funkcję znaku zbawienia, nie mogą wystarczyć

święte jednostki. W myśli Boga Kościół ma być znakiem jako święty lud, święta wspólnota, której fundamentem i spoiwem jest Chrystusowy typ miłości aż do krzyża, miłości, do której człowiek sam z siebie nie jest zdolny. II wiek pokazuje nam, że znak taki istniał, że ideał chrześcijaństwa w jego wymiarze wspólnotowym był rzeczywiście realizowany przez zwykłych, szarych chrześcijan, że nie jest on wobec tego utopią.

Z tego powodu główny akcent w naszych audycjach położony będzie na życie codzienne pierwszych chrześcijan, choć z początku siłą rzeczy będziemy się musieli zająć naszkicowaniem pewnych ogólnych ram, w których to życie się rozwijało.

Naszym przewodnikiem po tych często ciemnych zakamarkach historii będzie jeden z najbardziej kompetentnych znawców starożytności chrześcijańskiej, długoletni profesor patrystyki w Montrealu, Quebec, a obecnie w Rzymie, Adalbert Hamman, który na ten temat opublikował w 1973 r. pracę pt. „*La vie quotidienne des premiers chretiens*” („*Życie codzienne pierwszych chrześcijan*”).

W dzisiejszej pierwszej audycji rzucimy okiem na ramy geograficzne ekspansji chrześcijaństwa w II w.

Jerozolima — Rzym: oto pierwszy etap natarcia. Dokonał się on w I w. Kościół, narodzony w świętym mieście Żydów, jeszcze za życia apostołów Piotra i Pawła zatyka krzyż w stolicy Imperium. Wystarczyła niepowstrzymana i mocna jak wulkan wiara apostoła Pawła, by Ewangelia w jednym pokoleniu przebiegła w odwrotnym kierunku drogę, którą w znoju walk torowały przez dziesiątki lat legiony rzymskie: Antiochia, Cypr, Efez, Filipi, Korynt, Ateny, Rzym i dalej jeszcze Hiszpania — te najdalsze krańce Zachodu, jak ją wtedy nazywano. W 64 r. jest w Rzymie tylu chrześcijan, że nie ma w tym milionowym mieście człowieka, który by o nich nie słyszał. Niechęć zaś do nich jest tak powszechna, że podły manewr Nerona, który na nich zrzuca winę za spalenie Rzymu, nie budzi niczyich podejrzeń czy oporów. Środowisko chrześcijańskie stolicy, Rzymu, jest bardzo kosmopolityczne. Świadczy o tym rodowód czternastu pierwszych biskupów Rzymu. Tylko czterech z nich było rodowitymi Rzymianami, trzech pochodziło z innych stron Italii, pięciu było rodem z Grecji, jeden był Syryjczykiem, a papież Wiktor, ostatni z tej listy, żyjący pod koniec II w., pochodził z Afryki. Chrześcijanin tamtych czasów, jak wszyscy, spoglądał na

Rzym, stolicę zdobywców, ale innymi oczyma. Widział on w niej swoją metropolię duchową uświęconą męczeństwem św. Piotra, centrum tej wielkiej rodziny, którą czuli się rozproszeni po całym świecie wyznawcy Chrystusa.

II wiek, oprócz utrwalenia się Kościoła w Rzymie, jest czasem, w którym chrześcijaństwo epoki apostołów, obecne głównie w portach śródziemnomorskich Azji Mniejszej i południowo-wschodniej Europy oraz w miastach leżących wzdłuż głównych szlaków komunikacyjnych lądowych, zdobywa nowe tereny. W Azji Mniejszej wdziera się np. do Bitynii i Pontu leżących nad brzegiem Morza Czarnego, nie omijając nawet małych miast i wsi. Dowodem żywotności i ekspansji Kościoła w tych dwóch prowincjach jest pochodzący ze 112 r. list Pliniusza Młodszeo do cesarza Trajana. Wspólnoty chrześcijańskie są tam do tego stopnia dynamiczne, że wzbudzają wokół siebie zawiść, która popycha do anonimowych donosów. Pliniusz w charakterze legata rzymskiego przemierzywszy wzdłuż i wszerz powierzone swojej jurysdykcji tereny stwierdził, że chrześcijanie stanowią w nich poważny tłum, który zaczyna zagrażać instytucjom socjalnym i religijnym Imperium. Miasta i wsie są przez nich zaatakowane — pisze zaniepokojony legat, porównując rozszerzające się chrześcijaństwo do zarazy. Zachodnia Azja Mniejsza ma już na początku tego wieku solidną organizację kościelną. Siedem listów do Kościołów, zamieszczonych w pierwszych rozdziałach Apokalipsy, oraz listy św. Ignacego, świadczą o istnieniu na tamtych terenach przynajmniej dziesięciu stolic biskupich, które wszystkie grawitują wokół Efezu i Smyrny.

Pięćdziesiąt lat później, za panowania Marka Aureliusza, odślania się nam obraz Kościoła obecnego na prawie wszystkich ziemiach Imperium. Niektóre inskrypcje świadczą o obecności chrześcijańskiej w Marsylii, Kościół zaś w Lyonie zapisał pod koniec II w. jedną z najchlubniejszych kart swej historii. Początki wspólnoty lionńskiej giną w zupełnym mroku. Ewangelię do tego ważnego w Imperium ośrodka handlu i rzemiosła zanieśli bez wątpienia chrześcijańscy anonimowi kupcy, rzemieślnicy i lekarze, których ściągała tu sława miasta. Gdy braci było tu już tylu, że mogli się oni ukonstytuować w nowy Kościół lokalny, wspólnoty-matki posłały im biskupa, Potyna. W 177 r. wspólnota lionńska została poddana próbie prześladowania. Męczennicy, których imiona greckie i łacińskie znamy, rzucają nam światło na etniczny i socjalny skład Kościoła. Należeli do niego ludzie miejscowi i przybysze z Azji, kupcy i bogate

matrony. Św. Ireneusz, który po Potynie obejmie biskupstwo lionńskie, będzie się czuł odpowiedzialny za wiernych rozsianych po olbrzymim terytorium, sięgającym od ujścia Rodanu aż po góry bieg Renu.

Innym terenem, na którym w II w. „wybuchło” chrześcijaństwo, jest Afryka Północna. Jej życie polaryzowało się wokół dwóch wielkich miast, Aleksandrii i Kartaginy. Kościół w tym ostatnim mieście znalazł prawdopodobnie swoich pierwszych wyznawców wśród niektórych miejscowych Żydów oraz robotników portowych, którzy usłyszeli o Ewangelii z ust nawróconych marynarzy i kupców zawijających każdego dnia do tego portu. Chrześcijaństwo rozszerzyło się w tych stronach jak ogień, nie oszczędzając osad leżących w górach i na skraju Sahary. 17 lipca 180 r. ścięto w Kartaginie dwunastu chrześcijan — siedmiu mężczyzn i pięć kobiet. Wszyscy oni byli ubogimi rolnikami, których ściągnięto z głębi kraju, ze Scillium, na pokazowy proces do Kartaginy. Za panowania Marka Aureliusza wspólnota kościelna w Kartaginie przyjęła w swoje szeregi wybitnego konwertytę, adwokata Quintusa Septymiusza Tertuliana. Spod jego pióra, przy różnych okazjach, wyszedł taki oto, trochę emfatyczny opis obecności chrześcijańskiej w Afryce Północnej: Naszą wiarę wyznają tysiące osób — mężczyzn i kobiet, należących do wszystkich warstw społecznych. W każdym mieście więcej niż połowa ludności to chrześcijanie. Gdyby oni opuścili miasta, pozostałyby one puste. Narodziliśmy się dopiero wczoraj, a już wypełniamy całą ziemię; miasta, ich przedmieścia, wsie, daleko mieszkające szczepy, urzędy, senat, pałace, rynek, miejsca pracy; brak nas tylko w świątyniach. Jest w tym bez wątpienia trochę przesady, ale niewiele. Prowincja kościelna, która w 220 r. zgromadziła na swym pierwszym synodzie siedemdziesięciu biskupów z Afryki północno-zachodniej musiała rzeczywiście posiadać imponującą liczbę chrześcijan.

Analogicznie bujny rozwój przeżywał Kościół grawitujący wokół Aleksandrii w Egipcie. W mieście tym, w którym kwitły filozofia i kultura, chrześcijaństwo przybrało szybko pewną strukturę intelektualną, która wnet stanie się chlubą tego Kościoła. W 180 r. Panten, w którym połączyły się zapał ewangelisty i refleksja myśliciela, otworzył tam szkołę dla katechumenów, którą można by nazwać pierwszym uniwersytetem chrześcijańskim. Demetriusz, biskup Aleksandrii z końca II w., pierwszy, o którym wiemy coś więcej niż samo tylko imię, rozumiał i popierał to połączenie Ewangelii z refleksją filozoficzną.

Chrześcijaństwo w swoim niepowstrzymanym pochodzie przekroczyło nawet w tym okresie granice Imperium. Dotarło ono bowiem do małego państwa Osroene, leżącego na terenie dzisiejszego Iraku, gdzie ścierały się wtedy kolejno wpływy Rzymian i Partów. Pod koniec II w. istniało tam wiele zorganizowanych wspólnot kościelnych, których duchowym ośrodkiem była Edessa, stolica państwa. Edessa ukazuje się nam w tym okresie jako centrum intensywnej chrześcijańskiej działalności literackiej — dwa wielkie imiona z tej dziedziny to Tacjan i poeta Bardesanes — i jako miejsce promieniowania Ewangelii na Armenię i Persję.

W takich oto ramach geograficznych i organizacyjnych rozwijało się życie chrześcijańskie. Jego rozmaitym przejawom przyjrzymy się w naszych następnym pogadankach.

*7 lipca 1976 r.*

### **Spółeczny przekrój pierwszych wspólnot chrześcijańskich.**

W dzisiejszej pogadance radiowej spojrzymy na chrześcijan II w. okiem socjologa. Interesować nas zatem będzie pochodzenie społeczne członków wspólnot chrześcijańskich oraz jakie zawody są w nich reprezentowane. Ten punkt widzenia pozwoli nam zobaczyć, że chrześcijaństwo w swej ekspansji pokonało nie tylko ogromne przestrzenie geograficzne, ale obaliło także bariery społeczne, kulturalne, etniczne, które jak to wiemy aż nadto dobrze z doświadczenia — oddzielają ludzi od siebie.

Chrześcijaństwo w I i na początku II w. cieszyło się dużą popularnością przede wszystkim wśród ubogich warstw ludności Imperium. Wyznawała je pokaźna liczba niewolników. Ta okoliczność była dla pogan powodem szyderstw pod adresem chrześcijan. Mawiano np. ironicznie, że Ewangelia przekonuje jedynie prostaczków, ubogich, niewolników, kobiety i dzieci. Złośliwość ludzka, zaślepiona chęcią skompromitowania Kościoła za wszelką cenę, przymykała jednak oczy na fakt, że od samego początku chrześcijaństwo skupiało w swych szeregach ludzi z zamożnych i wykształconych warstw społeczeństwa. Pobieżna nawet lektura Dziejów Apostolskich i Listów Pawłowych może nam dostarczyć wiele przykładów. W II w. napływ katechumenów

pochodzących z wyższych warstw społecznych zwiększa się w sposób widoczny. Już w 112 r. faktem, który najbardziej dziwi Pliniusza Młodszeo, jest zróżnicowanie charakteryzujące wspólnoty chrześcijańskie w Bitynii. Zobaczył on w nich ludzi starych i młodych, mężczyzn i kobiety, niewolników i wolnych obywateli rzymskich. Między wierszami krótkiego listu Pliniusza poświęconego problemowi chrześcijan wyczuwa się zdumienie, że jest ich aż tylu i że będąc tak różnorodni, trzymają się razem. Czegoś takiego obeznany ze światem legat rzymski widocznie jeszcze nie widział. Bardziej szczegółowe dane, które posiadamy na temat Kościoła w Aleksandrii, Rzymie, Kartaginie i Lyonie, potwierdzają ten stan. W II w. we wszystkich większych ośrodkach miejskich chrześcijanie reprezentują wszystkie poziomy społeczne. W Rzymie Kościół posiada swych wyznawców na dworze cesarskim (nawet faworyta cesarza Kommodusa, Marcia, nie kryła się ze swą sympatią dla chrześcijan). Chrześcijanie są w gwardii pretoriańskiej, w bogatych rodzinach patrycjuszowskich i rycerskich, w szkołach sofistów i filozofów, wśród drobnych rzemieślników, pracowników rolnych i niewolników. Podobnie wyglądała sytuacja we wspólnocie lionńskiej. W związku z prześladowaniem, które tam wybuchło w 177 r. zachowały się imiona i relacje o wielu członkach tamtejszego Kościoła. Wetiusz Epagot był np. miejscowym notablem, mieszkającym w eleganckiej dzielnicy miasta, Aleksander był lekarzem, Atiusz i Attaliusz — bogatymi kupcami, Blandyna — niewolnicą.

To, co najbardziej uderza bezstronnego obserwatora wspólnot chrześcijańskich tamtego okresu, to duch braterstwa, który jednoczył tych tak różnorodnych wyznawców Chrystusa. W Kościele obalone zostały wielowiekowe podziały, które niczym przepaść oddzielały w Imperium Rzymskim niewolników od ludzi wolnych i bogatych od ubogich. W Kościele zarówno niewolnik jak i obywatel posiadali duszę człowieka wolnego, a świadomość tej równości była tak mocna, że nigdzie, na żadnym nagrobku chrześcijańskim, nie znajdujemy aluzji do stanu niewolniczego kogokolwiek. O dwóch biskupach rzymskich, Piusie i Kalikście, wiemy, że początkowo byli niewolnikami, ale to wcale nie przeszkadzało chrześcijanom — członkom wybitnych rzymskich rodzin Korneliuszów i Pomponiuszów — przyjąć błogosławieństwo od papieży, którzy nosili na sobie wypalone znamię ich dawnej przynależności do stanu niewolniczego. Duch miłości i jedności cechujący wtedy wspólnoty chrześcijańskie nie tylko wyrażał się w tym, że jedynymi tytułami, z którymi zwracano się do siebie nawzajem, były słowa „bracie” i „siostrzo”, ale

także w poczuciu, że majątek i dobra, które ktoś posiada, należą do wszystkich. Tym też odcinali się chrześcijanie ostro od otaczającego ich pogańskiego środowiska, gdzie czymś normalnym była nędza jednych i obojętność na nią drugich. Bogaci chrześcijanie oddawali część swoich dochodów do wspólnej kasy kościelnej, z której biskup, korzystając z pomocy diakonów, utrzymywał wdowy, sieroty, pomagał starzejącym się niewolnikom, rozbitkom morskim, dziewczętom bez posagu, przyjeźdźnym z innych wspólnot. Sto lat później, gdy cesarz będzie chciał zagarnąć tę wspólnotową kasę, diakon Wawrzyniec przedstawi mu listę zawierającą tysiąc pięćset imion ubogich i wydziedziczonych chrześcijan, którzy z tej wspólnotowej kasy żyli. Dla Tertuliana, jak sam wyznaje w swoim „Apologetyku”, ta czynna miłość i jedność była jednym z głównych dowodów wiarogodności chrześcijaństwa i powodem jego osobistego nawrócenia. W imię Chrystusa, jedynego Jednoczyciela, znikwały w środowisku chrześcijan wszystkie dzielące ludzi bariery. Zjawisko to było tak powszechne, że pod koniec III w. Laktancjusz napisze takie oto słowa: *Wśród nas nie istnieją niewolnicy i panowie, w ogóle nie istnieją wśród nas żadne podziały, gdyż wszyscy uważamy się za równych. Niewolnicy i panowie, wielcy i mali są równi dzięki skromności i dyspozycji serca, która ich oddala od wszelkiej próżności.*

Rzućmy teraz krótko okiem na stosunek chrześcijanina do zawodu i do pracy. Podczas gdy np. Grecja gardziła pracą fizyczną, a Apoloniusz z Tiany uważał za degradację zajmowanie się handlem, chrześcijaństwo zrehabilitowało wszelką uczciwą pracę. Na wielu nagrobkach chrześcijańskich czytamy pochwałę za rzetelnie wykonywaną pracę fizyczną. Ideałem chrześcijan w tamtej epoce była, jak się wydaje, praca dla utrzymania życia bez ducha zysku i chciwości. Jakżeż bowiem inaczej wytłumaczyć zarzut pogan pod ich adresem, że są oni w pracy mało produktywni i nie dbają o swoje wzbogacenie się? Chrześcijanin po swoim nawróceniu się i po chrzcie zatrzymywał po prostu zawód, który wykonywał przedtem. Relatywizował się jedynie jego stosunek do pracy. *My żyjemy w waszym świecie — pisał z dumą Tertulian w 197 r. — jesteśmy razem z wami na forum, na rynkach, w łaźniach, w sklepach i magazynach, w hotelach, na targowiskach i w stoiskach wymiany, pieniędzy. Nasi są marynarzami, służą w wojsku, pracują na ziemi, zajmują się handlem, wymieniając z wami owoce swoich uzdolnień artystycznych i swojej pracy.* Jak widać z tego cytatu, żadna praca nie była obca chrześcijaninowi; istotnie, mamy świadectwa, że byli wśród nich lekarze, prawnicy, handlarze, urzędnicy państwowi, żołnierze i oficerowie, nauczyciele i filozofowie, nie mówiąc o różnego



rodzaju rzemieślnikach, których było najwięcej. Co do pewnych zawodów miał jednak Kościół swoje zastrzeżenia. Należał do nich np. zawód bankiera i lichwiarza. Rezerwę dyktowało tu doświadczenie. Zbyt często się zdarzało, że pieniądź przyklejał się do ręki tych, którzy nim manipulowali, zajmując, co gorsza, w sercu miejsce Boga. Nie był to rzadki przypadek, skoro w najwcześniejszych dokumentach kościelnych znajdujemy tyle napomnień przestrzegających przed tym złem. Innym zawodem, który nie był bezproblemowy w Kościele, był zawód filozofa. W drugiej połowie II w. wielu z nich nawróciło się na chrześcijaństwo, jednak mało było wśród nich takich jak Justyn w Rzymie czy Panten w Aleksandrii, którzy w swoich szkołach dali prawo obywatelstwa myśli chrześcijańskiej, a nawróconym na chrześcijaństwo prawo do myślenia. Poważny procent z nich to ludzie — jak się później okazało — źle lub powierzchownie nawróceni, którzy swoimi spekulacjami gnostycznymi zagrozili ortodoksji i jedności wiary. Kościół, który z takim zaufaniem otworzył przed nimi swoje drzwi, rychło przekonał się, że symbioza wiary i filozofii nie zawsze będzie bezkonfliktowa i że wiedza jest często niemałą przeszkodą w nawróceniu się. Wiedza nadyma (zob. I Kor 8,1), jak pisał św. Paweł, a praktyka pokazała, że miał rację.

Po początkowym okresie poparcia i niedostrzegania problemu pojawiły się w Kościele II w. również wątpliwości co do zawodu żołnierza. Tu już w grę wchodziły same principia. Czy wolno chrześcijaninowi w ogóle zabijać kogokolwiek? Jak pogodzić zawód żołnierza z obowiązującą każdego wyznawcę Chrystusa etyką Kazania na Górze? Czy istnieją w ogóle wojny moralne? Zdania były tu podzielone i nigdy nie ustaliła się w tym względzie jednolita i długotrwała praktyka. Faktem jest, że w II i III w. w wielu miejscach, np. w Kościele rzymskim, odradzano chrześcijanom zaciąganie się na służbę wojskową, a przynajmniej zabraniano im w czasie bitew zabijać kogokolwiek. Ściągnęło to na chrześcijan krytykę Celsusa, który zarzucał im podkopywanie fundamentów Imperium. Co by się stało — pisał on — gdyby wszyscy tak samo rozumowali i postępowali? Cesarz w krótkim czasie pozostałby bez obrony, a Imperium byłoby zdane na łaskę barbarzyńców. Orygenes odpowiedział mu, że cesarz bardziej potrzebuje chrześcijan niż żołnierzy.

Pewne prace były od samego początku kategorycznie przez Kościół zakazane. Należą do nich wszystkie zawody związane z magią i astrologią, igrzyskami cyrkowymi, zawód konstruktora i dekoratora świątyń pogańskich, zawód aktora i tancerza, zbyt często połączone z roz-

wiązłością i mitologią braną wtedy na serio. Katechumenom, którzy wykonywali takie zawody, stawiano przed chrztem twarde: albo — albo.

Ta nieprzejednana postawa skazywała na bezrobocie wielu nawróconych.

Nie oznaczało to jednak życia w nędzy. Wspólnota brała na siebie odpowiedzialność za egzystencję nowo nawróconego i jego rodziny, umożliwiając mu znalezienie innej pracy lub utrzymując go ze wspólnej kasy.

Wiele uczy nas takie postępowanie pierwotnego Kościoła. Potwierdza ono najpierw to, co o braterstwie pierwszych wspólnot chrześcijańskich powiedzieliśmy wyżej; po drugie pokazuje, jak trudno było żyć chrześcijanom w świecie zaludnionym przez bóstwa pogańskie; po trzecie wyjaśnia nam, jak głęboko w egzystencję człowieka wrzynało się chrześcijaństwo i jak poważnie i całościowo było ono przyjmowane i przeżywane.

14 lipca 1976 r.

## **Wezwani, aby być znakiem sprzeciwu w świecie.**

Pod koniec II w. jakiś nie znany z imienia chrześcijanin żyjący prawdopodobnie w Aleksandrii, pisze otwarty list do niejakiego Diogneta, poganina, w którym tak charakteryzuje chrześcijan i ich życie:

*Chrześcijanie nie odróżniają się od innych ludzi ani jakimś specjalnym terytorium, ani językiem, ani zwyczajami. Nie zamieszkują osobnych miast, nie mają własnego języka, nie prowadzą jakiegos osobliwego trybu życia. Ich nauka nie jest owocem refleksji czy poszukiwań filozofów goniących ustawicznie za nowościami; nie wyznają oni, jak tylu innych, żadnego systemu filozoficznego. Mieszkają w miastach zarówno greckich jak i barbarzyńskich, jak komu wypadnie, i mimo że w ubiorze, jedzeniu i we wszystkich innych sprawach idą za zwyczajami miejscowymi, prowadzą tryb życia wspaniały i, jak to wielu wyznaje, niewiarygodny. Mieszkają w swojej ojczyźnie, ale jakby byli cudzoziemcami; wykonują wszystkie obowiązki dobrego obywatela i nie uchylają się od żadnych ciężarów, ale czynią to jakby byli przyjezdnymi gośćmi. Każda obca ziemia jest dla nich ojczyzną, każda ojczyzna jest dla nich obcą ziemią. Tak*

*jak wszyscy zenią się, wychodzą za mąż i rodzą dzieci, ale nigdy nie zabijają nowego życia. Mają wspólnotę dóbr, ale nie łoża.*

*Żyją w ciele, ale nie według ciała. Żyją na tej ziemi, ale czują się obywatelami nieba. Są posłuszni ziemskim prawom, ale ich sposób życia wynosi ich ponad wszelkie prawo. Kochają wszystkich, a wszyscy ich nienawidzą. Są nieznanymi, a jednak ustawicznie padają na nich wyroki. Posyła się ich na śmierć, a oni w niej otrzymują życie. Są ubogimi, a wzbogacają wszystkich. Brak im wszystkiego, a obfitują we wszelkie dobra. Są pogardzani, a oni uważają to za tytuł chwwały. Szkaluje się ich na wszystkie sposoby, a jednak przyznaje się im ustawicznie rację.*

*Gdy wyrządza się im krzywdę, oni błogosławią; gdy traktowani są haniebnie, odpowiadają szacunkiem. Mimo że czynią dobrze, karze się ich, jakby byli złoczyńcami. Gdy muszą znosić karę, cieszą się, jakby im ktoś dawał życie. Żydzi ustawicznie toczą z nimi wojnę, poganie ich prześladują. Ale ci, którzy ich nienawidzą, nie potrafią powiedzieć, jaki jest powód ich wrogości. Słowem, chrześcijanie są dla świata tym, czym dusza jest dla ciała. Bóg ich umieścił w tym zaszczepionym miejscu i oni nie mogą stamtąd zdezerterować.*

Ten tekst, prawdziwy klejnot literatury wczesnochrześcijańskiej, doskonale uwypukla pewien istotny rys chrześcijaństwa: każdy jego szczerzy wyznawca, każde środowisko autentycznie chrześcijańskie jest dla świata znakiem, czymś, co zwraca na siebie uwagę i co wywołuje zachwyt jednych i sprzeciw drugich. Chrześcijaństwo, tak jak Chrystus, jest znakiem, któremu sprzeciwić się będą (zob. Łk 2,34). Wyznawcy Chrystusa w II w. aż nazbyt często doświadczyli prawdy tego znaczenia. Chrześcijanin tamtych czasów miał żywszą niż kiedykolwiek świadomość tego, że Bóg powołał go do swojego świętego Kościoła nie tylko po to, aby siebie zbawił, ale przede wszystkim po to, by być dla świata światłem i solą. Z tego to właśnie powodu chrześcijaństwo chciało być za wszelką cenę obecne w świecie; dla tej racji unikało ono życia w getcie, bo to równałoby się zdradzie misji, jaką Bóg mu powierzył. Z drugiej jednak strony chrześcijanie wiedzieli, że ...świat — jak mówi Pierwszy List św. Jana — leży w mocy Złego (1 J 5,19). Wyrwani spod jego władzy, doświadczwszy Boga, Jego miłości i Jego potęgi, wyznawcy Chrystusa nie mogli się z tym światem utożsamić. I dlatego chrześcijanin, chociaż żył jak inni — można go było spotkać w termach i w bazylikach — chociaż wykonywał te same zawody co inni, czynił to jednak inaczej, dobrze i sumiennie oczywiście, lecz z jakimś dystansem, tak

jakby wszystko na tej ziemi było dla niego względne, nie najważniejsze. Część jego egzystencji nie mieściła się w normalnych ludzkich schematach. I to drażniło pogan. W obronie własnego świata, którego słuszność i oczywistość były kwestionowane przez nieme świadectwo chrześcijan, zaczęli oni reagować na niepożądanych intruzów oszczerstwami i prześladowaniem.

Reakcja przeciw chrześcijanom przyszła z dwóch kierunków — ze strony państwa i ze strony tłumu. W stosunku do państwa chrześcijanie głosili lojalność i posłuszeństwo. Może się to wydawać dziwne, ale to fakt, że niektórzy wybitni biskupi i pisarze II w., np. św. Ireneusz z Lyonu, Melito z Sardes, Atenagoras prześcigają się w pochwałach pod adresem Imperium, sławiąc dobroczynną *pax romana*, oraz podkreślając solidarność losów Imperium i Kościoła, nazywając ten ostatni przybraną siostrą Rzymu. Te entuzjastyczne głosy wnet jednak w chrześcijaństwie przycichły, dając miejsce coraz poważniejszym zastrzeżeniom. Pojawiały się one w miarę, jak zaczęto sobie w Kościele zdawać sprawę z totalitarnego charakteru władzy cesarskiej. Świadomość polityczna tamtych czasów wcielała się w osobę cesarza, który był panem absolutnym wszystkich i wszystkiego, nie wyłączając ludzkich sumień. Znalazło to swój najwyższy wyraz w kulcie religijnym oddawanym cesarzom. Ktokolwiek zakreślał granice ich władzy w imię wolności wewnętrznej człowieka, w imię suwerenności innego boga niż cesarz, ten musiał być uważany na element zagrażający najbardziej istotnym strukturom państwa. Oto przyczyna, dla której frontalne zderzenie między państwem a chrześcijaństwem było nieuniknione. Władza rzymska nie od razu jednak zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie dla niej przedstawia Kościół. Pierwsze prześladowania, które miały miejsce w I i w II w., nie były rezultatem jakiegoś ściśle sprecyzowanego programu politycznego, wpływały one raczej z kaprysu poszczególnych cesarzy albo z nadgorliwości lokalnych władz, albo były chęcią zaspokojenia gniewnych nastrojów tłumu z rozmaitych powodów oburzonego na chrześcijan. W II w. gromadziły się już jednak przesłanki częstych i z premedytacją podejmowanych prześladowań, które z nakazu cesarzy spadły na Kościół w następnym stuleciu. Niezgodność rzymskiej ideologii państwowej z chrześcijaństwem wychodziła już w II w. na jaw, gdy ze strony władz rzymskich występowano z próbami zradyzalizowania i bezwzględного przestrzegania kultu religijnego cesarzy. Inność chrześcijan rzucała się wtedy od razu w oczy. W Kartaginie odbywa się któregoś dnia defilada wojskowa. Wszystkim

żołnierzom kazano włożyć na głowy wieńce na cześć bogów. Jeden z żołnierzy defiluje trzymając swój wieniec w ręku. Śmiałka od razu aresztują i zapytują o powód tego niesłychanego kroku. „Jestem chrześcijaninem i nie wolno mi było tego czynić” — pada odpowiedź. Fakt ten stał się wydarzeniem dnia, wywołując liczne i burzliwe komentarze. Zaczęły się także mnożyć — wśród urzędników państwowych — chrześcijan — przypadki nieobecności na ceremoniach religijnych z okazji uroczystych świąt, w czasie których oddawano boską cześć posagowi cesarza i innych oficjalnych bóstw. Z tego zrodził się zarzut ateizmu pod adresem chrześcijan, zarzut poważny, gdy się weźmie pod uwagę ściśle zespolenie władzy państwowej z oficjalną religią rzymską i całkowitą służebność tej ostatniej względem pierwszej. Stawali się oni w ten sposób elementem coraz bardziej podejrzanym. Tertulian pisze, że w jego czasach chrześcijanie figurowali w rejestrach tajnej policji cesarskiej na równi z właścicielami domów publicznych, sutenerami i złodziejami. Wystarczyła byle iskra, by na podstawie tych kartotek aresztować i sądzić niewygodnych chrześcijan.

Inne racje, by nienawidzić chrześcijan, miał szary tłum. Niepojętą była dla niego rzucająca się w oczy różnica w ich zachowaniu. Kobiety-chrześcijanki unikały strojów rzucających się zbyt w oczy, a ich mężowie nie przysięgali już na Bachusa czy Herkulesa. Podejrzaną nawet stała się sumienność chrześcijan w płaceniu podatków i w używaniu sprawiedliwych miar i wag. „Chcą nam dać lekcję” — mówiono złośliwie wokoło. Zaczęto również szeptać na temat braterstwa chrześcijan, że burzy ono święte granice między ludźmi, ustalone przez samych bogów. Bardziej pikantnej pożywki do szkalowania wyznawców Chrystusa dostarczyły tłumom zebrania liturgiczne chrześcijan. Już sam fakt, że były one dostępne tylko dla wtajemniczonych, tj. ochrzczonych chrześcijan, wywoływał złośliwe komentarze. „Kto się ukrywa — mawiano — ten widocznie ma coś do ukrywania.” Eucharystia, w czasie której biskup wypowiadał nad chlebem i nad winem słowa: „To jest Ciało moje... to jest Krew moja”, przedstawiana była w szeptanej antychrześcijańskiej propagandzie jako ucztą ludożercza, a pocałunek pokoju i zwracanie się do siebie przez „bracie” i „siostrze” był dowodem na to, że chrześcijanie schodzą się na lubieżne orgie.

Te i inne jeszcze, najbardziej niewiarygodne, oszczerstwa były obrazem społeczeństwa; które je puszczało w obieg; to było przerzucanie na chrześcijan swoich własnych wad. Człowiek zepsuty z trudem uwierzy,

że istnieje gdziekolwiek czystość. Tertulian przekazuje nam na żywo te nieprzychylnie chrześcijaństwu nastroje ludu. Kiedyś na ulicy w Kartaginie podsłuchał on takie rozmowy: Wiesz, ten Gajusz Sejusz jest dobrym człowiekiem, szkoda tylko, że przeszedł na chrześcijaństwo, albo: Nie mogę pojąć, jak to możliwe, by Lucjusz Tycjusz, człowiek tak inteligentny, mógł nagle zgłupieć i stać się chrześcijaninem.

Dowcipy, naciągania i oszczerstwa kończyły się jednak, gdy zagrożone były, rzekomo z winy chrześcijan, żywotne interesy tłumu. Na religię ludową składa się zabobon i pragmatyzm, które każą prosić bogów o zdrowie, pomyślność materialną, spokój i zwycięstwo w razie wojny. Gdy na horyzoncie pojawiało się jakieś zagrożenie: susza, powódź, zaraza, najazd barbarzyńców, podnosił się wśród tłumu krzyk: „To wina chrześcijan! Oni nam przynoszą nieszczęście; rzucają na nas urok!” Dowód na to? Oto cesarz i kapłani bez przerwy składają ofiary bogom, przerażony tłum modląc się wypełnia świątynie; kogo tylko brak? Chrześcijan! Gdzie oni są? Tertulian żywo opisuje atmosferę panującą w takich sytuacjach: Nil wylewa? Susza zagraża zbiorom? Ziemia się gdzieś trzęsie? Zaraza wybucha w Azji czy w Smyrnie? — zaraz głos się podnosi: precz z ateistami! Precz z chrześcijanami! Chrześcijanie dla lwów! Niemało było w takich chwilach wypadków linczowania, a nierzadko się zdarzało, że władze państwowe, by zadowolić i uspokoić tłum, skazywały masowo chrześcijan na śmierć lub na więzienie.

Czy ta gwałtowna reakcja świata na chrześcijaństwo i walka z nim przerażała wyznawców Chrystusa? Bynajmniej! Wiedzieli oni, że to należy do istoty ich chrześcijańskiego powołania. Ich wspólnym przekonaniem było to, co w 110 r. napisał św. Ignacy z Antiochii w swoim Liście do Rzymian: Kiedy chrześcijaństwo jest nienawidzone przez świat, pokazuje ono, że nie jest dziełem człowieka, ale wielkością i mocą Boga.

21 lipca 1976 r.

## **Patrzcie, jak oni się miłują.**

Świat przed Chrystusem był światem bez miłości — pisał pod koniec XIX w. jeden z badaczy dziejów pierwotnego Kościoła (G. Uhlhorn, „Die christliche Liebestätigkeit in der alten Kirche”). Ten sąd, który niejednemu z nas wyda się przesadzony, dobrze oddaje kontrast między tym, co w dziedzinie ludzkiego współżycia działo się wśród pogan, a co pod tym względem miały światu do zaprezentowania pierwsze wspólnoty chrześcijańskie. W ich łonie pojawiła się miłość, do której świat nie był przyzwyczajony, w której możliwość nawet nie wierzył. Zobaczcie, jak oni się miłują — to słynne zawołanie odnotowane w pismach Tertuliana („Apologetyk”) dobrze wyraża zdumienie pogan w obliczu tego fenomenu, a zarazem wystarczająco tłumaczy moc przekonywania, jaką wtedy miało chrześcijaństwo.

Zobaczmy dzisiaj z bliska, na czym polegała i w czym się przejawiała miłość chrześcijan.

Przypomnijmy sobie najpierw z naszej przedostatniej pogadanki, że wspólnoty pierwotnego Kościoła były społecznie i kulturalnie bardzo zróżnicowane. Należeli do nich wolni obywatele rzymscy, niektórzy bardzo bogaci i wykształceni, oraz niewolnicy, byli poganie i byli Żydzi, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi. Normalnie w świecie między tymi klasami ludzi istniały i istnieją nieprzebyte, wiekami całymi wznoszone bariery uprzedzeń, obojętności lub wręcz wrogości. Chrześcijaństwo jakby jakiś ogień topiło te góry lodowe przedzielające jednych od drugich. To wszystko nie działo się tylko w teorii. Wspólnoty kościelne były wtedy małe. Świątyń i bazylik w II w. jeszcze nie było, dlatego chrześcijanie musieli się gromadzić po domach prywatnych. To ograniczało liczbę członków wspólnoty do pięćdziesięciu — osiemdziesięciu osób. W tak małym gronie nie można było ukrywać się w anonimowości lub zniknąć w tłumie. Każdy z każdym stykał się na co dzień. Na tym tle lepiej i jaśniej widać cud, jakiego w sercach ludzkich dokonywało chrześcijaństwo. Ci ludzie, którzy do Kościoła przyszedli z tak różnych światów, czuli się tam naprawdę równi, uważali się za rodzinę, w której wszyscy są braćmi.

Nie była to oczywiście tylko kwestia uczucia. O miłości i równości pierwszych chrześcijan świadczą czyny. Oto kilka przykładów.

Spółeczeństwo starożytne miało na swoich peryferiach ludzi, których losem nie zajmowało się żadne prawo; rzadko też znajdowały się jednostki, które chciałyby ulżyć ich położeniu. Były to sieroty i wdowy. Plagą i hańbą tamtych czasów była wielka liczba dzieci porzuconych. O ile nie były to dzieci obywateli rzymskich, urodzone na wolności, jedyna szansa przeżycia pojawiała się dla nich wtedy, gdy znalazł się ktoś, kto brał je na wychowanie, by je później sprzedać jako niewolników lub na prostytutkę. Co do wdów, ich los jest wesoły tylko w operetkach. W życiu, zwłaszcza w starożytności rzymskiej, nie było im czego zazdrościć. Prawo chroniło dzieci po śmierci ojca, wdowy natomiast były zdane na łaskę swojej dawnej rodziny lub dorosłych dzieci. W praktyce kończyło się często na tym, że wdowy, o ile nie udało im się wejść ponownie w związek małżeński, kończyły swe dni w nędzy. We wspólnotach chrześcijańskich wdowy i sieroty były niemal uprzywilejowane. Do nich przede wszystkim należała kasa wspólnoty, która w wielu przypadkach była jedynym źródłem ich utrzymania. Sieroty pochodzące z rodzin chrześcijańskich z reguły znajdowały inne rodziny, które je adoptowały, wdowy zaś gromadzono często w małe wspólnoty, którym dawał schronienie w swoim domu jakiś bogaty współwyznawca. We wszystkich pismach pochodzących z II w. pełno jest napomnień skierowanych pod adresem biskupa i wszystkich członków wspólnoty, by przed wdowami i sierotami nie zamykać serca i kieszeni.

Problem wdów i sierot był tylko częścią szerszego problemu, którym była obecność we wspólnotach ludzi ubogich, dotkniętych nieszczęściem lub chorobą. Troska o nich była szczególnym i głównym zadaniem diakonów. Dokumenty kościelne z II w. („Didascalia”) nazywają ich uszami, ustami, sercem i duszą biskupa. Ich zadaniem było utrzymywanie osobistego kontaktu ze wszystkimi członkami wspólnoty, by nie przeoczyć żadnej potrzeby czy trudnej sytuacji, jaka się we wspólnocie mogła wytworzyć. Oni z ramienia biskupa rozdzielali potrzebującym pieniądze, spieszyli z pomocą moralną chorym lub dotkniętym innym nieszczęściem.

Innym wyrazem konkretnej miłości chrześcijan tamtego okresu było grzebanie umarłych. Była to w starożytności niezwykle ważna sprawa. W wierzeniach tamtych czasów pochówek zapewniał zmarłym odpoczynek wieczny i był podstawą kultu przodków. Pozostawienie czyichś zwłok bez pochowania było uważane za największe zło, jakie komuś można było wyrządzić. Chrześcijaństwo odrzuciło kult przodków, ale podzielało



przekonanie o ważności grzebania zmarłych. Wszyscy ubodzy i przyjezdni goście, w razie śmierci, mieli zapewniony pogrzeb na koszt wspólnoty; każdemu zaś z wiernych wpajano taką zasadę: Ilekroć jakiś biedak zejdzie z tego świata i ktoś ze wspólnoty dowie się o tym, zadba o jego pogrzeb w miarę swoich środków (Arystydes „Apologia”). Trzeba przy tym zaznaczyć, że nie chodziło tu jedynie o zmarłych chrześcijan; obowiązek grzebania obejmował wszystkich. Jedna z reguł diakona mówiła: Jeżeli mieszka on w mieście nadmorskim, niech często obchodzi wybrzeża, by się przekonać, czy nie znajdują się tam zwłoki jakiegoś rozbitka; jeśli tak, niech go ubierze i pochowa („Testament naszego Pana”).

Solidarność chrześcijan uwidoczniła się zwłaszcza w czasie próby. Gdy kogoś z nich aresztowano, pozostali na wolności bracia przeżywali razem z nim niepewność i udręki; przychodzili go odwiedzać, próbowali wykupić. Lucjan z Samosaty, którego nie można posądzać o sympatię dla chrześcijaństwa, opowiada, że sam wielokrotnie widział koło więzień gromady chrześcijan — mężczyzn i kobiety — niosących jedzenie i odzież, gestykujących żywo ze strażą więzienną i usiłujących ją przekupić, by przynajmniej niektórym z nich pozwolono się widzieć z ich uwięzionym współbratem („Żywot Peregryna”). Gdy kogoś z chrześcijan skazano na śmierć i udało się uzyskać pozwolenie na ostatnie widzenie, bracia w wierze — czytamy w aktach męczeństwa Perpetuy — prześcigali się w wyrazach czułości, by skazańcowi dodać odwagi i umocnić go w nadziei; pod koniec wymieniano z nim — jak w czasie Eucharystii — pocałunek pokoju przypieczętowując tym aktem wzajemną braterską więź. Prawie zawsze sporządzano akta, czyli opis męczeństwa, który przepisywano w wielu kopiach i rozsyłano do innych Kościołów. Czytano je wszędzie chciwie i ze wzruszeniem, jako że chodziło tu o chlubną kartę historii rodzinnej.

Obecność i miłość swojej wspólnoty odczuwali także z reguły ci chrześcijanie, których skazywano na pracę w kopalniach lub w kamieniołomach. Regularnie składali im wizyty bracia z ich wspólnoty lub z innej, terytorialnie najbliższej, której przekazywano adresy skazanych. Odwiedziny takie były dla wszystkich intensywnym momentem łączności braterskiej, umożliwiającej nieobecny współuczestniczenie w życiu ich Kościoła. Nie należały do rzadkości przypadki, że olbrzymim wysiłkiem finansowym, który dzieliły zazwyczaj wszystkie okoliczne Kościoły, wykupywano jeńców na wolność.

Przykłady na tę „rodzinną” chrześcijaństwa II w. można by mnożyć w nieskończoność. Czas nam na to nie pozwala. Wspomnijmy jeszcze tylko o legendarnej gościnności pierwszych chrześcijan, która zaoszczędzała każdemu znajdującemu się w podróży współbratu kłopotów i niebezpieczeństw nocowania w zajeździe. Jedyną formalnością, by wejść do zupełnie sobie nie znanego domu, była krótka wymiana zdań: „Jesteście wyznawcami Chrystusa?” — „Ja też!”, a lepiej jeszcze, jeżeli przybył był w posiadaniu listu polecającego swojej wspólnoty.

Na wzmiankę bodajże zasługuje także żywa więź między Kościołami uwidoczniająca się w częstych podróżach o charakterze informacyjnym, w częstej wymianie korespondencji oraz w pomocy materialnej, której w razie nadzwyczajnych potrzeb jedne wspólnoty udzielały drugim. Wyróżniał się w tym zwłaszcza Kościół rzymski, który w II w. nazywano przewodniczącą miłości, jak gdyby chciano przez to powiedzieć: „Kościół, który przez swą miłość w pełni zasługuje na pierwsze miejsce w chrześcijaństwie”. Dionizy z Koryntu pisze do Rzymian takie oto słowa: Od samego początku istnieje u was zwyczaj czynienia dobrze wszystkim i na wszystkie możliwe sposoby. Wiele Kościołów w każdym mieście doznało waszej pomocy. Dzięki wam doznają ulgi i wsparcia bracia skazani na kopalnię.

W tym punkcie rodzi się pytanie: Skąd brano pieniądze na to wszystko? W II w. ich jedynym źródłem była spontaniczna miłość wiernych. Jak świadczą „Didascalia”, każdy dawał dobrowolnie to, co mógł, a niektórzy pozbawiali się w tym celu nawet rzeczy koniecznych. Najubożsi z własnej inicjatywy w niektóre dni pościli, by zaoszczędzone pieniądze dać wspólnocie dla jeszcze bardziej potrzebujących. Chrześcijanie byli świadomi tego, że obecność Ducha Świętego, w którym żyli, przewyciężyła legalizm Starego Testamentu. Era niewoli wewnętrznej skończyła się, a jej miejsce zajęła rzeczywistość ludzi nowych, którzy dzielili się swymi dobrami nie dlatego, że tak nakazywało prawo, ale dlatego, bo popychała ich do tego wdzięczność za stokroć większe dobra, które otrzymali. Bogacz daleki od wynoszenia się zaczynał rozumieć, że i on jest dłużnikiem, a ubogi i wydziedziczony przekonywali się, że Bóg troszczy się o swoje najsłabsze dzieci. Składka tak rozumiana nie podkreślała różnic; przeciwnie, stawiała się spoiwem, które wiązało „żywe kamienie” Kościoła, czyniąc z niego miejsce, w którym Bóg objawiał ludzkości swoją obecność i swoją miłość.

*28 lipca 1976 r.*

## Duch ewangelizacji.

Poprzednie pogadanki radiowe pokazały nam zadziwiającą ekspansję chrześcijaństwa. Objęło ono w krótkim czasie wszystkie części Imperium Rzymskiego, przenikając do wszystkich jego warstw społecznych. Tam zaś, gdzie dotarło, życie ludzkie zaczęło przebiegać w innym wymiarze, stawało się pogodne, przesycone miłością, otwarte na drugich. We wspólnotach chrześcijańskich pojawiała się ta głęboka jedność burząca wszelkie bariery, której brak było gdzie indziej. Gdzie leżało źródło tej szybkiej ekspansji chrześcijaństwa i metamorfozy, którą ze sobą przynosiło? Dlaczego Imperium Rzymskie nie nawróciło się na kult Mitry? Dlaczego nie nawróciło się na judaizm, mimo usilnych zabiegów diaspory żydowskiej? Odpowiedź na te pytania leży w słowie ewangelizacja. W dzisiejszym odcinku radiowym poświęcimy naszą uwagę właśnie temu zjawisku — ewangelizacji: co przepowiadano w II w. i jak przepowiadano!

Na wstępie jedno fundamentalne stwierdzenie. Ewangelia, którą przepowiada Kościół wszystkich czasów, a więc także Kościół pierwotny, trafia w tę głęboką warstwę człowieka, w której rozgrywa się główny dramat naszej egzystencji, obojętnie czy jesteśmy ubodzy czy bogaci, niewykształceni czy ze stopniem naukowym, obojętnie czy żyjemy w II czy w XX w. Ewangelia w pierwszym swym zetknięciu z człowiekiem sprawia mu nawet ból, gdyż demaskuje go bezlitośnie, odzierając ze wszelkich pozorów przyzwoitości czy uczciwości, które tak chętnie, choćby dla swojego dobrego samopoczucia, każdy z nas przywdziewa. W świetle Ewangelii każdy człowiek okazuje się grzesznikiem, tj. istotą oderwaną od swojego korzenia, od Boga. Szukając szczęścia na własną rękę szamoce się on teraz w zamkniętym kręgu własnego „ja”, ciągle niezadowolony z tego, co ma, ciągle w pogoni za czymś więcej, ciągle nienasycony, cierpiący i zadający cierpienie innym. Człowiekowi, który rozpoznał się w tym obrazie, Ewangelia obwieszcza jednak wspaniałą dobrą wiadomość. W Jezusie Chrystusie, który był nam we wszystkim podobny prócz grzechu, ale który w swojej śmierci wziął na siebie wszystkie jego konsekwencje, a w swym zmartwychwstaniu złamał moc i władzę zła nad nami, w Jezusie Chrystusie znajduje się dla człowieka lekarstwo i ratunek. On, zmartwychwstały Pan, może mu zesłać swego Ducha, by go na nowo stworzyć, odrodzić, tzn. wprowadzić w nowy wymiar istnienia, w wymiar, w którym człowiek odzyskuje utracone

przez grzech zaufanie do Boga, czuje się przez Niego kochanym; we wszystkich momentach swego życia, nawet niepomyślnych, dostrzega Jego dobroć. Odrodzenie, którego w nim dokonuje Duch Święty, uzdalnia go do miłości, do współżycia z innymi w jedności. Tego wszystkiego Ewangelia nie przedstawia jako ideału, który człowiek miałby osiągnąć własnym wysiłkiem, ale jako obietnicę, która zrealizuje się w nim mocą Bożą. Ewangelia, słowem, stawia przed nasze oczy Boga żywego, Boga-Miłość, zapewniając, że może On wejść w nasze życie już tutaj, na tej ziemi, a nie dopiero po śmierci, i uczynić to życie szczęśliwym. Ewangelia głosi, że Boga można niejako doświadczyć w tym, co On dla nas robi, i że dopiero to doświadczenie odmienia człowieka. Jedynym warunkiem, by to wszystko stało się rzeczywistością, jest wiara. Jeżeli człowiek zawierzy Jezusowi Chrystusowi, Jego mocy, która może nas uczynić nowym stworzeniem, Ewangelia zaczyna przekształcać życie człowieka.

W II w. ta Dobra Nowina dochodziła do uszu pogan w całej swojej pierwotnej czystości; jej przepowiadanie było ponadto ułatwione tym, że za jej pierwszymi głosicielami stały istniejące już żywe Kościoły, których członkowie mogli stwierdzić na własnej skórze, że Ewangelia, jeśli się w nią wierzy, rzeczywiście staje się fermentem zmieniającym życie. We wspólnotach chrześcijan była faktem codziennego życia ta miłość i jedność, którą Ewangelia obiecywała. Życie chrześcijan faktycznie promieniowało pogodą i radością, które gdzie indziej były zwiewne, bo uzależnione od kaprysów powodzenia czy niepowodzenia. Zjawiskiem niemal codziennym w tamtych czasach było także świadectwo przelanej krwi chrześcijańskiej, które było najlepszym dowodem na to, jak całościowo Ewangelia brała w posiadanie egzystencję ludzką i że była ona jak drogocenna perła, za którą warto oddać wszystko, nawet życie.

Ta nowa rzeczywistość egzystencjalna, której doświadczyły jednostki i wspólnoty chrześcijan, nie tylko była dowodem wiarogodności Ewangelii; ona także tłumaczy zapał i poczucie nieodpartej konieczności ewangelizowania, którą wszyscy byli wtedy przejęci. Jakżeż nie podzielić się z innymi własnym radosnym odkryciem? Jakżeż pozwolić, by inni ludzie pozostawali w ślepotcie ducha i marnieli w swym bezpłodnym, pozbawionym sensu i kierunku życiu, skoro się odkryło, że Bóg naprawdę istnieje, kocha człowieka i chce go wypełnić sobą, i gdy się doświadczyło, jak cudownym może się wtedy stać ludzkie życie?! Jeden z dziewiętnastowiecznych badaczy początków chrześcijaństwa pisze:

Chrześcijaństwo miało w swych początkach tytuł apostołów, co wiernych (B. Aube, „Les chretiens de la fin Antonins...”). Działalność ewangelizacyjna rzadko wychodziła wtedy z inicjatywy biskupów, rzadko też była dziełem kleru. Oddawał się jej każdy, kto miał po temu okazję. Było to przepowiadanie skromne, unikające publicznych placów, szeptane jakby na ucho. Żadne określenie nie oddaje lepiej jego charakteru niż słowa użyte przez Tacyta i Pliniusza — „zaraza”, „zarażanie”. Istotnie, żona zarażała nową nauką męża, niewolnik — swego pana, lekarz — pacjenta, szewc — swojego klienta. Temu prywatnemu przepowiadaniu musieli się wtedy z wielkim zapałem oddawać wszyscy, nawet ci najbardziej niewykształceni, skoro zauważył je filozof Celsus, zaprzysiężony wróg chrześcijaństwa. Poświęcił on temu zjawisku taką oto krytykę: Zauważamy w ich [tzn. chrześcijan] środowiskach tkaczy, szewców, wyrobników, słowem — ludzi, pozbawionych jakiegokolwiek wykształcenia. W obecności mistrzów wiedzy, ludzi doświadczonych, ze zmysłem krytycznym, pilnują się oni dobrze, by nie otwierać ust. Ale gdy spotykają kobiety i dzieci... rozdzierają gardło, by im wyłożyć swoją wiedzę i swoje cudaczności. Fakt ewangelizacji uprawianej przez cały bez wyjątku Kościół, ewangelizacji będącej nie tyle programem, ile żywiołowym potokiem wylewającym się z serca każdego chrześcijanina, ten fakt w świetle powyższego świadectwa nie ulega kwestii. Inna rzecz, że Celsus zapomniał, lub może nie wiedział, że chrześcijaństwo miało w swych szeregach także ludzi wykształconych, jak Justyn, Panten czy Klemens. Prowadzili oni w Rzymie i w Aleksandrii szkoły filozoficzno-teologiczne, w których nie mogli narzekać na brak uczniów rekrutujących się spośród chrześcijan i pogan. W tych wczesnochrześcijańskich ośrodkach myśli filozoficznej wykładano też nic innego jak Ewangelię broniąc jej przed atakami takich właśnie ludzi, jak Celsus. Wielu wykształconych pogan znalazło w tych szkołach światło wiary i zaspokojenie swego głodu prawdy.

Orygenes w swoim dziele („O zasadach”) pisze w ten sposób o głoszeniu Ewangelii w pierwotnym Kościele: Chrześcijanie nie pomijają żadnej okazji, by rozpowszechnić w całym świecie swoją naukę. By osiągnąć ten cel, niektórzy z nich wędrują z miasta do miasta, ze wsi do wsi, by przekonać innych i skłonić ich do wiary. Wzmianka ta naprowadza nas na ślad istnienia w pierwotnym chrześcijaństwie tzw. wędrownych katechistów. Wiemy już o nich z najstarszego utworu wczesnochrześcijańskiego, „Didache”, którego powstanie określa się na osiemdziesiąte lata I w. Byli to ci chrześcijanie, w przeważającej liczbie

ludzie świeccy, u których wewnętrzny imperatyw ewangelizowania był tak silny i nieodparty, że w głoszeniu Dobrej Nowiny widzieli oni jedyny sens swego życia. Euzebiusz z Cezarei z IV w., autor pierwszego wielkiego podręcznika historii kościelnej, tak o nich pisze: Wielu uczniów w tamtych czasach, poruszonych słowem Bożym i powodowanych wielką miłością do Ewangelii, postępowało tak, jak doradzał Chrystus: rozdawali oni cały swój majątek ubogim, zostawiali swój kraj i wyruszali w świat, by pełnić w nim misję głosiciela Ewangelii. Prześcigali się nawzajem w gorliwości, by tym, którzy nigdy jeszcze nie słyszeli nauki prowadzącej do wiary, obwieścić Dobrą Nowinę i dać im poznać Boskie Ewangelie. Zadowalali się oni rzucaniem pierwszych podwalin wiary u obcych ludów, pozostawiając im sprowadzonych przez siebie pasterzy, którym powierzali troskę o tych, którzy dopiero co przyjęli wiarę. Później wyruszali do innych miejscowości („Historia Kościelna”). Działalność tych wędrownych ewangelistów, bardziej spontaniczna niż zorganizowana, obejmowała jedynie I i II w. historii Kościoła i ustąpiła miejsca bardziej planowej akcji misyjnej późniejszych wieków.

Taki jest obraz ewangelizującego Kościoła II w. Posłuchajmy na koniec fragmentu starochrześcijańskiej homilii ze 140 r., znanej pod nazwą Drugiego Listu św. Klemensa do Koryntian. Czytamy w niej takie zdanie: Kiedy poganie słyszą z naszych ust słowa Boże, podziwiają ich piękno i wielkość. Ale jeżeli później zobaczą, że nasze uczynki nie odpowiadają naszym słowom, zmieniają swoje zdanie i zaczynają bluźnić, mówiąc, że chrześcijaństwo jest mitem i jednym wielkim oszustwem. W II w. życie chrześcijan nie przekreślało jeszcze w oczach pogan tego, co chrześcijanie głosili.

4 sierpnia 1976 r.

## **Całkowicie przemienieni przez Ewangelię.**

Jeśli chcemy zobaczyć, jak Ewangelia przemieniała życie pierwszych chrześcijan, wystarczy przyjrzeć się kilku konkretnym przykładom. Ludzie, o których opowiemy, żyli w II w. Byli różnej płci, stanu i pozycji społecznej.

Ignacy został biskupem Antiochii w czasach, gdy Kościół istniał dopiero od pięćdziesięciu lat. Będąc jeszcze poganinem, studiował filozofów greckich, o czym świadczy język i styl jego późniejszych pism. To, co o nim wiemy, dotyczy głównie ostatniego okresu jego życia. Za panowania cesarza Trajana został uwięziony i skazany na rozszarpanie przez dzikie zwierzęta. Skazańca przewieziono z dalekiej Antiochii w Syrii do Rzymu, by egzekucji dokonać w samej stolicy. W czasie podróży napisał siedem listów do różnych gmin chrześcijańskich. W liście do chrześcijan Rzymu prosi ich, by nie czynili niczego, co mogłoby mu zaoszczędzić męczeństwa. Jestem Bożą pszenicą — pisał. — Trzeba, żebym został zmielony zębami dzikich zwierząt, abym stał się nieskałanym chlebem Chrystusa.

Tych kilka listów pozwala nam poznać, jakim człowiekiem był Ignacy w chwili, kiedy zbliżał się do osiągnięcia chrześcijańskiej dojrzałości — do śmierci męczeńskiej. Szanował każdego człowieka, nawet jeśli był on heretykiem. Umiał upominać, nie upokarzając przy tym. Pisał w liście do Polikarpa, że nie jest trudno kochać wszystkich, lecz sztuka polega na tym, by kochać każdego z osobna, a zwłaszcza małego, słabego, niewolnika i tego, kto nas rani czy sprawia nam cierpienie. Chętnie ukazywał Chrystusa jako lekarza i obraz ten realizował się również w nim samym.

A jednak pamiętał zawsze o swoich słabościach. Pisał: Narzucam sobie umiar, abym nie zginął z powodu mojej chełpliwości. W czasie drogi do Rzymu otaczany był czią przez napotykanych chrześcijan; nie upajało go to, lecz skłaniało do większej ostrożności. Jestem w niebezpieczeństwie — wyznawał w takich chwilach.

Przynaglany pragnieniem mistyka, by pełniej zjednoczyć się z Bogiem, chciał jak najprędzej znaleźć się w Rzymie i ponieść śmierć. Nie ma już we mnie żadnego zapału dla rzeczy ziemskich; wewnątrz mnie tylko woda żywa o wybornym smaku szepcze: Pójdź do Ojca. Ta woda żywa, woda chrztu świętego, uzdolniła Ignacego do złożenia świadectwa krwi.

Poprzez filozofię do chrześcijaństwa przeszedł również Justyn. W swym życiu szukał on w różnych systemach filozoficznych mądrości i prawdy. Był uczniem stoików, potem arystotelików, wreszcie wyznawcą platonizmu. Pragnął oglądać Boga dzięki filozofii. I kiedy pełen wewnętrznej niepokoju rozmyślał w samotności, spotkał tajemniczego

starca, który wyjaśnił mu, że do Boga nie można dojść o własnych siłach. Jedyną drogą do Niego jest chrześcijaństwo. Justyn przyjął tę drogę i uznał, że jest to jedyna prawdziwa filozofia, która dała mu to, czego dotąd bezskutecznie szukał. Chrześcijaństwo nie było dla niego doktryną czy systemem, lecz Osobą, Słowem wcielonym i ukrzyżowanym w Jezusie, który objawił mu tajemnicę Boga.

Ostatnie lata życia spędził w Rzymie, gdzie założył szkołę, w której nauczał. W Rzymie też poniósł śmierć męczeńską. Przed śmiercią skierował do senatu następujące słowa: Nikt nie wierzył w Sokratesa aż do tego stopnia, żeby umrzeć za to, czego on nauczał, lecz dla Chrystusa ludzie prości, bez żadnego wykształcenia, przezwycięzali strach i lęk przed śmiercią.

Ignacy i Justyn byli ludźmi wykształconymi, posiadającymi w społeczeństwie jakąś pozycję. Zupełnie inaczej było z Blandyną. Każda kobieta była w starożytnym świecie mocno ograniczona w prawach, a niewolnica była ich po prostu całkowicie pozbawiona.

Blandyna była niewolnicą w Lyonie, na terenie dzisiejszej Francji. I jej los nie różniłby się niczym od losu milionów istot jej podobnych, gdyby nie pewien fakt. Jej właścicielka, nie znana nam nawet z imienia, była chrześcijanką. Ewangelia nauczyła ją kochać bliźnich, a zwłaszcza najbardziej upośledzonych. Stawszy się chrześcijanką, nie potrafiła ona zachować tylko dla siebie radości swego odkrycia. Lecz komu o nim powiedzieć? Z kim podzielić się swoją nową wiarą? Wielką nowinę, która przemieniła jej własne życie, powierzyła swej młodej niewolnicy, Blandynie.

Blandyna, usłyszawszy Ewangelię, poczuła się tak, jakby nagle spadły z niej kajdany. Właścicielka, która dotychczas była dla niej panią życia i śmierci, stała się odtąd jakby starszą siostrą czy umiłowaną matką, którą Bóg postawił na jej drodze; także inni wyznawcy chrześcijaństwa, będący ludźmi o wyższej pozycji społecznej, wolni i bogaci, przyjęli ją jako siostrę. Biskup Lyonu, Potyn, udzielił jej sakramentu chrztu.

Życie biegło dalej normalnym tokiem. Praca Blandyny nie zmieniła się, lecz stała się lżejsza. Blandyna wykonywała nadal te same zajęcia i miała dla swej pani ten sam szacunek, co dawniej. Coś jednak zmieniło się od wewnątrz. Wspólna wiara zapoczątkowała między nimi i stale pogłębiała więzy przyjaźni.



Lecz te szczęśliwe dni nie trwały długo. Wkrótce, w czasie galijskich świąt pogańskich, rozpoczęło się prześladowanie. Blandyna została arestowana wraz ze swą panią, która w więzieniu nie troszczyła się o swój los, lecz o to, czy jej niewolnica, wiotka i delikatna, będzie w stanie publicznie wyznać swą wiarę. Lecz kiedy poddano Blandynę męczarniom, jej moc i odwaga zadziwiły katów. Wreszcie na arenie cyrku zawieszono ją obnażoną na palu, a potem rzucono dzikim bestiom. Współwyznawcy patrzyli na nią i jej widok napędliał ich dumą i odwagą; co więcej, dostrzegali w niej obecność samego Chrystusa. W liście chrześcijan lionskich, opisującym męczeństwo Blandyny, czytamy: Bracia wierzyli, że w swej siostrze widzą Chrystusa ukrzyżowanego dla nich. Zwierzęta nie ruszyły jednak męczennicy, jakby miały dla niej więcej litości niż tłum. Blandyna musiała jeszcze poczekać ze złożeniem swego ostatniego świadectwa wiary.

Świąteczne igrzyska trwały nadal. Codziennie ginęli na arenie chrześcijanie. Blandynę i młodzieńca Ponticusa pozostawiono na ostatni dzień. Lecz Ponticus zmarł na skutek tortur i najsłabsza, najbardziej wątła ze skazanych chrześcijan zginąć miała jako ostatnia. Widzieć musiała śmierć tylu sióstr i braci, lecz to jej nie zachwiało. W dniu męczeństwa sama oddała się w ręce oprawców, którzy najpierw biczowali ją aż do obdarcia skóry z pleców, później przypiekali żywym ogniem, wreszcie związaną w sieć rzucili wściekłemu bykowi. Podrzucona przez niego w powietrze, upadła na wpół martwa, lecz jeszcze znalazła siłę, by się modlić. Wówczas kaci dobili ją.

Nawet poganie złożyli hołd męczennicy. Mówili: „Rzeczywiście w naszym kraju nigdy nie widziano, by jakaś kobieta tyle przecierpiała”.

W niespełna trzydzieści lat później w innym krańcu Cesarstwa Rzymskiego, mianowicie w Afryce Północnej, miały miejsce następujące wypadki. W mieście Tuburbo koło Kartaginy arestowano grupę chrześcijan. Wielu z nich było dopiero katechumenami. W więzieniu przyjęli oni chrzest. Wśród katechumenów znajdowała się Perpetua, pochodząca z miejscowej arystokratycznej rodziny. Zachował się jej pamiętnik, pisany w więzieniu, w którym opisuje swe przeżycia. Po chrzcie zapisała w nim: Duch Święty natchnął mnie, bym nie żądała od świętej wody chrzcielnej niczego więcej, jak tylko siły, by ciało mogło wytrzymać.

Deklarując się przez chrzest w sposób ostateczny i nieodwołalny, oskarżeni zostali przewiezieni do Kartaginy, gdzie oczekiwali na męczeństwo.

Perpetua była jedyną i umiłowaną córką bogatych patrycjuszy, wydaną za mąż za człowieka z równie arystokratycznego domu, matką dopiero co narodzonego niemowlęcia. Przywykła do wygod, w jakich się wychowała, odłączona od swej pogańskiej w całości rodziny, która nie rozumiała jej postawy, przepełniona macierzyńską tęsknotą za dzieckiem, w pierwszych dniach bardzo cierpiała. Lecz już wkrótce zapisała: Więzienie staje się dla mnie luksusową siedzibą i czuję się tu lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu.

Rodzice odwiedzali ją w więzieniu i przynieśli jej tam dziecko, by mogła je regularnie karmić. Ojciec wielokrotnie błagał ją, by miała wzgląd na swą rodzinę, na niego samego, a przede wszystkim na swoje niemowlę. W swej czułości — zanotowała Perpetua — mój ojciec próbował zachwiać moją wiarę. Lecz młoda chrześcijanka była nieugięta.

W swym pamiętniku Perpetua opisała więzienie, przesłuchania i swe zmagania z kochającą rodziną. Do tych relacji inną ręką dodano opis samego męczeństwa. Czytamy tam, że kiedy męczenników prowadzono do amfiteatru, ich oblicza promieniowały: byli piękni. Perpetua zamykała szereg, sunąc krokiem pewnym, jak wielka dama Chrystusa, jak umiłowana córka Boga. Na arenie, pełna radości, śpiewała. Torturowana, wpadła w ekstazę, stając się nieczuła na ból. Kiedy sprowadzono ją na chwilę z areny, przekazała wspólnocie swe ostatnie polecenie: Trwajcie mocni w wierze, kochajcie się wzajemnie i starajcie się, by nasze cierpienia nie były dla was powodem do wstydu. Wróciwszy na arenę, sama wskazała gladiatorowi miejsce, gdzie ma uderzyć mieczem.

Jej pamiętnik czytany był po jej śmierci we wspólnotach afrykańskich i w całym Kościele, nawet w odległej Grecji. Wieść o męczeństwie nie napełniała chrześcijan lękiem, lecz dumą i pragnieniem naśladowania.

Kiedy patrzymy na pierwsze pokolenia chrześcijan, nasuwa się nieodparcie jedno pytanie: Gdzie ci ludzie z ciała i krwi, nie pozbawieni bynajmniej ludzkich problemów i uczuć, znajdowali siłę do heroizmu, do poświęcenia, do miłości? Jeżeli zapytalibyśmy ich samych, odpowiedzieliby — a ich odpowiedź możemy poznać dzięki pismom, jakie niektórzy z nich pozostawili — że siła ta nie pochodziła z nich samych.

Otrzymali ją w wodzie chrztu od Chrystusa ukrzyżowanego i zmarłychwstałego.

11 sierpnia 1976 r.

## **Modlitwa i sprawowanie liturgii.**

Klemens z Aleksandrii, pisarz chrześcijański z przełomu II i III w., zanotował następującą uwagę: Całe życie chrześcijanina jest jednym długim dniem święta. W dzisiejszej pogadance radiowej będziemy mieli okazję przekonać się, jak prawdziwe były te słowa.

Dla pierwszych chrześcijan wiara była światłem, które rozjaśniało szarość ich codziennego życia; dotyczyło to zarówno spotkań wspólnoty chrześcijańskiej, jak i czasu poświęconego rodzinie i pracy. Chrześcijanin żył w stałej świadomości, że jest obywatelem świata i zarazem kimś obcym, stałym mieszkańcem ziemi i jednocześnie pielgrzymem do obiecanego miasta przyszłego.

Cały czas chrześcijanina — dzień, tydzień, rok — przeniknięty był rytmem wiary. Każdy wierzący, podobnie jak i Żydzi w Starym Testamencie, wiedział, że Bóg jest Panem czasu i historii, który nadaje im sens i znaczenie.

W starożytności rytm codziennego życia wyznaczany był przez nastanie świtu i zapadnięcie zmroku. Rano każdy śpieszył do swoich zajęć, by maksymalnie wykorzystać światło dnia, bowiem ówczesne oświetlenie sztuczne było niewystarczające do pracy. Dla chrześcijanina początek i koniec dnia były czasem modlitwy. Składała się ona z chwili milczenia, rozmyślenia nad tekstem Pisma Świętego i śpiewu psalmu. Nie zachował się żaden tekst stereotypowy, przeznaczony do odmaiwiania w tym momencie; była to bowiem modlitwa osobista i spontaniczna. Tertulian radził przy porannej modlitwie uklęknąć na znak adoracji i unieżenia wobec Boga. Liczne świadectwa z tamtych czasów mówią o zwracaniu się modlących na wschód. Wschodzące słońce było dla chrześcijan symbolem Chrystusa — światła prawdy, które oświeca wierzących. W niektórych domach chrześcijańskich, zwłaszcza zamoż-

niejszych, znajdowało się specjalne pomieszczenie, zarezerwowane na modlitwę.

Dzień kończono modlitwą o zachodzie słońca. Tertulian polecał przeżegnać się wówczas znakiem krzyża i przeczytać jakiś tekst biblijny; z medytacji nad nim wypływała spontaniczna modlitwa.

„Didache”, cenny dokument życia duchowego pierwotnego Kościoła, mówi, że chrześcijanie, podobnie jak Żydzi, zachowywali zwyczaj trzykrotnej modlitwy w ciągu dnia; recytowali jednak przy tym już tekst nowy — Modlitwę Pańską. Ten tekst otrzymany od samego Chrystusa, jednoczył wszystkich wierzących, rozproszonych po całym świecie. „Didache”, najstarszy pomnik literatury wczesnochrześcijańskiej, nie wspomina, w jakich porach dnia należało odmawiać tę modlitwę, zapewne więc było to dowolne. Nieco później Kościół zachodni skłonny zgodnie z duchem starożytnych Rzymian do prawniczej ścisłości, określił dokładnie jako porę modlitwy godzinę trzecią, szóstą i dziewiątą, czyli zgodnie z naszym sposobem liczenia czasu dziewiątą rano, dwunastą w południe i trzecią po południu.

W czasie modlitwy zajmowano najczęściej postawę stojącą, z rękoma wyciągniętymi w górę i otwartymi dłońmi, tę postawę znamy z licznych malowideł, przedstawiających osoby modlące się, zachowanych w katakumbach. Taka postawa ciała dobrze wyrażała na zewnątrz skierowanie ku Bogu, oczekiwanie Jego pomocy; przypominała ponadto chrześcijanom postawę, w jakiej Chrystus umarł na krzyżu. Znana też była postawa klęcząca, wyrażająca uniżenie i pokorną prośbę; towarzyszył jej nieraz pokłon aż do ziemi, zachowany do dziś w Kościele wschodnim. Nie był natomiast znany gest złożonych rąk; został on dopiero w średniowieczu zapożyczony przez liturgię od Germanów, u których był wyrazem hołdu składanego przez lennika feudalnemu zwierzchnikowi.

Również od Żydów, i to za przykładem samego Chrystusa, chrześcijanie przeszli modlitwę przed jedzeniem; nie była ona, jak w późniejszych czasach, błogosławieniem pokarmów, lecz błogosławieniem i wysławianiem samego Boga, dawcy wszelkich dóbr.

W ciągu dnia spożywano trzy posiłki. W dni postu — środy i piątki — chrześcijanie rezygnowali z pierwszego z nich, opóźniając również następne. Najważniejszy był ostatni posiłek. To właśnie była pora,

w której starożytni zapraszali gości do wspólnego ucztowania. Uczty takie były nieraz bardzo wystawne. Jednak chrześcijanie wystrzegali się zbędnego luksusu w doborze potraw i w sposobie ich podania. Każdy posiłek miał dla nich charakter religijny, także zapraszanie pogan na uczty chrześcijańskie było zabronione. Zapewne czytano wówczas jakiś fragment Pisma Świętego lub śpiewano psalm, a ojciec rodziny wspominał o uczcie najświętszej — o Eucharystii.

Szeroko rozpowszechniony był zwyczaj zapraszania przez zamożniejszych chrześcijan innych członków wspólnoty, zwłaszcza najbardziej potrzebujących, na wspólny posiłek. Uczty te zwano po grecku agapami — ucztami braterskiej miłości. Na agapy zapraszano przy okazji niedzielnych zebrań eucharystycznych lub przypadkowych spotkań w mieście i być może diakon, do którego właśnie należała troska o potrzebujących, sugerował gospodarzowi agapy, kogo winien zaprosić. Sama nazwa tej uczty dobrze wyraża motyw dla którego ją organizowano. Miłość dyktowała taki sposób pomocy ubogim, by ich jednocześnie nie upokarzać. Zaproszeni mogli się nasycić, czując się zarazem uhonorowanymi.

Atmosferę panującą w czasie agap tak charakteryzuje Tertulian, pisarz chrześcijański z III w.: Nie zasiadamy do jedzenia, póki nie skierujemy najpierw do Boga modlitwy. Je się dla zaspokojenia głodu, a pije się tyle, ile przystoi ludziom trzeźwym. Nasycamy się jako ludzie, którzy nawet w nocy pamiętają, że winni wielbić Boga. Rozmawiamy jako ludzie świadomi tego, że Bóg słyszy („Apologetyk”).

Gdy zapadał zmrok, zapalano światła i powstawano, by uczcić Boga odśpiewaniem hymnu, najczęściej wziętego z psalterza. Po uczcie zaproszeni zabierali ze sobą do domów zawinięte w serwetki lub włożone do koszyków porcje jedzenia, ofiarowane im przez gospodarzy.

Taki sam charakter braterskiej uczty nadawali męczennicy skazani na śmierć swemu ostatniemu więziennemu posiłkowi. Przed ostateczną próbą wiary ten wymowny znak braterstwa dawał im pociechę i wzmacniał siły duchowe.

Błogosławienie lampy, związane nieraz z zakończeniem agapy, rozpoczynało w sobotnie wieczory czuwanie liturgiczne, zakończone Eucharystią. Zapalana w sobotę wieczór lampa symbolizowała Chrystusa zmartwychwstałego, będącego światłem dla całej ziemi.

To sobotnie czuwanie rozpoczynało obchód dnia Pańskiego. Najlepsze pojęcie o tym, jak ważny był on dla pierwszych chrześcijan i czym była dla nich odprawiana w tym dniu Eucharystia, daje relacja z przesłuchania męczenników z Abiteny (w dzisiejszej Tunezji). Zostali oni uwięzieni i przyprowordzeni przed prokonsula, który zarzucił im, że wbrew edyktom cesarskim zbierali się po domach, by sprawować Eucharystię.

— Musimy obchodzić dzień Pański — odpowiedział jeden z nich — bo takie jest nasze prawo.

— Czy były w twoim domu nielegalne zebrania? — zapytał prokonsul drugiego.

— Tak, obchodziliśmy dzień Pański.

— Dlaczego pozwoliłeś im przychodzić?

— Są moimi braćmi i nie mogłem im w tym przeszkodzić.

— Powinieneś był tak uczynić.

— Nie mogłem tego zrobić, gdyż my nie możemy żyć bez sprawowania Wieczery Pańskiej.

Wybór niedzieli na dzień świąteczny motywowany był tym, że stanowił on wspomnienie zmartwychwstania Chrystusa. Dlatego był to czas dziękczynienia i jednocześnie oczekiwania na zmartwychwstałego Pana. Modlono się w tym dniu na stojąco i nigdy nie poszczono. Nie był on natomiast początkowo dniem wolnym od pracy. Dlatego chrześcijanie musieli się zbierać poza godzinami normalnych zajęć. Z *Dziejów Apostolskich* (zob. Dz 20,7) dowiadujemy się, że w Troadzie spotykali się oni w nocy z soboty na niedzielę. Pokrywa się to mniej więcej z danymi innych źródeł, które mówią o zebraniach niedzielnych chrześcijan przed świtem. Miejscem zebrań były domy prywatne. Z czasem zastąpić je miały, i to często — jak wykazały wykopaliska prowadzone w Rzymie — zbudowane właśnie na miejscu domów prywatnych, stałe kościoły.

Liturgii przewodniczył biskup lub delegowany przez niego prezbiter. Wszyscy obecni, łącznie z kapłanami, ubrani byli w zwykłe codzienne stroje. Eucharystia dzieliła się tak jak dzisiaj na liturgię słowa i liturgię ofiary.

W niektóre dni powszednie Kościół na Wschodzie odprawiał samą liturgię słowa, bez Eucharystii. Językiem liturgicznym, również na Zachodzie, była głównie greka, najbardziej wówczas rozpowszechniona. Zachowano też niektóre formuły liturgiczne najstarszych wspólnot

palestyńskich w ich aramejskim czy wprost hebrajskim brzmieniu: Alleluja! Amen! Maranatha! Również od wspólnot greckich modlitewne wezwanie *Kyrie eleison* zapożyczyli w dosłownym brzmieniu chrześcijanie mówiący po łacinie, a także Koptowie i Syryjczycy.

Braterskiej miłości dawano wyraz gestem przez pocałunek pokoju — i jednocześnie konkretnym czynem, składając po liturgii dary dla ubogich. W czasie komunii wierni otrzymywali do ręki Ciało Pańskie i kielich z Krwią Pańską, niektórzy zanosili je chorym i starcom, którzy sami nie mogli przybyć.

Niedzielna liturgia eucharystyczna nadawała rytm codziennemu życiu. Na cmentarzach chrześcijańskich w katakumbach, w inskrypcjach wrytych w domach, w aktach męczeństwa, wszędzie odnajdujemy echo liturgii. W Scillium i Kartaginie męczennicy na usłyszany wyrok odpowiadali dziękczynną formułą liturgiczną: *Deo gratias* — Bogu niech będą dzięki. Przed samym męczeństwem Kartagińczycy wymieniali pocałunek pokoju, taki sam jak w liturgii. Przebijała z tego świadomość, że śmierć za wiarę nie jest niczym innym, jak po prostu dopełnieniem udziału w Eucharystii.

Każda niedziela była pamiątką zmartwychwstania. Święcono jednak raz do roku szczególnie obchód Paschy. Rozpoczął się on dniem surowego postu. Całą noc z Wielkiej Soboty na Niedzielę Zmartwychwstania spędzano na czuwaniu, czytaniu Pisma Świętego i modlitwie. Była to najpiękniejsza i najradośniejsza noc roku, noc, którą Ojcowie Kościoła opisują jako jaśniejszą od dnia, bardziej świetlistą niż słońce, słodsza od raju, oczekiwana przez cały rok. Była to bowiem pamiątka faktu, który nadawał ich życiu nowy sens, który to życie całkowicie przemienił. Ten dzień najlepiej wyrażał to, co było dla chrześcijan treścią każdego dnia i każdego tygodnia: życie dzięki Chrystusowi zmartwychwstałemu i oczekiwanie ostatecznego z Nim spotkania.

*18 sierpnia 1976 r.*

### **Szkoła życia chrześcijańskiego.**

Nasze środowce audycje poświęcone życiu wyznawców Chrystusa z II w. pokazały nam, że chrześcijaństwo nie jest utopią. Ewangelia

w całej swojej rozciągłości była dla naszych przodków w wierze rzeczywistością przeżywaną, wielorako i głęboko oddziałującą na ich życie codzienne. W tym punkcie rodzi się pytanie, skąd brało się u pierwszych chrześcijan tak intensywne przeżywanie wiary, i to nie tylko u jakiejś wybranej elity, ale w szerokich masach. Odpowiedź na to pytanie jest tylko jedna: źródłem nowego życia chrześcijan był chrzest. Kościół pierwotny zdawał sobie o wiele jaśniej niż my sprawę z tego, że między chrześcijaninem a zwyczajnym człowiekiem, takim, jakim każdy z nas się rodzi, istnieje przepaść nie do przebycia. Św. Klemens, biskup Rzymu, czwarty z rzędu papież, pisał w 96 r., że jest niemożliwością stać się chrześcijaninem przez własną mądrość czy inteligencję, przez własną naturalną religijność, przez jakiegokolwiek uczynki, choćby spełniane z czystym sercem. Chrześcijanin jest dziełem Boga, Jego nowym stworzeniem powołanym do nowego życia aktem Jego wszechmocy i miłości. W liście Pseudo-Barnaby z początków II w. czytamy: *Odnowieni dzięki przebaczeniu naszych grzechów, zostaliśmy prze-modelowani w nową formę i dlatego teraz mamy usposobienie dziecka, tak jak gdyby Bóg jeszcze raz nas stworzył. Nieco dalej w tym samym liście znajdujemy takie stwierdzenie: Otrzymawszy odpuszczenie grzechów i nadzieję chrześcijańską, staliśmy się ludźmi nowymi, odrodzonymi w najgłębszych warstwach naszej egzystencji. I dlatego Bóg naprawdę w nas mieszka.* Otóż to ponowne stworzenie, nowe narodzenie z Boga dokonywało się w chrzcie. W świadomości każdego chrześcijanina pierwszych wieków jego chrzest był absolutnie najważniejszym wydarzeniem życia; na nim wspierała się i z niego wyrastała cała egzystencja chrześcijańska.

Kościół pierwotny świadom tego, że źródło chrzcielne jest jedynym łonem, które rodzi prawdziwych i autentycznych chrześcijan, traktował sakrament chrztu z niezwykłą powagą. Jego udzielanie w starożytności nie miało nic z beztroski i pobieżności, z jakimi się go udziela dzisiaj. Dorośli, którzy prosili o chrzest — a tych była w Kościele pierwotnym ogromna liczba — musieli najpierw przejść przez kilkuletnią aspiranturę, którą nazywano katechumenatem. Zatrzymajmy się bliżej nad tym zjawiskiem, bo tylko ono tłumaczy fakt, dlaczego w chrześcijaństwie pierwszych wieków chrzest był rzeczywistym przejściem do nowego sposobu życia, zupełnie odmiennego od tego, który wiodła cała reszta świata.

Idea przewodnia, która przyświecała katechumenatowi, była następująca: jeżeli być chrześcijaninem znaczy odrodzić się z Ducha Świętego,



być na nowo stworzonym, być współwskrzeszonym z martwych z Jezusem Chrystusem, to dojrzałe chrześcijaństwo może być tylko dziełem Boga w człowieku. Rzecz więc w tym, by kandydata do chrztu otworzyć na działanie Boga, uczynić go uległym partnerem, z którym Bóg będzie mógł wejść w dialog i zacząć z nim swoją historię zbawienia. To było właśnie celem katechumenatu.

Zaczął się on od głoszenia kandydatom do chrztu Ewangelii Chrystusa. Kościół bowiem nie znał innej drogi do nawrócenia jak ta, która polegała na skonfrontowaniu człowieka z Dobrą Nowiną Chrystusa. Mówi ona najpierw o niewoli grzechu, w której się człowiek znajduje i która go obezwładnia, czyniąc niezdolnym do miłości, a potem o Chrystusie, który wziął na siebie nasz grzech i nim obarczony umarł na krzyżu. Bóg jednak wskrzesił Go z martwych, niszcząc tym samym grzech i obwieszczając teraz światu jego odpuszczenie. Chrystus zmartwychwstały ustanowiony został Panem dającym nowe życie tym, którzy w Niego wierzą. Kto w to Słowo ogłaszające człowiekowi możliwość przemiany wewnętrznej uwierzył, tego Bóg włączył w historię zbawienia, u tego już pojawił się początek Bożego życia. W katechumenacie ziarno to będzie systematycznie podlewane i pielęgnowane, tak by organicznie wzrastało aż do momentu, w którym wyda spontaniczny owoc uczynków miłości.

Życie w wierze u katechumenów kształtowane było przez trzy czynniki nierozdzielnie ze sobą związane: Słowo Boga, liturgię sakramentów i wspólnotę. Katechezy, których regularnie udzielano kandydatom do chrztu, były wyłącznie biblijne i to oparte o Stary Testament, który na ich zebraniach czytano i wyjaśniano. Z biegiem czasu katechumeni coraz bardziej odnajdowali się w słowie Pisma Świętego, stwierdzając, że Bóg włącza ich w taką samą historię zbawienia, jaka tam została opisana. Powoli przekonywali się również, że słowo Boga jest skuteczne i posiada moc demaskowania ukrytych grzechów człowieka, moc ich kruszenia, i że staje się ono w ten sposób doświadczeniem Boga żywego. Zaczątkami zaś życia sakramentalnego były tzw. skrutinia, na których dokonywano już pewnych rytów chrzcielnych i egzorcyzmów. Kościół, w miarę jak rosły wymagania stawiane katechumenom, udzielał im przez wkładanie rąk siły do ich wykonywania. Słowo Boże i liturgia sakramentów odbywały się na łonie wspólnoty, którą katechumeni na ogół między sobą tworzyli, i przy ciągłej opiece wspólnoty już ochrzczonych chrześcijan, w którą kiedyś mieli wejść. Wspólnotowość była

zawsze uważana za coś istotnego dla wszystkich faz życia chrześcijańskiego. „Człowiekiem nowym” bowiem, którego stwarza swym Duchem Chrystus zmartwychwstały, nie jest jednostkowy święty, ale jest nim na pierwszym miejscu koinonia, czyli miłość i jedność braci. Jest ona jednocześnie miejscem, gdzie słowo i sakrament o wiele pełniej i intensywniej oświecają i żywią wierzącego.

Opisany wyżej „trójnóg”: słowo, liturgia i wspólnota był jakby łonem, w którym embriom wiary — owoc głoszenia Ewangelii — powoli i organicznie się rozwijał aż do pewnego progu, który w praktyce pierwotnego Kościoła uważano za wystarczający do udzielenia chrztu. Tym progiem było efektywne, w spontanicznych czynach miłości uwidocznione nawrócenie, które świadczyło o tym, że we wnętrzu katechumena istnieją już solidnie założone zręby tej rzeczywistości Bożej, którą nazywano odrodzeniem z Ducha Świętego, nowym stworzeniem. Jakiś czas przed chrztem odbywało się swego rodzaju skrutinium, które było jakby egzaminem z postaw. Biskup w otoczeniu całej wspólnoty lokalnej wywoływał kandydatów do chrztu razem z ich krewnymi, znajomymi i tych ostatnich (krewnych i znajomych) wypytywał o postępowanie kandydata w rodzinie, w pracy itd. O ile jego spontaniczne reakcje i postawy tchnęły jeszcze zbytnią logiką świata, chrzest odkładano na później, aż kandydat wystarczająco dojrzeje.

Oto jak wyglądała starochrześcijańska szkoła wiary, w której formowano chrześcijan godnych tego imienia. Formacja ta trwała oczywiście nadal po chrzcie. Narzędzia były zawsze te same: słowo, liturgia (teraz już na pierwszym miejscu Eucharystia) i wspólnota. Było to już jednak budowanie na tym fundamencie, który założony został w sercu chrześcijanina w okresie jego katechumenatu.

A teraz na zakończenie obecnej audycji i całego naszego środowego cyklu krótka refleksja na temat współczesnego nam chrześcijaństwa. Największym jego problemem, prawdziwą ślepą uliczką, w jakiej się ono znalazło, jest być może to, że olbrzymia większość ochrzczonych nigdy w swym życiu nie przeżyła swego własnego chrztu w tym jego najgłębszym wymiarze, w którym jest on egzystencjalnym spotkaniem z Chrystusem zmartwychwstałym, które to spotkanie odradza wewnętrznie człowieka. W konsekwencji są oni ciągle jeszcze chrześcijanami tylko in spe, w możliwości, która jeszcze się nie spełniła. Ich chrzest pozostający ciągle jeszcze nie rozwiniętym ziarnem, złożonym kiedyś

————— *Życie pierwszych chrześcijan* —————

w naszą egzystencję przez Boga, woła głośno o swoją realizację. Czy drogą do tego nie mogłoby być jakieś nowe duszpasterstwo, w duchu, który je ożywia i w środkach, którymi się posługuje, podobne do pierwotnego katechumenatu?

*25 sierpnia 1976 r.*

## Rozdział 3.

### PROROCY STAREGO TESTAMENTU MÓWIĄ DO NAS

#### **Prawo Boże prawem sprawiedliwości, miłości i miłosierdzia.**

Nowy cykl radiowy o tematyce biblijnej, zatytułowany: „Prorocy Starego Testamentu mówią do nas” pragnie nam przybliżyć Stary Testament, który dla wielu z nas pozostaje księgą nie znaną i niezrozumiałą. Nasze pogadanki radiowe pragną pokazać, jak za fasadą opowiadań czy proroctw, na pierwszy rzut oka przebrzmiałych i nie mających żadnego związku z nami, kryje się słowo Boga, który dziś do nas przemawia i który w tym słowie chce wejść w nasze życie.

Uczynimy to na przykładzie ksiąg proroczych. Gdy mowa o prorokach, sprostujmy od razu na początku pewne błędne zapatrywanie, bardzo rozpowszechnione, na temat ich roli w życiu narodu. Wydaje nam się, że ich jedynym zadaniem było przepowiadanie przyszłości. Tak jednak nie jest. Prorocy, to prawda, mówią wiele na temat przyszłości, ale nie jest to ani jedynym, ani najważniejszym ich zadaniem. Ich główna i zasadnicza misja związana była z terażniejszością. Prorocy byli głosem sumienia w Izraelu, pozbawiali go złudzeń, w jakich żył, burzyli mu jego fałszywe mniemanie, jakie co do swojej pobożności i porządności mieli jego królowie, wysocy urzędnicy państwowi, rozmaici wielmoże, kapłani i prosty lud ziemi. Prorocy ukazywali im bezlitośnie prawdę o tym, jak wygląda ich sytuacja przed Bogiem, jakiego nawrócenia Bóg od nich w tej chwili żąda i co ich czeka w przypadku upartego trwania przy swoim zdaniu i przy swoim dotychczasowym trybie życia.

Spśród wielu proroków zwrócimy naszą uwagę na proroka Amosa, który — być może — wielu naszym słuchaczom nawet z imienia nie jest znany. Jest to pierwszy prorok w Izraelu, którego przepowiadanie zostało spisane i doszło do nas w formie niedużej, bo zaledwie dziewięć rozdziałów liczącej księgi. Jego działalność prorocza była krótka, ograniczyła się według wszelkiego prawdopodobieństwa do paru miesięcy 760 r. przed Chr. Przedwczesny kres położyła jej interwencja

Amazjasza, naczelnego kapłana z Betel, który zadenuncjował wobec króla działalność Amosa jako niebezpieczną dla państwa i zmusił go tym do opuszczenia terytorium Izraela.

Okres, w którym w Izraelu pojawił się ze swoim przepowiadaniem Amos, nie był ani burzliwy, ani tragiczny. Na horyzoncie sytuacji politycznej ówczesnego Bliskiego Wschodu nie widać było żadnych niepokojących oznak. Również położenie wewnętrzne kraju nie pozostawiało nic do życzenia. Ludność cieszyła się dobrobytem i z całym spokojem mogła się oddawać jego powiększaniu. Religijność narodu zdawała się być bez zarzutu: świątynie były zawsze pełne, w narodowych pielgrzymkach uczestniczyły liczne tłumy, a ofiarność pobożnego ludu mogła tylko cieszyć kapłanów. Dla powierzchownego oka nie było żadnych powodów do niepokoju. A jednak rzeczywistość była inna. W oczach Bożych Izrael przedstawiał się jak jedna ropiejąca rana. Amos otrzymał od Boga misję, by temu wybranemu ludowi sygnąć prawdę w oczy oraz zapowiedzieć mu, do jakich tragicznych konsekwencji zaprowadzi go jego wewnętrzna zgnilizna.

Ale otwórzmy już Księgę Amosa i przyjrzyjmy się temu, co znajduje się w jej pierwszym i drugim rozdziale. Byłoby dobrze, by nasi słuchacze mieli w tej chwili przed sobą tekst Księgi (w drugim wydaniu Biblii Tysiąclecia znajdujemy go na str. 1068). Pomińmy wstęp i zajmijmy się właściwą treścią dwóch pierwszych rozdziałów. Poczynając od wiersza trzeciego mamy tu szereg prorocत्व skierowanych przeciwko różnym narodom, z którymi Izrael był w kontakcie. Nietrudno jest wyobrazić sobie kontekst, w którym zostały one wygłoszone. Na jakimś placu publicznym Samarii — stolicy Izraela, a może w Betel (które było dla północnego Izraela tym, czym dla nas jest Częstochowa — najświęniejszym miejscem pielgrzymkowym) przemawia Amos, a wokół niego stoi zasłuchany tłum. Amos mówi przeciwko Damazkowi. W swoim okrucieństwie zmłócili saniami żelaznymi Gilead (por. Am 1,3). Jest to aluzja do nowego strasznego wynalazku tamtych czasów: wozów wojennych z długimi wystającymi ostrzami, które, gdy wjechały w zbity tłum ludzki, ucinają wszystkim nogi. Jego słuchaczy rozpięra radość: zaciętemu wrogowi Izraela dostało się za swoje. Zanim jednak zdążyli wchłonąć w siebie jego słowa, Amos skierowuje ostrze swego języka przeciwko lidze nadmorskich miast filistyńskich. Czy oni ściągęli na siebie gniew Jahwe? Napadali na bezbronne wsie i miasta, uprowadzali ich ludność i sprzedawali ją w niewolę Edomowi. Straszne podeptanie

praw i godności człowieka! Za to ogień strawi pałace Gazy (por. Am 1,7). Dobrze im tak! Trzecią ofiarą chłosty proroczej jest Tyr, sławne i bogate miasto kupieckie na terenie dzisiejszego Libanu. Ono też się zhańbiło handlem niewolnikami, a nadto wiarołomstwem w niezachowaniu wziętych na siebie zobowiązań międzynarodowych. Potem przyszła kolej na Edom — nieprzejednanego antagonistę Izraela: ...prześladował mieczem swego brata, tłumiąc uczucie miłosierdzia, trwał w swym gniewie na wieki (por. Am 1,11). Także i jego spotka zasłużona kara! Kto będzie następny? Oto on! Amon! Małe wojownicze państewko nad wschodnim brzegiem Jordanu. By rozszerzyć swoje ciasne granice, napadali na swoich północnych sąsiadów, dopuszczając się przy tym strasznych okrucieństw: rozcinali brzuchy brzemiennym niewiastom Gileadu (zob. Am 1,13). Wśród chłostanych przez Amosa ludów nie brak Moabitów; ich władca dopuścił się ohydnego czynu: zbeczczył grób swojego wroga, króla Edomu, i jego kości spalił na wapno (zob. Am 2,1).

Do tej pory słuchacze Amosa zgadzali się całkowicie z jego słowami i przytakiwali im skwapliwie. Z satysfakcją przyjmowali do wiadomości, że sprawiedliwość Boga wyleje się na ich pogańskich sąsiadów i zapłaci im za wszystko zło, którego się dopuścili. W tym momencie przychodzi jednak pierwsze zdziwienie. Amos zaczyna mówić także o Judzie — o bratnim państwie na południu. Przecież to ten sam naród, wierzący w tego samego Boga, przechowujący tę samą tradycję religijną. Jakiego grzechu są oni winni? Odrzucili prawo Jahwe; przykazań Jego nie strzegli; zwiodły ich idole, za którymi chodzili ich ojcowie (por. Am 2,4). I ten sam wyrok: *Posłę ogień na Judę i strawi pałace Jeruzalem* (por. Am 2,5). „Dziwne to, ale ostatecznie dotyczy to Judy — on też w stosunku do nas nie był w porządku — a nie nas!” — myślą chyba słuchacze Amosa. — „My to co innego!” W tym momencie spada grom z jasnego nieba. Amos woła: *Z powodu trzech lub czterech występków Izraela nie cofnę tego wyroku!* (por. Am 2,6). Także Izrael w rzędzie zbrodniarzy, na równi z poganami??? Czegóż takiego on się dopuścił? *Sprzedają za srebro sprawiedliwego, a ubogiego za parę sandałów; w prochu ziemi deptają głowy biednych i ubogich kierują na bezdroża; ojciec i syn chodzą do tej samej dziewczyny, aby znieważać moje święte imię. Na płaszczach zabranych jako zastaw wylegują się przy każdym ołtarzu i wino wymuszone grzywną piją w domu swego Boga* (por. Am 2,6–8). Tych niesprawiedliwości względem ubogich i bezbronnych Izrael dopuścił się, co gorsza, mimo iż sam kiedyś w Egipcie był ubogim i pozbawionym praw, ale Bóg ujął się za nim, pokonał potężnych Amorytów i dał mu ich ziemię. *I Ja to wyprowadziłem was z Egiptu,*

wiodłem przez pustynię lat czterdzieści, byście posiadli ziemię Amorytów (Am 2,10). Izrael, sam niegdyś biedny, teraz, gdy mu się dobrze wiedzie, depcze prawa tych, którzy wśród jego obywateli są ekonomicznie słabi i bezbronni. Ten grzech zniszczy Izraela: *Oto Ja porozcinam bruzdami ziemię pod wami, jak rozcina ją wóz przeciążony snopami* (por. Am 2,13).

Co w tym słowie Bóg chce dzisiaj do nas powiedzieć? To pytanie powinniśmy sobie stawiać zawsze, ilekroć słyszymy lub czytamy słowa Pisma Świętego. Jest w nich bowiem obecny Bóg, który chce dzisiaj nas wprowadzić w tę samą historię zbawienia, która w Biblii została opisana. W czym więc słowo Amosa zachowuje swoją aktualność dla nas?

Najpierw w tym, że przypomina nam ono, co jest istotą Bożego Prawa. Jest nią: sprawiedliwość, miłość i miłosierdzie. Amos piętnuje tylko i wyłącznie grzechy przeciwko nim skierowane. Bo też to są najcięższe grzechy, które rujną pojedynczego człowieka i całe narody.

Drugą sprawą, w której słowo Amosa pozostaje dla nas aktualne, jest rola, jaką my, chrześcijanie, mamy spełniać w świecie. Tym bowiem, czym kiedyś dla świata był Izrael, są teraz chrześcijanie — członkowie Kościoła. Bóg współtworzy z nami specjalną historię zbawienia, wybiera nas spośród innych ludzi, byśmy byli ludem specjalnie Jemu oddanym, mającym ważną misję do spełnienia względem innych. Jezus mówi o swoich uczniach, tzn. o chrześcijanach, że mają oni być dla świata solą i światłem. Co jednak dzieje się, gdy chrześcijanie — tak jak Izrael z czasów Amosa — przestają się swoim postępowaniem różnić od świata, przyjmują jego pogańską mentalność, naśladują jego postępowanie, popełniają te same grzechy? *Sól zwietrzała* — powie Jezus — *nadaje się tylko na wyrzucenie i na podeptanie* (zob. Mt 5,13). Dwa pierwsze rozdziały Księgi Amosa są starotestamentową wersją tego podeptania i wyrzucenia. Bóg nas w tym słowie przestrzega, by i z nami nie stało się tak samo!

2 lipca 1978 r.

## Mieście w nienawiści zło, a miłujcie dobro.

W ramach naszego cyklu radiowego „Prorocy Starego Testamentu mówią do nas” wybraliśmy mało znaną postać proroka Amosa, by na jego przykładzie uświadomić sobie nieprzemijającą aktualność proroków i w ogóle całej Biblii Starego Testamentu. Prorok w Izraelu nigdy nie był nauczycielem abstrakcyjnych, oderwanych od rzeczywistości prawd; jego działalność była zawsze głęboko zakotwiczona w realiach życia, na które prorok rzuca światło Boże, widzi je i ocenia tak, jak je widzi i ocenia Bóg. Prorocy byli w życiu Izraela ciągle obecnym głosem Boga, który to głos nie pozwala na trwanie w złudzeniach. Co do Amosa, miał on dwie sprawy do zdemaskowania w Izraelu: jego grzechy przeciwko sprawiedliwości i miłości oraz jego fałszywą pobożność.

Rozważmy dzisiaj tę pierwszą — życie społeczne Izraela. Pod powierzchnią dobrej organizacji życia państwowego i społecznego kryła się przerażająca niesprawiedliwość bogatych względem ubogich oraz zupełny brak miłosierdzia w stosunku do tych ostatnich. W jednej ze swoich mów wygłoszonych w stolicy państwa — Samarii — Amos ironicznie proponuje swoim słuchaczom ściągnąć z nadmorskich miast filistyńskich oraz z Egiptu międzynarodową komisję rzeczoznawców, by ta urzędowo stwierdziła niesprawiedliwość społeczną panującą w tym wybranym przez Boga narodzie. *Głóście w pałacach w Aszdodzie i na zamkach w ziemi egipskiej. Mówcie: „Zbierzcie się na górach Samarii, zobaczcie wielkie w niej zamieszanie i gwałty pośrodku niej. Nie umieją postępować uczciwie, gromadzą nieprawość i ucisk w jej pałacach”* (por. Am 3,9–10). Kiedy indziej Amos jest bardziej konkretny, pokazując z jednej strony bez troskie i luksusowe życie magnatów i bogatych kupców, a z drugiej strony nędzę i krzywdy, jakie muszą znosić ekonomicznie słabi. *Biada bez troskim na Syjonie i dufnym na górze Samarii, książętom pierwszego z narodów, których słucha dom Izraela... W mniemaniu swoim oddalacie dzień niewoli; a w rzeczywistości przybliżacie panowanie gwałtu. Leżą na łożach zkości słoniowej i wylegają się na dywanach; jedzą owoce z trzody i cielęta spośród stada. Pośpiewują sobie przy dźwiękach harfy i jak Dawid wynajdują sobie instrumenty do grania. Piją w czarkach wino i wybornym olejkiem się namaszczają, i nic nie martwią upadkiem domu Józefa* (por. Am 6,1,3–6). Przy innej jeszcze okazji Amos tak gromił swoich słuchaczy: *Słuchajcie tego wy, którzy deptacie ubogiego i wykańczacie ludzi niskich stanem; którzy mówicie: „Kiedyż minie nów księżycy, byśmy mogli sprzedawać zboże; kiedyż minie szabat, byśmy mogli otworzyć spichlerz? Będziemy zmniejszać efe, powiększać sykl i wagę*



*podstępnie fałszować. Będziemy sprzedawać za srebro ubożego i biednego za parę sandałów; i plewy pszeniczne będziemy sprzedawać*” (por. Am 8,4-6). Oto obraz społeczeństwa izraelskiego: kto raz dorobił się w nim pieniądza, ten trzymał się go kurczowo. W celu powiększenia majątności dopuszczano się oszustw w handlu, fałszowano miary i wagi, sprzedawano towar wybrakowany; wypoczynek świąteczny — święty nakaz ich wiary — uważany był za stratę czasu. Przedmiotem handlu był nawet żywy człowiek; za małe długi ubodzy musieli płacić wolnością i iść na przymusową pracę do bogaczy. Dla tych pokrzywdzonych obywateli Izraela nie istniała w państwie żadna instancja, która brałaby ich w obronę. Sądy bowiem i oficjalny wymiar sprawiedliwości, sprawowany w bramach miejskich, był po stronie bogaczy. O tym bolesnym problemie też często mówił Amos: *Prawo w piołun obracają, a sprawiedliwość deptają po ziemi; nienawidzą dowodzącego w trybunale słuszności; nie cierpią tego, który mówi prawdę. Dlatego, ponieważ deptaliście biednego i daniny w zbożu braliście od niego możecie budować sobie domy z kamienia ciosanego... Poznałem liczne wasze złości i grzechy wasze bez końca; o wy, ciemniejscy sprawiedliwego, biorący łapówki i uciskający w trybunale ubogich! Miejcie w nienawiści zło, a miłujcie dobro! Wymierzajcie w trybunale sprawiedliwość, a może ulituje się Jahwe, Bóg Zastępów, nad resztą pokolenia Józefa* (por. Am 5,7.10-12.15).

Przerwijmy w tym miejscu przegląd społecznych mów Amosa i zastanówmy się przez chwilę nad tym, co Bóg przez te twarde słowa pragnie dzisiaj nam powiedzieć. Myślę, że jedną podstawową prawdę, tę mianowicie, że miłość, miłosierdzie i sprawiedliwość są w centrum religii, są jej sercem i źrenicą oka. W nich trzech streszczają się wszystkie przykazania Boże, do miłości winny zmierzać wszystkie praktyki religijne. Tutaj znajduje się punkt, w którym objawiona przez samego Boga religia — najpierw Stary Testament, a teraz chrześcijaństwo — mają się różnić od wszystkich innych ideologii tego świata.

Gdy słyszymy: „miłość”, „sprawiedliwość”, potakujemy skwapliwie głową, bo w podświadomości dośpiewujemy sobie: „...żeby mnie inni kochali; żeby moich praw nikt nie deptał”.

Ewangelia Jezusa mówi co innego! Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie (Łk 6,31). Wy nie wyrządzajcie innym niesprawiedliwości, wy kochajcie innych! A jeśli ci inni źle nam czynią, jeżeli deptają nasze słuszne prawa? W tym punkcie chrześcijaństwo

zaczyna być rewolucyjne i różne od wszystkiego innego na tym świecie, ale także budzące nasze sprzeciw. Posłuchajmy fragmentu z Kazania na Górze: *Jeśli miłujecie tych, którzy was miłują, czym się wyróżnicie od innych? Czyż i grzesznicy tego nie czynią? Jeśli pozdrawiacie tylko swych braci, cóż szczególnego czynicie? Czy i poganie tego nie czynią? Miłujcie waszych nieprzyjaciół, dobrze czynicie tym, którzy was nienawidzą i módlcie się za tych, którzy was prześladują i potwarzają* (por. Mt 5,44-47). I jeszcze: *Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko, ząb za ząb. A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu [czyli krzywdzie, jaka was spotyka]. Lecz jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu jeszcze drugi. Temu, kto chce się prawować z tobą i zabrać ci twoją suknię, odstęp i płaszcz. Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące. Daj temu, kto cię prosi, i nie odwracaj się od tego, kto chce pożyczyć od ciebie* (por. Mt 5,38-42). Powiedzmy to sobie jasno: miłość, o jakiej tu jest mowa rezygnuje z obrony swoich słusznych praw, bierze na siebie milcząco niesprawiedliwości, jakich względem nas dopuszczają się inni. Taka miłość jest samym sercem chrześcijaństwa. Temu, kto w tej chwili myśli: „To niemożliwe, to nieludzkie, tego wcale nie ma u proroka Amosa ani u nikogo z proroków” — trzeba odpowiedzieć: To prawda, tego nie ma jeszcze u proroków; ale prawdą jest też, że u nich nie ma ostatniego słowa Bożego na ten temat. W społecznych mowach Amosa zaczyna się linia, która rozwijać się będzie dalej w późniejszych księgach Starego Testamentu i która swoje uwieńczenie znajdzie w słowach i w dziele Jezusa Chrystusa. A Jezus Chrystus zademonstrował nam w sobie taką właśnie miłość. Nasz grzech, przewrotność nas wszystkich spadła na Niego, a On jej nie strząsnął ze swoich ramion, ale wziął ją na siebie. Zmiażdżony naszą niesprawiedliwością umarł dobrowolnie na krzyżu, a umierając nie złorzeczył nam, ale nas usprawiedliwił: *Ojczy, odpuść im, bo nie wiedzą, co robią* (por. Łk 23,34). Taka była miłość Jezusa Chrystusa; taka ma być też miłość chrześcijan, jeżeli to chrześcijaństwo nie ma być tylko pustą etykietą. Miłości tak daleko się posuwającej nie ma nigdzie na świecie; nikt nie jest do niej zdolny; bo tak kocha tylko Chrystus i ten, w którym Chrystus żyje. Ten, w którym żyje Jezus Chrystus, to właśnie chrześcijanin. Bo taka miłość nie jest wynikiem naszych wysiłków; ona jest naturalnym i spontanicznym owocem naszego przebywania z Jezusem Chrystusem i naszej trwałej zażyłości z Nim. Czy posiadamy taką miłość? Czy w ogóle ją rozumiemy? Czy nie mówimy może razem z całym światem, że taka miłość jest absurdem i niedorzecznością? Byłby to znak, że w głębi serca nie jesteśmy jeszcze nawróceni na chrześcijaństwo. I wtedy dzisiejsze słowo Amosa wzywa

nas do tego nawrócenia: Miejcie w nienawiści zło, a miłujcie dobro ! (Am 5, I 5).

9 lipca 1978 r.

### **Bóg brzydzi się fałszywą pobożnością.**

Spółceństwo izraelskie, do którego został posłany prorok Amos, było w latach sześćdziesiątych VIII w. przed Chr. społeczeństwem na zewnątrz zdrowym i kwitnącym. Były to jednak pozory. W rzeczywistości jego bujną egzystencję rujnował od wewnątrz śmiertelny rak grzechu. Amos przyszedł go odsłonić. W swoich śmiałych przemówieniach piętnował on bezlitośnie zbrodnie Izraela w dziedzinie społecznej. W tym narodzie nie było sprawiedliwości, miłosierdzia i miłości. Wszelkie reguły praworządnego współżycia społecznego łamał niepowstrzymany pęd za pieniądzem; kto posiadał lepszy start i silniejsze łokcie, dorabiał się w tych zawodach coraz lepszej fortuny, stając się też coraz bardziej nieczułym na to, że to wszystko dzieje się kosztem ubogich i budowane jest ich krzywdą. Niepisanym prawem stała się przemoc i siła. Trybunały — oficjalny wymiar sprawiedliwości — przestały być miejscem, w którym króluje prawo; wygrywał w nich ten, kto więcej zapłacił.

Najtragiczniejsze w tym wszystkim było to, że niesprawiedliwość społeczna (której konkretne przejawy szerzej opisaliśmy w poprzedniej naszej pogadance) stała się w oczach narodu czymś normalnym. Nikt nie odczuwał z tego powodu jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Owszem, wszyscy żyli w przeświadczeniu, że Bóg z całą pewnością musi być zadowolony ze swojego wybranego ludu. Czyż dobrobyt, tak łatwo dziś osiągalny, oraz trwały pokój wewnętrzny i zewnętrzny nie są najlepszym dowodem Jego błogosławieństwa i aprobaty? W tym poczuciu, że wszystko jest w porządku, utwierdzała społeczeństwo izraelskie najbardziej jednak jego religijność. W tamtych czasach nikt nie mógł powiedzieć, że Izrael, jako całość, jest za mało religijny. Do świątyń w przepisane dni chodzili wszyscy; ich mury drgały od gromkiego śpiewu pobożnego ludu; ołtarze spływały nieustannie krwią składanych w ofierze zwierząt; trzy razy do roku — w święta nakazane przez prawo — do najbardziej znanych sanktuariów w Betel, Gilgal i Dan ciągnęli ze wszystkich stron uniesieni zapałem religijnym pielgrzymi. Jakież powód

do niezadowolenia miałby mieć Bóg? Jego lud spełniał przecież nie-nagannie wszystkie tzw. obowiązki religijne. A jednak!...

W jedno z wielkich świąt, kiedy Betel — królewskie sanktuarium narodowe — wypełnione było po brzegi pielgrzymami, Bóg posłał tam Amosa ze słowem, które musiało w osłupienie wprawić wszystkich jego słuchaczy. Badania uczonych nad tym dziwnym tekstem pozwalają nam na odtworzenie bliższych okoliczności, w jakich ta mowa prawdopodobnie była wygłoszona. Otóż w ramach staroizraelskich uroczystości pielgrzymkowych był taki moment, w którym jeden z kapłanów albo oficjalnych proroków świątynnych wygłaszał w imieniu Boga krótką katechezę, która była liturgiczną odpowiedzią Boga na aktualne wewnętrzne problemy pątników, na tkwiące w ich sercu pytanie: Czy też Bóg jest zadowolony z tego, że tu przyszedłem i z tego, co tu robię? Możemy się domyślać, że te homilie były z reguły pełne pochwał dla ofiarności i wyrzeczeń pątników; pełne zapewnień, że upodobanie Boże spoczywa na nich. Wtedy kapłana wyznaczonego do wygłoszenia owej katechezы musiał ubiec Amos, który w imieniu Boga — tak jakby sam Bóg przemawiał przez jego usta — powiedział do zdumionego ludu: *Nienawidzę, brzydkę się waszymi świątami. Nie będę miał upodobania w waszych uroczystych zebraniach; bo kiedy składacie Mi całopalenia i wasze ofiary, nie znoszę tego, a na ofiary pojednania z tucznych wołów nie chcę patrzeć. Idź precz ode Mnie ze zgiełkiem twoich pieśni, i dźwięku twoich harf nie chcę słyszeć! A przecież sprawiedliwość powinna wystąpić z brzegów jak woda, a prawosć wylać się jak potok nigdy nie wysychający* (por. Am 5,21-24).

Kult Izraela stał się w oczach Bożych obrzydliwością. Nie dlatego, że kult sam w sobie był czymś niemiłym Bogu; wypływa on przecież z woli Bożej i Izrael to, co w tej dziedzinie robił, robił z posłuszeństwa prawu, które otrzymał od Boga. Powodem odrzucenia liturgicznej służby Bożej Izraela nie były również jakieś zaniedbania w tej dziedzinie: opuszczenia nakazów liturgicznych czy nieprzestrzeganie przepisanej w nich formy. Na ten temat nie ma u Amosa ani słowa. Brak było w kulcie izraelskim powiązania z życiem. A przecież sprawiedliwość powinna wystąpić z brzegów jak woda, a prawosć wylać się jak potok nigdy nie wysychający. Pobożność Izraela nie przynosiła owoców w postaci miłości i sprawiedliwości w stosunkach międzyludzkich. A jeżeli ona do tego nie prowadzi, przestaje być wyrazem czci Boga i zamienia się w Jego nabieranie, w Jego obrazę. Kult przeradza się w grzech, w bluźnierstwo!

Nie może nam się to pomieścić w głowie, ale tego równania (kult równa się grzech) Amos wyraźnie dokonał przy innej okazji.

Miało to znowu miejsce w Betel, w okresie, kiedy tam i do innych izraelskich sanktuariów, np. do Gilgal nad Jordanem, ciągnęły ze wszystkich stron liczne rzesze pielgrzymów. Wszyscy wiedzieli, co ich tam czeka: nazajutrz po przybyciu wczesnym rankiem udział w ofierze wspólnotowej, zwanej po hebrajsku zebah; kończyła się ona ucztą ofiarną, gwarantującą udział w życiu Boga; w czasie tej uczty można się było najeść tyle wspaniałego mięsa. Na trzeci dzień — w ramach równie wspaniałego rytu ofiarniczego — składano przyniesione ze sobą dziesięciny. Następne dni przeznaczone były na składanie tzw. ofiar pochwalnych i innych zwanych dobrowolnymi, bo nie objęte one były żadnym nakazem, wypływały li tylko z ofiarności i pobożności pojedynczych osób. Tutaj można się było wyróżnić, pokazać innym, ile się ma. Zanim jednak ten wspaniały program zacznie się rozwijać, pielgrzymów czekało uroczyste powitanie przy bramach świątyni ze strony któregoś z kapłanów. To powitanie zwane fachowo tora, czyli pouczeniem, dźwięczało już naprzód w uszach pątników dobrze znanymi i z roku na rok powtarzającymi się zwrotami, mniej więcej takimi: „Wejdźcie do świątyni i otrzymajcie tu prawdziwe życie od Boga; spełnijcie tu pobożnie wszystkie akty kultu (i tu następowało ich szczegółowe wyliczenie), bo to się Bogu podoba; za to zapewnicie sobie Jego błogosławieństwo”. Tego dnia jednak przy wejściu do świątyni, na podwyższeniu, skąd zwykło się wygłaszać te powitalne mowy, nie stał żaden kapłan. Jego miejsce zajął Amos, który tak oto przemówił do skupionych wokół niego pielgrzymów: *Wejdźcie do Betel i grzeszcie! Idźcie do Gilgal i grzeszcie jeszcze więcej! Przyniescie rano wasze ofiary wspólnotowe, a na trzeci dzień wasze dziesięciny. Z waszego kwasu spalajcie ofiarę pochwalną i głośno wołajcie o ofiarach dobrowolnych, niech o nich będzie słychać; bo to się wam podoba, o synowie Izraela — wyrocznia Jahwe Pana!* (por. Am 4,4-5).

Co to było? Przecież to parodia tradycyjnego przemówienia! „Wejdźcie do Betel i doświadcźcie tu życia” — mówiło się zawsze; a Amos powiedział: Wejdźcie i grzeszcie! Poza tym to ciągle podkreślanie: wasze ofiary, wasze dziesięciny; przecież to są Boże ofiary, tak się je dotąd ciągle określało. I ta ironia okrutna: Bo tak się wam podoba — synowie Izraela. Kapłan zawsze kończył słowami: „Bo to się Bogu podoba”. Co to ma znaczyć? Czy Amos pozwala sobie na bluźnierstwa? Nie! Tym razem to naprawdę wyrocznia Jahwe Pana, Boga Izraelowego. Na taką ocenę

zasłużył sobie kult izraelski w oczach Bożych. Bo to był kult, który nie prowadził do żadnej zmiany życia; nie utwierdzał on panowania Boga nad życiem i sercem człowieka; ten kult przestał być wyrazem posłuszeństwa woli Bożej w postępowaniu. W Izraelu istniała przepaść między religią i życiem; te dwie dziedziny nie stykały się w żadnym punkcie. W tej sytuacji religijność łatwo staje się dla człowieka wygodnym alibi, dającym mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa; mydli mu oczy, daje mu złudne wrażenie, że on przecież w oczach Bożych jest w porządku, daje mu zadowolenie z siebie. W ten sposób niepostrzeżenie sercem kultu przestaje być Bóg; w jego centrum wchodzi znowu człowiek. Nie ma już w nim szukania Boga; jest szukanie siebie samego. W ten sposób kult, często bezwiednie, przeradza się w grzech.

Dzisiejsze słowo Boga nie utraciło nic ze swojego znaczenia i aktualności. Weźmy je sobie głęboko do serca także i my. Potraktujmy je jak lustro, które pozwala nam sprawdzić autentyczność naszej polskiej religijności tak bardzo dziś po świecie wychwalanej. To wielki dar Boży i nie powinniśmy dać jej sobie wyrwać. Ale właśnie w celu jej zachowania i utwierdzenia jej sławy winniśmy się nie bać odważnej i bezlitosnej konfrontacji z dzisiejszym twardym słowem Amosa. żeby nasza pobożność nie koegzystowała w naszym życiu z kultem pieniądza, własnego prestiżu, z wieczystym pytaniem: A co ja z tego będę miał?, z bezwzględnością wobec innych, z brakiem litości i wyrozumienia dla słabych i grzeszników, z niewybaczaniem uraz; słowem z postępowaniem, w którym nie ma nic z Ewangelii. Bo wtedy byłaby to fałszywa pobożność!

*Brzydę się waszymi świętami. Idź precz ode Mnie ze zgiełkiem twoich pieśni. Niech sprawiedliwość wyleje się jak woda i miłość jak potok nigdy nie wysychający (por. Am 5,21.23-24).*

16 lipca 1978 r.

## Zapłatą za grzech jest śmierć.

W naszych trzech poprzednich pogadankach biblijnych widzieliśmy proroka Amosa jako nieustraszonego krytyka społecznych grzechów Izraela oraz jego fałszywej pobożności. Posłannictwo Amosa nie ograniczyło się jednak do bezlitosnego odsłaniania prawdy. Najważniejsze, co miał on w imieniu Boga powiedzieć Izraelowi, dotyczyło czegoś innego — dotyczyło konsekwencji, które dla Izraela będzie miał jego grzech. Jego rezultatem jest zagłada Izraela jako państwa, zagłada nieodwołalnie już przez Boga zadekretowana. Amos dowiedział się o tym w trakcie pięciu widzeń, które Bóg pozwolił mu oglądać, prawdopodobnie jeszcze przed rozpoczęciem jego działalności proroczej. Treść tych wizji jest ważna. Pozwalają nam one wnikać w sekrety Bożego serca — w jego cierpliwość i jej granice — oraz poznać coś z życia wewnętrznego Amosa — jego przejęcie się losami Izraela i jego miłość do tego narodu.

W pierwszej wizji Amos ogląda, jak chmura szarańczy spada na zieleniejące wiosną pola i chciwie pożera wszystko, co miało się stać zapasami żywności na cały następny rok. Amos jest przerażony. Przecież to oznacza odebranie synom Jakuba, jak się zwykli nazywać Izraelici z północy, materialnej bazy ich istnienia. To śmierć głodowa! Z ust proroka wyrywa się jęk: *Panie mój, Jahwe, przebacź! Jak będzie się mógł ostać Jakub? Przecież on jest taki mały!* (por. Am 7,2). Wstawiennictwo Amosa, podyktowane miłością, odniosło skutek. Bóg odpowiedział: *To się nie stanie* (Am 7,3). Dekret zguby został odwołany. Izrael jednak nadal trwał w swym grzechu. Po jakimś czasie Amos ma drugą wizję. Z nieba spadł na ziemię deszcz ognia. Był on tak potężny, że wysuszył wody ogromnego podziemnego oceanu, który według ówczesnych wyobrażeń kosmologicznych był źródłem wszelkich wód, które nawadniają ziemię. Pola izraelskie od straszliwej suszy przestały wydawać plony. Amos ogarnięty jeszcze większym przerażeniem woła: *Panie mój, Jahwe, przebacź! Jakże będzie mógł ostać się Jakub!? Przecież on jest taki mały!* (por. Am 7,5). Modlitwa błagalna proroka jeszcze raz została wysłuchana. *To także się nie stanie* (por. Am 7,6) — odpowiedział znowu Bóg. Zagłada Izraela jeszcze i tym razem została odroczone.

Zanim przejdziemy do następnych wizji, zatrzymajmy się przez chwilę nad jedną ważną refleksją. Zguba, która zagraża Izraelowi, nie jest zemstą Boga za doznaną obrazę. Ona jest normalną i nieodłączną



konsekwencją grzechu, tak nierozdzielnie z nim związaną, że nawet Bóg nie może sprawić, by było inaczej. Grzech i śmierć (śmierć zadana normalnemu, szczęśliwemu życiu) to jedno i to samo; albo — wyrażmy to inaczej — to dwie strony tego samego medalu. Biblia zmusza nas do rewizji naszych poglądów na naturę grzechu i kary. Mniej lub więcej świadomie wszyscy uważamy, że grzech sam w sobie jest czymś dobrym, przyjemnym, że jest używaniem życia na całego. Niestety, Bogu się on nie podoba i dlatego jest zakazany. Kto tego zakazu się nie trzyma, obraża Boga, który wkracza z karą. Czy nie tak myślimy o tych sprawach? Tymczasem nie może być fatalniejszego błędu. Tak zapatrują się na kwestię grzechu i kary religie pogańskie; Biblia — ten miarodajny wykładnik naszej wiary — uczy czegoś zupełnie innego. Grzech w swej najgłębszej naturze jest śmiercią, trucizną zabijającą szczęście człowieka — jego wewnętrzną harmonię, radość, poczucie sensu życia. Jad tkwiący w naturze grzechu daje o sobie znać w naszych nerwicach, w naszym smutku, w poczuciu bezsensu i nienasycenia, w odczłowieczeniu tak dziś często spotykanym w rozmaitych jego postaciach. Grzech jest dlatego zakazany, bo Bóg nie chce naszej śmierci, nie chce, byśmy byli chodzącymi trupami, pozbawionymi prawdziwego życia. Jak już wspomnieliśmy, nawet Bóg nie może zmienić tej natury grzechu i sprawić, by nie był on dla człowieka zagładą. Bóg swoją wszechmocą może jedynie sprawić, by ten jad grzechu nie od razu i nie w pełni okazał swą zabijającą moc. Gdy Bóg to uczyni, mówi się, że jest On cierpliwy i czeka. Na co? Na nawrócenie, które wszystko może odmienić. Amos w swoich dwóch pierwszych wizjach był świadkiem owej cierpliwości Boga. Mimo że Izrael trwa w uporze, Bóg, powodowany miłością, odracza nadejście zagłady, która niepoohamowanie idzie za grzechem.

Ale oto trzecia wizja. Bóg pokazuje w niej Amosowi przyrząd murarski — ołów zawieszony na sznurku — służący do stwierdzenia, czy ściana budowli jest prostopadła do terenu, czy nie jest przypadkiem nachylona. W wizji Amosa ktoś trzyma w ręku ten pion ołowiany i sprawdza nim nachylenie walącego się muru. Między Bogiem i prorokiem wywiązuje się krótki dialog. *Co widzisz, Amosie?* — pyta Bóg. *Pion ołowiany* odpowiada Amos. A na to Bóg: *Oto ja kładę pion ołowiany w środek mojego ludu Izraela. Już go dłużej nie oszczędzę* (por. Am 7,8). Wymowa tej wizji jest jasna. Izrael jest jak mur nachylony. Pion ołowiany wykazał, że jego nachylenie doszło do takiego stopnia, że nadaje się on już tylko do rozwalenia. Znaczy to, że miara grzechu się przebrała. Bóg pozwala,



by zło, któremu Izrael z takim uporem się oddaje, wylało na ten naród całą moc swej śmiertelności trucizny.

Czwarta wizja jest potwierdzeniem tego wyroku. Amos widzi w niej kosz pełen dojrzałych owoców letnich. Z ust Boga pada to samo pytanie: *Co widzisz, Amosie? Kosz dojrzałych owoców letnich* — odpowiada prorok. A Bóg konkluduje: *Nadszedł koniec dla ludu mojego Izraela. Już go dłużej nie oszczędzę* (por. Am 8,2). Dialektyka tej wizji opiera się na grze słów. „Dojrzałe owoce letnie” oddaje w języku hebrajskim to samo słowo, które oznacza również „koniec”. Gdy Amos wypowiedział to słowo, Bóg je podchwytuje i używa w tym drugim znaczeniu: *Koniec nadszedł dla mojego ludu*.

Piąta wizja, którą znajdujemy na początku ostatniego rozdziału Księgi Amosa, pokazuje już tylko, jak totalna będzie ta śmierć, jak jej nikt nie ujdzie. Ten całkowity i nieodwracalny koniec państwowości izraelskiej był główną wiadomością, którą ze strony Boga miał Amos do przekazania swoim pobratymcom. Był to istotnie stały refren jego przemówień: *Będzie zniszczona i otoczona ziemia; zniszczona będzie moc twoja i zrabowane będą twoje pałace* (por. Am 3,11); *Upadła, nie będzie mogła powstać Dziewica Izraela; leży na ziemi, nikt jej nie podźwignie* (por. Am 5,2); *Na wszystkich ulicach będzie lament, we wszystkich zaułkach krzyżeć będą: biada, biada!* (por. Am 5,16); *Oto ja wzbudzę przeciw wam, domu Izraela, naród, który was uciemieży* (por. Am 6,14); *Tęgo dnia pieśni dworskie zamienią się w lament; na każdym miejscu będzie mnóstwo trupów* (por. Am 8,3). Od takich i innych jeszcze zapowiedzi opisujących koniec Izraela roi się krótka Księga Amosa. Jego słowo sprawdziło się. Czterdzieści lat później, w roku 721 przed Chr. asyryjski władca Sargon II zdobył stolicę Izraela — Samarię, a jego ludność przeniósł do Azji Mniejszej. Państwo Izraela przestało istnieć.

To fundamentalne orędzie proroka Amosa ma znaczenie powszechne. Nachylił się nieco nad nim, bo pomoże nam ono zrozumieć to, co najważniejsze w naszej chrześcijańskiej wierze. Grzech Izraela jest obrazem naszego grzechu. Wszyscy powinniśmy odnaleźć nasze własne rysy w portrecie Izraela jaki nam zostawił Amos — w pysze tego narodu, w jego braku miłości i miłosierdzia, w jego fałszywej pobożności. Św. Paweł napisał w Liście do Rzymian: *...każde usta muszą zamilknąć i cały świat musi się uznać winnym wobec Boga* (Rz 3,19).

Przejdźmy do następnego punktu: ...zapłatą za grzech jest śmierć (Rz 6,23). Księga Amosa na przykładzie Izraela ilustruje prawdę tego zwyciężonego Pawłowego powiedzenia. Tragiczny los, który spotkał Izraela w porządku doczesnym, jest obrazem tego, co miało spotkać każdego z nas — grzeszników. Grzech zabija w nas życie, unieszczęśliwiając nas na wieki. Biblia nazywa to śmiercią wieczną. Ona byłaby przeznaczeniem każdego z nas, gdyby nie... Właśnie! W tym punkcie trzeba powiedzieć to najważniejsze: gdyby nie Jezus Chrystus. To ostatecznie w Jego życie weszło okrucieństwo śmierci; którą w tak realistycznych barwach przedstawiał Amos. Śmierć Jezusa była także konsekwencją grzechu, tylko że ten grzech nie był Jego, on był nasz! A Jezus za niego umarł. Chrystus pozwolił się zabić przez religijność faryzeuszy, sztywną i wykluczającą wszelką nową interwencję Boga; pozwolił się zabić przez kompromisowość Piłata, przez kłamstwo fałszywych świadków, przez bezmyślność tłumów, okrucieństwo żołnierzy, przez tchórzliwość apostołów, przez zdradę Judasza. W tym wachlarzu ludzkich grzechów, które złożyły się na śmierć Jezusa, odnajdziemy z łatwością nasze postawy, którymi codziennie zabijamy w sobie i w innych prawdziwe życie. Jezus umiera pod ciężarem tego wszystkiego. Trucizna naszego grzechu na Nim pokazała całą swoją śmiertelną jadowitość. On zgodził się, by ona Go zniszczyła. A stało się tak, abyśmy my nie musieli umierać, byśmy mogli żyć nowym życiem, które Bóg w Chrystusie zmartwychwstałym nam na powrót pragnie zwrócić. I to za darmo. Jedno tylko jest potrzebne, byśmy weszli w ten nowy wymiar istnienia. To się nazywa nawróceniem. Do tego tematu, którym zajmiemy się bliżej za tydzień, prorok Amos wprowadza nas wspianiałym krótkim wezwaniem: Tak mówi Jahwe do domu Izraela: *Szukajcie Mnie, a żyć będziecie* (Am 5,4).

23 lipca 1978 r.

### **Szukajcie Boga, a żyć będziecie.**

Izrael dopełnił miary swojego zła i Amos przyszedł powiedzieć temu narodowi, że zbliża się jego koniec, że Bóg zdecydował, by trucizna grzechu, w którym naród ten trwał z takim uporem, dokonała jego zagłady. Izrael jako państwo miał już dni nieodwołalnie policzone. Czy od tego przeznaczenia nie było już naprawdę odwrotu? Dla Izraela jako całości — nie! To społeczeństwo nie było już zdolne do pokuty.

Pojedyncze jednostki jednak, choć też z konieczności dotknięte będą powszechną katastrofą, mają szansę ocalenia tego, co dla każdego życia człowieczego jest najważniejsze. Co to za szansa? Tak mówi Jahwe do domu Izraela: *Szukajcie Mnie, a żyć będziecie. Nie szukajcie Betel i do Gilgal nie chodźcie. I Beer-Szeby nie odwiedzajcie! Albowiem Gilgal pójdzie do niewoli, a Betel stanie się pustkowiem. Szukajcie Pana, a żyć będziecie* (por. Am 5,4-6). Oto jedyna szansa! Szukajcie Boga, Jego samego, Jego Osoby. Betel, Gilgal, Beer-Szeba to nazwy sławnych sanktuariów narodowych i miejsc pielgrzymkowych. Nie chodźcie tam więcej! Stamtąd nie przyjdzie dla was zbawienie. Co to oznacza? To oznacza, że w sferze spraw, które człowiek ma z Bogiem, istnieje najważniejsza — sam Bóg, Jego Osoba — i cały wachlarz akcesoriów, które mają ułatwić nasze zbliżenie się do Niego. Do nich należą: świątynia, święta, pielgrzymki itd. To wszystko też jest ważne, to też wypływa z woli Bożej. Przewrotność jednak zranionej przez grzech ludzkiej natury może sprawić, że te wszystkie sprawy drugorzędne przesłonią to najważniejsze — Boga. I wtedy religia staje się narzędziem samousypiania sumienia, odwracania uwagi od nakazów moralnych — sposobem, w który człowiek wyżywa się kosztem Boga szukając znowu siebie samego. W to niebezpieczeństwo wpadł Izrael. Amos pragnie przynajmniej jednostki sprowadzić na właściwą drogę. Szukajcie Boga, Jego Osoby. To was uratuje; to sprawi, że wasze życie mimo wszystko nie będzie życiem przegranym, będzie życiem udanym, szczęśliwym.

Człowiek bowiem ma taką naturę, że bez Boga nie jest dla niego możliwe prawdziwe szczęście. Ludzka egzystencja, by mogła być udana, potrzebuje zakorzenienia się w Bogu, tak jak drzewo nie może żyć, jeżeli korzeniami nie tkwi w ziemi. Tragedią ludzkości jest to, że przez grzech pierworodny i przez grzechy osobiste wszyscy wyrwani jesteśmy z tego naturalnego środowiska, jakim dla naszej natury jest Bóg. Bóg stał się dla nas kimś dalekim, abstrakcją; kimś, o kim się tylko dowiadujemy, ale którego już nie doświadczamy. Jego miłość do nas przestała być dla nas namacalnym żywiołem, którego dobroczynna obecność daje nam życie i poczucie bezpieczeństwa. W głębinach naszego „ja” czujemy się sami, skazani na wzięcie wyłącznie w swe ręce steru naszego życia. To nasze kruche życie — jedyne, jakie mamy — musi być jednak na czymś oparte, ale tym oparciem w konkretach i realiach naszego życia nie bywa Bóg, ale pieniądze, kariera, ludzkie uznanie, zapewnienie sobie miłości ze strony innych ludzi itd. Izrael z czasów Amosa nie był wyjątkiem od tej reguły, ale też i dlatego szedł on na spotkanie swego nieszczęścia.

Izraelowi tamtych czasów mówił Bóg: *Szukajcie Mnie, a żyć będziecie* (Am 5,4). Te słowa zachowały pełną aktualność także w odniesieniu do nas: Szukajcie Mnie; wróćcie do Mnie, niech wasze życie znowu zakorzeni się we Mnie, uwierzcie w moją miłość, szukajcie osobistego, intymnego kontaktu ze Mną, a będziecie żyć.

Czym to szukanie jest? Co się na nie składa? Co mamy robić, by można było powiedzieć, że szukamy Boga?

Odpowiedź na te pytania dają nam ostatnie wiersze z Księgi Amosa, wiersze, które prawdopodobnie do tekstu Księgi zostały dopisane później, gdy przepowiednie Amosa sprawdziły się nie tylko na Izraelu, ale także na południowym państwie judzkim, które trwało 150 lat dłużej, ale które też w końcu zginęło z tej samej przyczyny, co Izrael — z powodu grzechu jego mieszkańców. W tej sytuacji Bóg pocieszył Izraela takim oto słowem: *W owym dniu podniosę szataś Dawida upadły, naprawię jego szczeliny, podźwignę jego ruiny, odbuduję go jak za dawnych dni, aby stali się dziedzicami reszty Edomu i wszystkich narodów, nad którymi zostało wezwane moje imię... Oto nadejdą dni, że będzie postępował zniwiarz zaraz za oraczem, a deptający winogrona za tym, który sieje; z gór sączyć się będzie słodki napój, a wzgórze będą się kotłowały winnicami. Odmienię los ludu mojego izraelskiego i odbuduję miasta zniszczone i będą w nich mieszkać; zasadzę winnice i będą pić ich wino; założą ogrody i jeść będą ich owoce. Zasadzę ich na ziemi i nigdy już nie będą wyrwani z ziemi, którą im dałem — mówi Jahwe, Twój Bóg* (por. Am 9,11–15).

Pierwszym naszym wrażeniem jest, że te wiersze nie mają nic wspólnego z szukaniem Boga, o którym mówiliśmy przed chwilą. To wrażenie jest jednak tylko zewnętrzne. Przypatrzmy się bliżej temu słowu. Mowa w nim jest o owym dniu, o tym, że nadejdą dni. Co to są za dni? To dni ostateczne, w których historia zbawienia, ta, która została opisana w Starym Testamencie, dojdzie do swego punktu końcowego. Ów dzień to przyjsie Jezusa Chrystusa, Jego śmierć i zmartwychwstanie, Jego dalsze życie w Kościele, Jego powtórne przyjsie w chwale. Przytoczone wyżej słowa opisują więc tamte przyszłe wydarzenia. Prorok mówi jednak o nich nie wprost, ale w przenośniach, w języku tzw. symbolicznym. Materiału zaś do tych symboli dostarczyła mu przeszłość Izraela, najpierw wyidealizowana, a potem rzucona w przyszłość. Izraelici weszli kiedyś do Ziemi Obiecanej, w przyszłości Bóg ich tam jeszcze raz zaprowadzi, ale będzie to wydarzenie przerasta-

jące swym blaskiem owo pierwsze. Izraelici w swej przeszłości przeżyli blask Królestwa Dawidowego, w przyszłości to Królestwo będzie znowu wskrzeszone, ale jego chwała będzie jeszcze większa. Końcowe proctwo z Księgi Amosa zawiera właśnie te dwa symbole. Nie należy ich jednak brać dosłownie. To są przenieśnie, które chcą nam coś powiedzieć o wewnętrznych wymiarach dzieła zbawienia dokonanego przez Jezusa Chrystusa. Upadły szałas Dawida, przez Boga na powrót podniesiony, to założony przez Chrystusa Kościół. Edom i inne ludy połączone razem z Izraelem w jednym Królestwie to zapowiedź powszechności Kościoła; bogactwo płodów ziemi charakteryzujące nowe czasy to obraz obfitości darów Ducha Świętego, którego Bóg wyleje na wierzących. Najważniejsze jednak w tym wszystkim jest to, że ta chwalebna przyszłość zależeć będzie tylko od Boga: Odmienię [Ja] los ludu mojego. To On tego wszystkiego dokona. Zwróćmy uwagę, jak często Bóg występuje tu jako podmiot działający: Podniosę szałas upadły; naprawię jego szczeliny, podźwignę jego ruiny, odbuduję go; odmienię los mojego ludu; zasadzę ich na ziemi. Ta nowa faza zbawienia, jak i wszystkie poprzednie, jest wyłącznie dziełem Bożym, Jego darem, człowiek pełni w niej rolę obdarowanego. Św. Paweł pisząc do chrześcijan Efezu, którzy żyli w czasach, w których to proctwo się spełniło, tak im o tej darmości ich zbawienia przypomina: *Za darmo jesteście zbawieni. Nie pochodzi to od was, jest to dar Boga; nie na skutek naszych uczynków, aby się nikt nie chlubił* (por. Ef 2,8-9).

Wróćmy teraz do naszego punktu wyjścia. Szukajcie Boga a żyć będziecie. Tak, tylko pamiętajmy o tym, co nam mówią ostatnie słowa Księgi Amosa. To w rzeczywistości Bóg nas szuka; to On nam buduje dom, w który nas zaprasza. żebyśmy tylko dali się tam wprowadzić! Żebyśmy tylko my pozwolili się znaleźć! Dać się znaleźć oznacza konkretnie uznać, że nasze zabiegi, by zbudować sobie szczęśliwe życie, nie odniosły rezultatu, przeciwnie, dały nam w efekcie udrękę, smutek i lęki. Dać się znaleźć Bogu to przeżyć moment, w którym na gruzach naszych planów życiowych rodzi się w naszym sercu szczere wyznanie: „Tylko Ty, Boże, masz rację; tylko w Tobie jest życie; wejdź w moją egzystencję i pokieruj nią, jak się Tobie podoba”. Dać się znaleźć Bogu to uchwycić się Jego wyciągniętej do nas ręki; a tą wyciągniętą do nas ręką Ojca jest Jezus Chrystus zmartwychwstały, który ma moc przemienić nasze wnętrza, przywrócić nam pewność, że Bóg nas kocha, uczynić nas nowym stworzeniem, odrodzić do życia w zupełnie nowym

————— *Prorocy Starego Testamentu mówią do nas* —————

wymiarze. Dać się znaleźć Bogu to uwierzyć w moc zmartwychwstałego Chrystusa, w moc, którą On ma nad naszym życiem.

Oto nadejdą dni... Te dni już nadeszły. Królestwo Boże jest już wśród nas. Bóg szuka nas, by wprowadzić nas w nowe wymiary chrześcijaństwa, by pokazać nam jego moc, jego piękno, abyśmy tym wszystkim zaczęli żyć. Czy pozwolimy się odnaleźć?

*30 lipca 1978 r.*

## **Rozdział 4.**

### **EWANGELIA W DNIACH TRUDNYCH**

*Ja jestem światłością świata, kto idzie za Mną,  
nie będzie chodził w ciemności...  
(J 8,12).*

#### **Jezus i Jego ojczyzna pod okupacją.**

Niniejsze rozważanie rozpoczyna nowy cykl w naszych piątkowych audycjach wieczornych, cykl, który pragnie przyjść z pomocą tym wszystkim, którzy w obecnej sytuacji, w jakiej znajduje się Polska, czują się duchowo zagubieni i zdezorientowani. Z jednej strony chcieliby coś dla ojczyzny zrobić, nawet dużo zrobić, zaryzykować wolność i życie, o ile zajdzie tego potrzeba, z drugiej jednak strony nie chcieliby wejść w związek z tym w kolizję z własnym sumieniem, lub użyjmy innego słowa, z zasadami wiary, którą wyznają. Także w sytuacjach trudnych i wyjątkowych chcą być wierni Ewangelii. Tu jednak rodzi się pytanie: Co właściwie Ewangelia na ten temat mówi? Albo inaczej sformułowane: Gdyby Jezus Chrystus znalazł się teraz w tym położeniu, w jakim my się znajdujemy, do czego by nawoływał, jak by się sam zachował? To ostatnie pytanie winno być dla wszystkich chrześcijan bardzo ważne, powinni oni bowiem wiedzieć, że Bóg powołał ich w szeregi chrześcijan po to, by w nich żył i był obecny w historii ludzkiej aż do końca czasów Jezus Chrystus. Niewidzialny i nieogarniony Bóg objawił bowiem siebie samemu w Jezusie Chrystusie; Jezus Chrystus od swojego zmartwychwstania też niewidzialny i osobiście nieuchwytny pragnie objawiać siebie wszystkim ludziom, którzy Go nie znają, poprzez nas, chrześcijan, swoich uczniów, rozproszonych po całym świecie członków swojego świętego Kościoła. My wszyscy, którzy jesteśmy ochrzczeni, powinniśmy

być Jego Ducha, mieć te same zapatrywania co On, te same reakcje, te same odpowiedzi na fakty, z jakimi nas konfrontuje życie we wszystkich swoich aspektach. Inaczej nasze „bycie chrześcijaninem” jest farsą i komedią!

Ale przejdźmy do naszego tematu! Skoncentrujemy się dzisiaj na jednym zewnętrznym aspekcie zagadnienia. Palestyna, która była teatrem ziemskiej działalności Jezusa Chrystusa, znajdowała się w sytuacji politycznej dla Izraela ogromnie upokarzającej. Kraj żył pod ścisłą okupacją rzymską. Dla tych, którzy się jej bez sprzeciwów podporządkowali, nie była ona bez dużych korzyści materialnych. *Pax romana* przynosiła dla podbitych ludów wiele dobrodziejstw. Izrael czasów Jezusowych miał jednak wysokie poczucie swojej własnej godności wybranego ludu Bożego i swojego prawa do wolności. Dlatego okupacji rzymskiej, poza partią zwolenników Heroda tzw. herodianów, nikt wśród Żydów wtedy nie akceptował. Wszyscy chcieli się od niej uwolnić. Rozbieżność zdań dotyczyła tylko kwestii: Jak to zrobić? Saduceusze, do których należał kler jerozolimski, czekali biernie na lepsze czasy, w praktyce jednak łatwo ich było pozyskać dla rozmaitych form kompromisu. Stronnictwo faryzeuszów, gromadzące w swoich szeregach zamożny i pobożny patrycjat jerozolimski, świeckich uczonych w Piśmie i w Prawie, czekało na przyjście Mesjasza, który przywróci Palestynie niezawisłość, tymczasem zaś pracowało nad uratowaniem substancji religijnej narodu, jego tożsamości. Najradykalniejsze środki rozwiązania problemu proponowało stronnictwo zelotów. Niewolę rzymską należy według nich usunąć przemocą, wywołaniem zbrojnego powstania. Oczywiście zeloci zdawali sobie sprawę z braku jakichkolwiek szans powodzenia, dlatego oni także czekali na Mesjasza, któremu zapewni zwycięstwo sam Bóg. To czekanie nie powinno jednak być ich zdaniem bierne, trzeba Mesjaszowi ułatwić Jego bojowe zadanie, zgromadzić broń w tajemnych arsenałach, wyćwiczyć żołnierzy we władaniu bronią, szerzyć wszędzie nastroje powstańcze, rozpowszechniać aurę pogardy i nienawiści do Rzymian. Członkiem tego właśnie ugrupowania był prawdopodobnie ewangeliczny Barabasz.

Taka była sytuacja polityczna, w którą wszedł Jezus Chrystus, prawdziwy, przez Boga przysłany Mesjasz. Po czyjej stronie On stanie, jakiemu ugrupowaniu przyzna rację, komu udzieli swojego moralnego poparcia? Wszyscy dziś odczuwamy wagę i aktualność tego pytania. Odpowiedź na nie brzmi: Nikomu! Jezus wiedział, że Bóg wytyczył Mu



inną drogę, wyznaczył inną misję i temu posłannictwu był wierny aż do końca, aż do krzyża.

16 kwietnia 1982 r.

### **Oddajcie Cezarowi to, co należy do Cezara.**

Palestyna czasów Jezusa znajdowała się pod okupacją rzymską. Tego stanu nikt w Izraelu nie akceptował. Swoje nadzieje uwolnienia się z tej upokarzającej sytuacji wiązali Żydzi z osobą Mesjasza, wysłańca Bożego, który mocą udzieloną Mu z wysoka spełni wszystkie przepowiednie proroków, także tę, która mówiła, że Izraelowi zwrócona będzie świetność polityczna czasów Dawida, kiedy to naród wybrany miał państwo niezależne, z którym musieli się liczyć wszyscy naokoło. Mesjasz będzie musiał — takie było powszechne mniemanie — zająć jakieś stanowisko wobec problemów politycznych i społecznych Palestyny. Czyż Pisma zapowiadające Jego przyjście nie mówiły, że nie spocznie i nie zachwieje się, aż utwierdzi praworządność na ziemi, że na jego prawa czekają wyspy (por. Iz 42,4), tzn. najdalsze krańce ziemi, że przywróci on biedakowi sprawiedliwość, że uwolni on wszystkich pokrzywdzonych od przemocy i wyzysku / i powali na ziemię ciemność (por. Ps 72/71,12-14). Stary Testament jest pełen tego rodzaju wypowiedzi.

Na tym tle postępowanie Jezusa jest aż gorszące. Dla Niego te problemy jakby nie istniały, jakby Mu było obojętne, kto rządzi Palestyną. W Jego nauczaniu nie ma żadnych ukrytych aluzji do wielkich problemów narodowych Jego ludu, żadnych zaszyfrowanych wskazówek i instrukcji, jak uwolnić się od niewoli rzymskiej. Jezus mówi o sprawach Bożych, o miłości Boga do człowieka; o Jego współczuciu z naszym cierpieniem, o źródle tego cierpienia, którym jest grzech; o tym, że zbliża się moment, w którym dzięki Jego śmierci i zmartwychwstaniu grzech będzie odpuszczony. Jezus głosi, że już niedługo ci, którzy w Niego uwierzą i dadzą się ochrzcić w Jego imię, będą w stanie prowadzić zupełnie nowy typ życia, nacechowany miłością, która obejmie nawet nieprzyjaciela. Ewangelia Jezusa była zupełnie apolityczna, przynajmniej w tym sensie, w jakim politykę rozumieli współczesni Mu Żydzi i w jakim się ją normalnie po dziś dzień rozumie. Ponieważ tytuł Mesjasza był w Jego czasach naładowany treścią na

wskroś polityczną, Jezus unikał tego tytułu, zabraniał się tak nazywać. Zamiast tego wybrał sobie tajemniczy tytuł Syna Człowieczego, który nie obeznanemu z Pismem Świętym nic nie mówił, jednak dla tajemniczonego wiązał się z tajemniczą postacią Syna Człowieczego z proroctwa Daniela, która na obłoku zbliża się do tronu Boga, by od Niego otrzymać władzę powszechną, ale nie ziemską, królestwo powszechne, ale nie z tej ziemi (zob. Dn 7,13n).

Istnieje jednak w Ewangelii jedna scena, w której zmuszono Jezusa do ujawnienia swego stanowiska wobec okupacyjnej władzy rzymskiej. Było to kilka dni przed Jego śmiercią, kiedy to faryzeusze i saduceusze gorączkowo szukali pretekstu do wytoczenia Jezusowi procesu. Oto w obecności herodianów — ludzi z otoczenia Heroda służalczo nastawionych do Rzymian — stawiają Jezusowi pytanie, czy godzi się płacić podatki cesarzowi rzymskiemu. Pytanie diabelnie sprytne. Jeżeli Jezus odpowie, że nie, herodianie natychmiast doniosą o tym gdzie trzeba i Jezus stanie przed sądem jako burzyciel istniejącego porządku politycznego. Jeżeli odpowie, że tak, skompromituje się w oczach swoich słuchaczy i zwolenników. Bo to tak, jakby ktoś w czasie ostatniej wojny nawoływał do lojalności wobec niemieckiego okupanta. Wiemy, jak Jezus wybrnął z zastawionej na Niego pułapki. Kazał sobie podać monetę i zapytał: *Czyj wizerunek i napis jest na niej wyryty? Odpowiedzieli Mu: Cezara. A wtedy Jezus: Oddajcie, więc Cezarowi, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga* (por. Mt 22,15–22 i par.). To lapidarne powiedzenie bywa często rozumiane bardzo powierzchownie, tymczasem promieniuje ono potężnym światłem, dającym nam chrześcijanom orientację w zawiłych często problemach politycznych. Odpowiedź Jezusa można by tak sparafrazować: To, na czym widnieje wizerunek cesarza, należy się cesarzowi, to zaś, na czym Bóg wyrył swoją podobiznę, jest wyłączną własnością Boga. A na czym lub na kim wyrył Bóg swoją podobiznę? Na człowieku! Mówi Księga Rodzaju: *Stworzmy człowieka na obraz nasz i podobieństwo* (Rdz 1,26). Człowiek więc — jego umysł, jego wola, jego serce, jego sumienie — należą do Boga, są Jego niezbywalną własnością. Nie wolno ich odstępować i sprzedawać żadnemu cesarzowi na tej ziemi, kimkolwiek by on był. Sens odpowiedzi Jezusa jest więc następujący: Jeżeli cesarz, czyli jakakolwiek władza polityczna ziemską, respektuje w praktyce tę własność Boga, nie usiłuje stać się panem ludzkiego sumienia, panem myśli człowieka i jego serca, można, owszem, trzeba mu płacić podatki, czyli go nad sobą uznawać. Jeżeli jednak władza polityczna sięga po rząd dusz i sumień, należy jej powiedzieć twarde

i zdecydowane: Nie! Ale owo „nie”, jeżeli ma być w duchu Jezusa Chrystusa, nigdy nie przybiera formy zewnętrznego buntu czy przemocy, jako odpowiedzi na przemoc. Przykładem takiej postawy mogą być pierwsi chrześcijanie. Byli oni najprzykładniejszymi obywatelami Cesarstwa Rzymskiego, ale gdy cesarz żądał od nich dla siebie kultu bożego, odpowiadali: Nie — i szli na męczeństwo, modląc się za swoich prześladowców.

23 kwietnia 1982 r.

### **Jezus nie popiera żadnego systemu politycznego.**

Oddajcie, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co Bożego, Bogu. W ubiegły piątek zastanawialiśmy się nad tym powiedzeniem Jezusa i widzieliśmy, że najważniejsza jest druga jego część: Bogu należy oddać to, co jest własnością Boga, a własnością Boga jest człowiek, jego serce i jego sumienie. Jeżeli władza polityczna nie sięga po tę własność Boga, jest ona dla chrześcijanina w pewnym sensie obojętna. Jezus w tym zdaniu relatywizuje jakąkolwiek władzę polityczną, odbiera jej to centralne znaczenie, które lubi sobie ona przypisywać i które my jej często przyznajemy. Dla chrześcijanina osobą centralną może być tylko Bóg; jeżeli cesarz nie zamierza zabierać tego miejsca dla siebie, można go tolerować. W istocie Jezus poucza nas, że chrześcijaninem można być wszędzie, pod każdym niebem, pod każdą władzą, w każdym ustroju.

Skąd płynie ta obojętność Jezusa wobec problemu, kto sprawuje nad nami władzę? Ze świadomości, że nie ma niestety na tej ziemi władzy, która byłaby bez grzechu, że nie ma na tej ziemi dobrych systemów i ustrojów politycznych. Istnieją tylko systemy złe, gorsze i jeszcze gorsze. To nie jest pesymizm, to jest trzeźwe i realistyczne patrzenie na to, co się na tym świecie dzieje. Nasza współczesna historia dostarcza na to wiele dowodów. Dlaczego tak jest? Bo wszystkie ustroje społeczne i polityczne są dziełem człowieka, a o człowieku, każdym człowieku, Objawienie Boże mówi, że rodzi się w grzechu, że grzech rzuca swój cień i swoją truciznę na wszystkie jego poczynania. *I zobaczył Bóg, że wielka była przewrotność człowieka na ziemi i że cokolwiek jego serce wymyśliło i zaplanowało, było zawsze tylko złe* (por. Rdz 6,5). W tym zdaniu wyjętym

z Księgi Rodzaju zawiera się to, co Bóg o człowieku sądzi, opinia Boga o nas. A że jest to opinia nie byle kogo, tylko Boga, mówi ona najgłębszą prawdę o człowieku. Zatrzymajmy się chwilę nad tym punktem, bo jest on bardzo ważny. Skąd wzięła się w człowieku ta przewrotność? Bóg nie stworzył człowieka złym, ale stworzył go wolnym. Bóg zaplanował nas z miłości, z miłości powołał człowieka do istnienia, szczęście człowieka płynęło ze świadomości, że jest kochany przez Boga i że tego szczęścia nikt i nic mu nie zabierze, nawet śmierć. Biblijny raj jest niczym innym, jak tylko symbolem tej właśnie sytuacji. Godność jednak człowieka, płynąca z jego wolności, domagała się próby i Bóg ją dopuścił. Opisana ona została w Piśmie Świętym znowu w symbolach. Przypomnijmy sobie dialog pierwszej niewiasty, Ewy, z wężem. Dlaczego nie wolno wam spożywać z owoców drzewa? — Bo umrzemy! — To nieprawda! Ale Bóg wie, że kiedy z niego spożyjecie, otworzą wam się oczy i staniecie się jako bogowie znając dobro i zło (por. Rdz 3,1-5). Jeżeli więc wierzyć szatanowi, którego symbolem jest tu wąż, to Bóg okłamał człowieka, ukrył przed nim coś ważnego, zamknął przed nim możliwość dalszego rozwoju aż do wymiarów bóstwa. Czy takiego Boga można nazwać Miłością? Z pewnością nie! Zerwanie owocu i jego spożycie oznacza, że człowiek w to uwierzył, a jeżeli uwierzył, to Bóg przestał być jego oparciem, jego zabezpieczeniem, sensem i pełnią jego życia. Od tego momentu jesteśmy wszyscy egoistami szukającymi rozpaczliwie życia i szczęścia, gdzie się da: w pieniądzach, prestiżu, ludzkim uznaniu, górowaniu nad innymi, miłości innych ludzi itd. Nie jest to oczywiście złe, ale dramat leży w tym, że wszystko absolutyzujemy, żądamy od świata tego, co może nam dać jedynie sam Bóg. Gdy ktoś nam to zabiera, to nie znając innych źródeł szczęścia, bronimy się zajadle i do upadłego. Oto dlaczego skaczemy sobie nawzajem do oczu, ustawicznie mamy o coś do drugiego pretensje, pragniemy, żeby nasz bliźni ugiął się przed naszymi życzeniami itp. Taki jest każdy człowiek i taki człowiek jest twórcą ustrojów politycznych i społecznych. Dzieło będzie zawsze takie, jaki jest jego twórca. Najszlachetniejsze w teorii, a czasem może nawet w swoich początkach, systemy ustrojowe zawsze będą przez ludzi z biegiem czasu wypaczone i staną się robaczywe. Oto dlaczego Jezus Chrystus mimo rozmaitych prowokacji nigdy nie dał się ponieść gorączce działalności politycznej. Obalić jeden porządek publiczny po to, by ustanawiać na jego miejsce inny, który wnet będzie tak samo zły albo gorszy? Nie! Nie po to posłał Go Bóg na ziemię. Jezus wiedział, że Jego misją daną Mu przez Ojca jest usunąć zło w jego korzeniach,

naprawić serce człowieka. Taka była polityka Jezusa Chrystusa i jej realizacji całkowicie się poświęcił.

30 kwietnia 1982 r.

### **Korzenie niesprawiedliwości politycznej i społecznej tkwią w sercu człowieka.**

W naszych piątkowych audycjach wieczornych zastanawialiśmy się do tej pory nad stanowiskiem Jezusa względem współczesnych Mu problemów politycznych i społecznych Palestyny. Uważny słuchacz mógł zauważyć, że te sprawy na pozór niewiele Jezusa obchodziły. Nie wypowiadał się na ich temat, nie dawał sam się wciągnąć w wir jakiegokolwiek działalności politycznej. Ta postawa nie płynęła jednak z lekceważenia czy pogardy dla polityki. Należy ona przecież do ważnych składników ludzkiego życia, a nic z tego, co wiąże się z człowiekiem, co wynika z jego istotnych potrzeb, nie może być obce Bogu, który objawił się nam jako największy miłośnik człowieka. Czy Bóg nie widział, ile zła wyrządza ludziom tyrania i dyktatura władców, dbających jedynie o to, by pozostać przy władzy i móc dzięki niej żyć ponad wszelkim prawem i we wszelkich możliwych zbytkach? Czy Bóg nie widział, jak wielkim złem dla ludzi, jakim deptaniem ich godności był na przykład ustrój niewolniczy, powszechnie akceptowany właśnie wtedy, gdy wśród nas pojawił się Jezus Chrystus? Syn Boży, który stał się człowiekiem, by zbawić ludzkość, nie mógł być na to wszystko obojętny. Jezus Chrystus w rzeczywistości uprawiał politykę, i to jeszcze jak głęboką! Przypatrz się jej z bliska!

Wyjść należy od stwierdzenia, że Jezus Chrystus, jako Bóg, znał najgłębiej człowieka i wiedział, skąd biorą się złe i niesprawiedliwe struktury społeczne i polityczne. Rodzą się one w sercu człowieka, który — jak o tym mówiliśmy poprzednio — zerwał swoją więź z Bogiem i odtąd musi szukać życia i szczęścia gdzie indziej: w prestiżu, we władzy, w bogactwie, w karierze itd. Odtąd człowiek jest egoistą i musi sobie za wszelką cenę, również za cenę grzechu, zagwarantować dostęp do tych nowych źródeł swojego szczęścia. Dlatego to mówi Jezus: *Z wnętrza, tzn. z serca człowieczego, wypływają złe intencje, lubieżności,*

*złodziejstwa, zabójstwa, cudzołóstwa, pożądania, przewrotność, oszustwa, bezwstyd, zazdrość, oszczerstwa, wyniosłość, głupota* (por. Mk 7,21 n). Z tego wiecznie czynnego wulkanu we wnętrzu człowieka wynikają te wszystkie moralne trzęsienia ziemi, które w postaci wojen, rozmaitych rewolucji, dyktatur i totalitarnych lub na wyzysk na-stawionych ustrojów są plagą ludzkości od początków jej istnienia aż po dziś dzień. Polityką Jezusa było dotrzeć do tego korzenia zła i uleczyć go. Jak On to robił?

W tym punkcie otwiera się przed nami nowe, szerokie pole do rozważań, którym będziemy musieli poświęcić kilka naszych dalszych audycji.

Chore ludzkie serce miało być najpierw w strategii Jezusa oświecone światłem Bożego słowa, światłem Jego Ewangelii. Dzięki niej ludzkość ma zobaczyć, że jej mądrość, jej praktyczne zasady postępowania są drogą donikąd. Dla nas wszystkich np. czymś normalnym, owszem, obowiązkowym, jest miłować tych, którzy nam wyświadczyli rozmaite przysługi, są nam użyteczni, wydają się nam sympatyczni, zgadzają się z naszymi poglądami; tych jednak, którzy nam się przeciwstawiają, szkodzą nam, obrażają nas, wyrządzają nam jakiegokolwiek inne zło, należy eliminować, usuwać z naszego pola widzenia lub, jeśli to niemożliwe, nauczyć rozumu także gwałtownymi środkami. Tacy ludzie sami zwolnili nas z obowiązku miłości względem nich. *Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz kochał swojego bliźniego, natomiast swojego przeciwnika możesz nienawidzić* (por. Mt 5,43). Te słowa Jezusa z Kazania na Górze odzwierciedlają dokładnie nasze codzienne myślenie, tym się naprawdę na co dzień kierujemy. A co Jezus na to? *A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszych prześladowców, abyście się stali dziećmi waszego Ojca w niebie, który każe swojemu słońcu świecić nad złymi i nad dobrymi, i zsyła deszcz na sprawiedliwych i na przewrotnych. Bo jeżeli wy kochacie tylko tych, którzy was kochają, jaką macie za to zasługę? Czyż tak samo nie postępują także i grzesznicy? Jeżeli pozdrawiacie tylko waszych braci, co jest w tym nadzwyczajnego? Czyż tak samo nie postępują także i poganie? Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonałym jest wasz Ojciec w niebie* (por. Mt 5,44-48). Oto mamy pierwsze mocne uderzenie Jezusa w naszą utartą filozofię życiową. Te słowa przynoszą możliwość nowego życia dla całej ludzkości, ale dla nas, chrześcijan, są one tym, co stanowi o różnicy między nami i wszystkimi innymi filozofiami, jakie ludzie wymyślili. Jeżeli te słowa nie znajdują odzwierciedlenia w naszym życiu, różnimy się od niechrześcijan tylko chodzeniem do kościoła. Ale czy to wystarczy?

### **Prawdziwa miłość jest służbą innym.**

Jezus Chrystus na pozór stronił od wszelkiej polityki, w rzeczywistości jednak uprawiał politykę i to bardzo głęboką. Jej celem bowiem było zniszczyć źródło, z którego biorą się wszystkie niesprawiedliwe i niszczące człowieka ustroje polityczne i społeczne. Tym źródłem jest serce człowieka oderwane od Boga, szukające swego szczęścia poza Nim. Jezus zaczął swoje dzieło leczenia człowieka od głoszenia mu swojej Ewangelii. W jej świetle mieliśmy zobaczyć, jak złe są nasze drogi, jak daleko odbiegamy na co dzień od prawdy i że droga do naszego szczęścia indywidualnego i społecznego polega zupełnie na czymś innym. Najbardziej szokującym przykazaniem w Ewangelii Jezusa jest miłość do nieprzyjaciół, o której zaczęliśmy mówić w naszej audycji w piątek dwa tygodnie temu. *Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszych prześladowców... Bo jeżeli wy kochacie tylko tych, którzy was kochają, ...cóż jest w tym nadzwyczajnego? Czyż tak samo nie postępują także i poganie?* (por. Mt 5,44-48). Zastanówmy się chwilę nad tymi słowami. Każda inna miłość — miłość małżonków, narzeczonych, przyjaciół, miłość rodziców do swych dzieci — wszystkie te miłości są czymś zwyczajnym, dostępnym wszystkim ludziom. One nas nie wyróżniają jako chrześcijan od reszty świata. To, co nas powinno wyróżniać, co jest nadzwyczajne, nieobecne na świecie, to miłość do nieprzyjaciół. Bez tego nie ma chrześcijaństwa, bez tego przykazania chrześcijaństwo przestaje być tym, czym chciał je widzieć Chrystus; ono traci swoje kontury i zamienia się w pospolitą religijność, na jednej płaszczyźnie z islamem, buddyzmem czy jakąkolwiek inną religią.

Jezus dał to do zrozumienia w czasie Ostatniej Wieczerzy, kiedy to po raz ostatni spożywał ze swoimi apostołami żydowską ucztę paschalną. Do jej rytów należało umycie rąk. Miednicę i ręcznik powinien podać ktoś najniższy rangą wśród uczestników uczyty. Zazwyczaj czyniło to najmłodsze dziecko albo jakiś sługa lub niewolnik. Być może wśród apostołów nikt nie kwapił się do tej pokornej posługi. Już od dawna ulubionym tematem rozmów i dyskusji w ich gronie była kwestia, komu z nich należy się pierwsze miejsce, który z nich jest ważniejszy. Nikt z nich na pewno nie uważał się za najniższego rangą, zobowiązanego do

podania w tym momencie miski i ręcznika. To prawdopodobnie w takim właśnie kontekście podnosi się Jezus, bierze miednicę, przepasuje się ręcznikiem i zaczyna po kolei myć apostołom nie ręce, ale nogi. Zatrzymajmy się chwilę nad tym gestem. Jezus wykonuje czynność niewolnika. W stosunku do kogo? Swoich apostołów! Ale co to są za ludzie? Za parę godzin wszyscy okażą się niewarci Jego miłości. Przy aresztowaniu Jezusa wszyscy pouciekają, Piotr pod przysięgą będzie się wypierał wszelkiej z Nim znajomości, a Judasz pocałunkiem wyda Go na śmierć. Jezus wie o tym wszystkim, a mimo to klęka przed nimi i umywa im nogi. Ten gest jest uzewnętrznieniem Jego miłości, tej miłości, która nie szuka swego, jest pokorna, zajmuje ostatnie miejsce, rezygnuje ze swoich słusznych praw, daje się zdradzić, wydać w ręce oprawców, ukrzyżować i mimo to dalej kocha.

Gest mycia nóg jest uzewnętrznieniem miłości do nieprzyjaciół. Jezus myje nogi Judaszowi. Piotr, kiedy na niego przysła kolej, jest tak wzburzony faktem, iż Jezus, jego Mistrz, Mesjasz, klęczy u jego stóp, że zgorszony woła: *Panie, Ty chcesz mi umyć nogi?...Nie, nigdy mi nie będziesz nóg umywał!* (por. J 13,6–7). Piotr uważa taką miłość, którą Jezus w tej chwili demonstrowa, za wariacką, przesadzoną. On się przed nią broni, nie chce jej zaakceptować, nie chce być taką miłością kochany i nie chce taką miłością kochać. A na to mu Jezus odpowiada: *Jeśli cię nie umyję, nie będziesz miał udziału ze Mną* (J 13,8). Bardzo ostre słowa! Można by je tak sparafrazować: Jeżeli odrzucasz tę miłość, Piotrze, to nie mamy ze sobą nic wspólnego! Nie możesz siebie uważać za mojego ucznia, nie jesteś chrześcijaninem! Jeżeli to imię nosisz, nadużywasz go.

W tym miejscu nie można się bronić mówiąc: Jezus, jako Bóg potrafił tak kochać, ale my, zwyczajni ludzie, musimy się kierować innymi, bardziej realistycznymi zasadami. Tak, owszem, mogą mówić niewierzący, ale my, ludzie ochrzczeni, uczniowie Jezusa, w żadnym przypadku! Bo do nas odnosi się to, co Jezus powiedział dalej: *Czy rozumiecie, co wam uczyniłem? Wy mnie nazywacie „Nauczycielem” i „Panem” i dobrze mówicie, bo nim jestem. Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wyście powinni sobie nawzajem umywać nogi. Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem* (J 13,12–15).

21 maja 1982 r.



## **Nie stawiajcie oporu złemu.**

Szokującą zasadą polityki Jezusa Chrystusa, Jego receptą na lepszy świat, na lepsze ustroje polityczne i społeczne jest miłość do nieprzyjaciół. To przykazanie, które jest sercem religii Chrystusa, posiada w Ewangelii jeszcze inne sformułowanie, bardziej pikantne, bardziej gorszące, bardziej wzbudzające nasz sprzeciw. W Kazaniu na Górze Jezus mówi: *Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb. A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz. Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące. Daj temu, kto cię prosi, i nie odwracaj się od tego, kto chce pożyczyć od ciebie (Mt 5,38-42).*

Nie opierajcie się złu. Jak to rozumieć? Czyż nie mówiono nam, że pierwszym obowiązkiem chrześcijanina jest postępowanie odwrotne: opieranie się złu?! Jasne: złu, czyli grzechowi, pokusie do grzechu trzeba się zawsze przeciwstawiać. Nie wolno się także zgadzać na żadną formę zła w naszym otoczeniu, w życiu publicznym, w życiu społecznym, politycznym itd. Problemem jest tylko forma, w jakiej należy się złu przeciwstawiać. Na świecie normalnie praktykowana jest ta forma opierania się złu, którą Księga Rodzaju wkłada w usta Lamecha, jednego ze starożytnych praojców ludzkości. Lamech powiedział do swoich żon: *Ada i Syla, posłuchajcie mego głosu, żony Lamecha, nastawcie ucha na to, co powiem: Zabiłem człowieka za to, że mnie zranił, młodzieńca za to, że mi nabił sińca. Siedem razy będzie pomszczony Kain, ale Lamech siedemdziesiąt siedem razy (por. Rdz 4,23-24).* Ta okrutna zasada jest do dziś dnia dosyć szeroko stosowana. Myślę, że każdy z nas przypomni sobie łatwo sytuację, w których chętnie sam robił z niej użytek. Gdy ktoś nas krzywdzi, obraża, zabiera to, co nasze, o ile tylko możemy, opieramy się złu, żądamy zwrotu tego, co nasze, ale nie tylko, czekamy na moment, kiedy naszemu krzywdzicielowi powinie się noga, odpłacamy mu się tą samą monetą i dajemy mu jeszcze coś na dokładkę, żeby sobie popamiętał, żeby się nauczył, żeby na przyszłość wiedział, że nie można nas tykać.

Pismo Święte Starego Testamentu jest już dużym krokiem naprzód, gdy łagodzi tę zasadę, mówiąc: Oko za oko, ząb za ząb, ...rana za ranę, siniec za siniec (Wj 21,24n). Za jedno oko wystarczy jedno oko, za jeden ząb wystarczy wybić przeciwnikowi jeden ząb, a nie dziesięć, jak tego pragnie Lamech żyjący w każdym z nas. Ta złagodzona forma

odpłaty za doznaną krzywdę też jednak należy jeszcze do sposobów przeciwstawiania się złu szeroko praktykowanych na świecie, ale dalekich od chrześcijaństwa. W Starym Testamencie była ona ustępstwem Boga, który wiedział, że do czegoś więcej człowiek bez Chrystusa nie jest zdolny. Jezusowy sposób zwalczania zła jest zupełnie inny. Określa go właśnie paradoksalne powiedzenie: *Nie przeciwstawiajcie się złu!* (por. Mt 5,39). To znaczy: gdy spada na ciebie krzywda, gdy deptane są twoje prawa, nie broń twego szczęścia odpowiadając gwałtem na gwałt, przemocą na przemoc, złem za zło, ale raczej umieraj sobie, pozwól się krzyżować, tak jak Jezus nie bronił swego świętego prawa do życia, ale dał się ukrzyżować. Aż do tego stopnia posuń swoją miłość do nieprzyjaciół!

W tym jednak miejscu należy wypowiedzieć jedno „ale”, które odąd często będziemy musieli sobie przypominać. Etyka Jezusowa nie jest przykrojona na miarę naszej ludzkiej mentalności ani na miarę naszych ludzkich sił. Ona zakłada zaistnienie w człowieku pewnej bardzo wielkiej i radykalnej przemiany. Żeby móc nie opierać się złu, należy najpierw jeszcze raz się urodzić, urodzić z Ducha Świętego, trzeba jeszcze raz być stworzonym przez Boga, trzeba naprawdę zmartwychwstać z Jezusem do zupełnie nowego życia, życia wiecznego. To wszystko dzieje się wprawdzie z nami w chrzcie, ale ten sakrament małemu dziecku, gdy jest chrzczone, daje tę rzeczywistość dopiero w embrionie. Ten embrion musi się rozwinąć w naszym życiu dojrzałym. Dopiero gdy ten rozwój zaistnieje, pojawia się w nas — nie naszą mocą, ale mocą Boga — otwartość na miłość do nieprzyjaciół i zdolność praktykowania jej.

4 czerwca 1982 r.

## **Nadstaw drugi policzek.**

Jednym z szokujących sformułowań, w którym Jezus Chrystus zawarł całą oryginalność swojej Ewangelii i chrześcijaństwa, jest ten fragment z Kazania na Górze, który mówi: *Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb. A Ja wam powiadam: Nie opierajcie się złu* (por. Mt 5,30–39). Jezus wiedział, że to zdanie będzie jakby włożeniem kija w mrowisko, że

wywoła niezrozumienie i sprzeciw. Jedni w swojej głupocie wezmą je jako zachętę do nieopierania się pokusie, drudzy zrobią wszystko, by stępić jego ostrze, jeszcze inni — i tych jest większość — wzruszą ramionami nad nim, zignorują je i będą sobie dalej spokojnie żyć, praktykując chrześcijaństwo nie to Jezusowe, ale jakieś inne, swoje własne, skrojone na miarę swojej przeciętności i swojego tzw. zdrowego rozsądku. Jezus wiedział, że tak będzie, dlatego dodał do tej zasady swoje objaśnienie w postaci czterech przykładów, które ją ilustrują.

*Jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi (Mt 5,39).* To znaczy, jeśli ktoś depta największe i najświętsze twoje dobro, twój honor osobisty, nie reaguj tak, jak reagują wszyscy — rozlewem krwi, kalumnią, wytoczeniem procesu itd. — ale odpowiedz miłością, która pozwoli twemu przeciwnikowi zrozumieć, iż tak pragniesz jego dobra, że gotów jesteś poświęcić dla niego drugi twój policzek, to znaczy narazić na szwank dalszą swoją reputację. Jezus w czasie swego przesłuchania u Annasza został uderzony w policzek. Odpowiedział: *Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, to dlaczego Mnie bijesz? (J 18,23).* Z tego zdania przebija miłość Jezusa do swego wroga, który powinien wiedzieć, że źle czyni. Jakże łatwo po takiej uwadze dostać było można drugi policzek!

Drugi przykład: *Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstap i płaszcz (Mt 5,40).* To znaczy, gdy ktoś nadużywa prawa i drogą rozprawy sądowej chce ci wydrzeć to, co jest twoje, nie broń swego, daj twemu przeciwnikowi to, czego żąda i jeszcze coś na dokładkę.

Trzeci przykład: *Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące (Mt 5,41).* Prawo żydowskie zabraniało nakładać na barki robotników fizycznych zbyt wielkie ciężary i zmuszać do przenoszenia ich ponad tysiąc kroków. Na tym tle tak można by sparafrazować zdanie Jezusa: Jeśli ktoś wymaga od ciebie rzeczy, do których nie ma żadnego prawa, ustap, zrób to, a nawet więcej jeszcze, niż od ciebie żąda.

I ostatni przykład: *Daj temu, kto cię prosi, i nie odwracaj się od tego, kto chce pożyczyć od ciebie (Mt 5,41).* Ewangelia Łukasza wyraża się tu jaśniej: Daj każdemu, kto cię prosi, a nie dopominaj się zwrotu od tego, który bierze twoje... *Jeżeli pożyczek udzielacie tym, od których spodziewacie się zwrotu, cóż w tym nadzwyczajnego!?* (por. Łk 6,30.34). Innymi słowy, jeśli

ktoś zabiera ci twoje dobra materialne, nie broń się, pozwól się ich pozbawić.

Wszystkie te cztery przypadki mają jeden wspólny mianownik — rezygnacja z naszych słusznych praw lub — jak to się potocznie mówi — niedochodzenie swego. Innymi słowy, Jezus zaleca swoim wyznawcom umieranie sobie z miłości do wroga.

Wszyscy w tym momencie odczuwamy, że tak zinterpretowana zasada nieopierania się złu wywołuje w nas niezrozumienie, a może nawet zgorzsenie i oburzenie. Czyż nie jest to absurdem, a nawet popieraniem zła i bezprawia? W każdym bądź razie w świecie nikt tego nie zachowuje. Wszyscy praktykują co innego, nieustępliwość tam, gdzie jest nasza racja, bronienie swoich słusznych praw, jeżeli trzeba, to i przemocą.

Dobrze, jeżeli uświadomimy sobie, że sprawiedliwość świata i sprawiedliwość Jezusa są sobie zupełnie przeciwstawne. Ale jest również niesłuchanie ważne, byśmy zdali sobie sprawę z tego, dokąd prowadzi sprawiedliwość świata. Ludzi o złej woli jest niedużo. Wszyscy mają dobrą wolę, wszyscy są przekonani, że mają rację i tylko o uznanie tej racji walczą ze swoim otoczeniem. I jaki jest tego efekt? Ten, że ludzkość stoi dziś u progu wojny atomowej, która może się stać naszym zbiorowym samobójstwem. Ratunkiem przed tą perspektywą jest krzyż, na którym umiera Jezus, bo tak nas ukochał, że nie przeciwstawił się złu, nie bronił swego prawa do życia. Z tej miłości wszyscy korzystamy, ona jest dla nas źródłem nowego życia i nowej nadziei. Taka miłość niczego nie rujnuje; to dopiero ona jest w stanie stworzyć nową cywilizację, cywilizację miłości. Ale na to taka sama miłość musi być w nas.

*18 czerwca 1982 r.*

## **Jezus albo Barabasz — dramat wyboru.**

Jezus Chrystus ze swoim przykazaniem miłości do nieprzyjaciół oraz z zasadą nieopierania się złu stanął na antypodach tej sprawiedliwości, która w świecie jest powszechnie stosowana. Sprawiedliwość świata

wymaga, by na przemoc odpowiedzieć przemocą, na krzywdę odwetem. Wroga można nienawidzić, należy go wyeliminować, dać mu porządną nauczkę, trzeba się przed nim bronić. Duch Jezusowy jest odwrotnością tego wszystkiego.

To przeciwstawienie tych dwóch typów sprawiedliwości znalazło swój dramatyczny wyraz w pewnej ważnej sekwencji procesu Jezusa. Piłat przekonany o niewinności Jezusa, ale jednocześnie nie wiedząc, jak wybrnąć z tej niewygodnej dla siebie sytuacji, postanowił skorzystać ze zwyczaju amnestii udzielanej jakiemś jednemu więźniowi z okazji święta Paschy. O tym, jaki więzień wyjdzie na wolność, decydował lud. Piłat zaproponował Żydom dwóch kandydatów: Jezusa i Barabasa. Ten ostatni nie był pierwszym lepszym pospolitym mordercą. Bardzo wielu biblistów jest dziś zdania, że ów znaczny więzień, jak go określa ewangelista Mateusz (zob. Mt 27,16), należał do skrajnego stronnictwa zelotów, może nawet był jednym z jego przywódców. Zeloci zaś, to najbardziej na całego idący patrioci i nacjonaliści żydowski tamtych czasów, odznaczający się nieprzejednanym stanowiskiem wobec okupantów rzymskich, panowaniu których nad Izraelem należy położyć kres przemocą, akcją podjazdową, wywołaniem zbrojnego powstania, organizowaniem zamieszek ulicznych. Typowa sprawiedliwość świata ucieleśniona w Barabaszu! Toteż człowiek ten, który w ramach jakiejś akcji sabotażowej zabił jakiegoś Rzymianina lub osobę sympatyzującą z Rzymem, wcale nie był za to piętnowany przez opinię społeczną, wprost przeciwnie, uchodził w oczach wielu za bohatera.

W Jezusie jest ucieleśniona zupełnie inna mentalność. On nie tylko uczy, że wroga należy kochać tak jak brata i że nie trzeba się opierać niesprawiedliwości, którą on wyrządza; Jezus za chwilę zademonstruje to wszystko w swoim własnym ciele. Gdy Żydzi przyjdą Go aresztować, Piotr będzie chciał Go bronić mieczem. *Schowaj miecz swój do pochwy, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną* — odpowie mu Jezus (Mt 26,52). Całe zaś Jego zachowanie się w czasie męki, najlepiej oddają prorocze słowa z Księgi Izajasza: *Nękany, pozwoił się upokorzyć i nie otworzył ust. Jak baranek prowadzony na rzeź, jak owca niema wobec tych, którzy ją strzygą, nie otworzył ust* (por. Iz 53,7). Na krzyżu, otoczony swymi wrogami, którzy się z Niego śmieją i naigrawają, Jezus nie przeklina ich, nie ciska na nich gromów potępienia, ale modli się: *Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią* (Łk 23,34).

Barabasz i Jezus — dwa zupełnie przeciwstawne rodzaje sprawiedliwości! Kogo wybieracie? Tłum woła — *Wypuść nam Barabasz!* (por. Łk 23,18). Dziwne? Wcale nie! Świat wyczuł w Barabaszu identyczność myśli, tę samą logikę życiową, tego samego ducha. Wybierając go, świat po prostu upomniał się o to, co swoje.

A teraz pomyślmy: Gdybyśmy my stali tam przed trybunałem Piłata i gdyby od nas uzależniono życie lub śmierć Jezusa kogo byśmy wybrali? Barabasza czy Jezusa? Każdy z nas myśli w tej chwili: Ja bym wybrał bez wahania Jezusa!

To nie było tylko pytanie retoryczne. W rzeczywistości każdego dnia dokonujemy i my także tego wyboru, i wybieramy, niestety, też Barabasza. Robisz to na przykład, gdy w stosunku do twojego męża stosujesz przemoc psychiczną, nie rozmawiając z nim przez kilka dni. Dzieje się to także, gdy rodzice swoimi łzami i okazywaniem, jacy to oni są nie-szczęśliwi, wymuszają na swych dzieciach taki wybór kierunku studiów, którego one same nigdy by nie wybrały. Odrzucenie Jezusa ma miejsce ilekroć jesteście twardzi, nieustępliwi, ilekroć przez jakiś subtelny, wyrafinowany szantaż naginamy drugiego do podporządkowania się naszej woli. Wybór przeciw Chrystusowi dokonuje się tam, gdzie w życiu politycznym i społecznym głosi się i realizuje walkę klas, stosowanie przemocy, bronienie swoich praw przemocą. Za każdym razem, gdy myślimy w takich kategoriach lub wybieramy taką drogę działania, kłania się nam Barabasz i dziękuje za swoje uwolnienie.

25 czerwca 1982 r.

## **W Chrystusie wszyscy jesteśmy wolni.**

Chrystusowe przykazanie miłości do nieprzyjaciół oraz Jego polecenie z Kazania na Górze, by nie przeciwstawiać się złu, wydają się na pierwszy rzut oka rozwiązaniami szkodliwymi. Jeżeli ten, kto nas krzywdzi, ma być przez nas kochany, a zło, które on nam wyrządza, powinniśmy brać na siebie nie broniąc się przed nim, czyż to nie zwiększy jeszcze zuchwałości naszego wroga? Czyż zło jeszcze więcej się przez to nie rozpanoszy? A poza tym — czy ta etyka jest w ogóle do zrealizowania? Czy ona jest na ludzkie siły i możliwości?

Pierwsze wieki chrześcijaństwa dają nam bardzo wiele przykładów miłości do nieprzyjaciół i nieopierania się złu. Przyjrzyjmy się z bliska jednemu z nich. Terenem, na którym narodziła się i rozwijała religia Chrystusa, było Cesarstwo Rzymskie, które narzuciło swoje panowanie całemu ówczesnemu cywilizowanemu światu. Pierwsze narody chrześcijańskie żyły więc w niesprawiedliwym ustroju politycznym, pozabawione wolności musiały znosić dyktaturę Rzymu. Ustrój społeczny ówczesnego świata był jeszcze gorszy. Był to ustrój niewolniczy. Nieliczni ludzie wolni byli absolutnymi panami życia i śmierci olbrzymiej rzeszy swoich niewolników, traktowanych nie jak osoby, ale jak rzeczy. Gdyby coś podobnego istniało dzisiaj, czulibyśmy się w obowiązku uświadamiać niewolnikom ich święte prawa, zachęcać ich do oporu i zbuntowania się przeciw jaskrawej krzywdzie i niesprawiedliwości. Kościół pierwotny natomiast mówił niewolnikom, zwłaszcza tym, którzy nawrócili się na chrześcijaństwo, zupełnie co innego. Posłuchajmy fragmentu z Listu św. Piotra: *Niewolnicy! Z całą bojaźnią bądźcie poddani panom nie tylko dobrym i łagodnym, ale również surowym* (1 P 2,18). Podobnie św. Paweł: *Niewolnicy, bądźcie we wszystkim posłuszni doczesnym panom, nie służąc tylko dla oka, jak gdybyście się mieli ludziom przypodobać, lecz w szczerości serca, bojąc się Pana* (Kol 3,22; por. Ef 6,5n). W Kościołach założonych przez Pawła zdarzały się przypadki, że bogatsi członkowie wspólnoty zbierali składki, by wykupić tych niewolników, którzy przez przyjęcie chrztu stali się ich braćmi w wierze. Niewolnikom ogromnie się ta akcja podobała, przyspieszając prawdopodobnie nawrócenia w ich szeregach. Paweł, gdy się o tym dowiedział, zaprotestował. Każdy niech pozostanie w takim stanie, w jakim został powołany — pisze do Koryntian. — *Zostałeś powołany do wiary jako niewolnik? Nie martw się! Nawet gdybyś miał okazję stać się wolnym, skorzystaj raczej z twego niewolnictwa [pozostając w tym stanie]* (por. 1 Kor 7,20n).

Skąd płynie to reakcyjne stanowisko Pawła i w ogóle całego pierwotnego Kościoła? Dziś słyszy się często odpowiedź, że to wynika z małej wrażliwości społecznej tamtych czasów. W naszych czasach Paweł głosiłby na pewno co innego. To nieprawda! Paweł i inni apostołowie przepowiadaliby i dziś, ku wielkiemu naszemu zgorzeniu, to samo. Dlaczego? Bo wiecznie aktualne są motywy, dla których właśnie taką, a nie inną etykę społeczną głosili. *Albowiem ten, kto został powołany w Panu jako niewolnik, jest wyzwoleniec Pana, ten, kto został powołany jako wolny, staje się niewolnikiem Chrystusa* (por. 1 Kor 7,22) — pisze do Koryntian, uzasadniając swój zakaz wykupywania niewolników chrześ-

cijańskich. Myśl Pawła jest tu taka: o szczęściu człowieka nie decyduje ustrój społeczny, jego zewnętrzna wolność lub niewola. Istnieje inna wolność, wewnętrzna, wolność od niewoli egoizmu, wolność dobrowolnego podporządkowania się prawu miłości. Tę wolność daje Chrystus zarówno niewolnikom, jak i panom, burząc w ten sposób ową wewnętrzną barierę, która ich dotąd przedzielała. W Chrystusie wszystko się relatywizuje, bo człowiek odnajduje w Nim — w Chrystusie — nowe źródło życia. Dla nawróconego niewolnika wolność fizyczna przestaje być kwestią życia i śmierci, a nawrócony właściciel niewolników widzi w nich braci, których do głowy mu nie przyjdzie wyzyskiwać i zadęczać. W ten sposób chrześcijaństwo niszczy od wewnątrz wszelkie złe ustroje polityczne i społeczne, pozbawiając je ich szatańskiego żądła, które w uciskających i w uciskanych zabija naszą ludzką godność. To powolne drażnienie ze strony chrześcijaństwa doprowadziło istotnie w VI w. do oficjalnego zniesienia niewolnictwa w Cesarstwie Bizantyńskim. Niepotrzebne były do tego rewolucje czy mobilizowania ludzi do oporu, zbędne było podjudzanie jednych przeciwko drugim i stwarzanie klimatu wzajemnej nienawiści i nieprzejednania; to zrobiła miłość, miłość, która nie opiera się złu, miłość, która kocha nieprzyjaciół.

*2 lipca 1982 r.*

### **Doświadczenie Boga żywego czyni nas ludźmi nowymi.**

Nasz piątkowy cykl radiowy o postawach chrześcijańskich w sytuacjach politycznych i społecznych wyjątkowo trudnych pragnął pokazać, jak nasze obiegowe poglądy na ten temat oraz nasze programy działania w tej dziedzinie dalekie są od prawdziwego ducha religii Chrystusowej. Widzieliśmy, że w jej centrum stoi przykazanie miłości obejmującej także nieprzyjaciół, miłości posuniętej aż do najdalszych swych możliwości — aż do nieopierania się złu, które ze strony naszych wrogów nas spotyka.

Dziś na zakończenie naszych rozważań musimy uświadomić sobie jeszcze jedno, bez czego ta radykalna etyka Chrystusowa byłaby czystą utopią, nie do zrealizowania na tej ziemi.

W powszechnej opinii ludzi chrześcijaństwo, jak zresztą wszystkie inne religie, polega na pewnej sumie mniej lub więcej abstrakcyjnych



wierzeń dotyczących Pana Boga i naszego stosunku do Niego. Z tych wierzeń, zwanych dogmatami, wypływają także pewne konsekwencje moralne, normujące nasze postępowanie w najrozmaitszych dziedzinach życia. Cała rzecz w tym, by te dogmaty oraz przykazania moralne dobrze znać, rozumieć, na ile się da, a potem usiłować je wprowadzić w życie. W tych wysiłkach wszystko zależy od naszej dobrej i mocnej woli. Mówi się, że Pan Bóg nam w tym pomaga, ale dla wielu chrześcijan ta pomoc jest pustym słowem. W praktyce mało się jej doświadcza. W praktyce borykamy się sami i każdego dnia musimy stwierdzać, że wskazań Jezusa, zwłaszcza tych z Kazania na Górze, nie można brać dosłownie. Są zbyt trudne, nierealne i niezyciowe.

Naszkiwowany wyżej schemat nie oddaje jednak tego, czym życie chrześcijańskie powinno i mogłoby być. To jest raczej jego mizerna karykatura. Życie chrześcijańskie nie jest wiedzą o dogmatach i o tym, jak należy postępować. Ono jest przede wszystkim doświadczeniem mocy Jezusa Chrystusa zmartwychwstałego, a drogą, żeby tego doświadczyć, jest wiara. Spróbuję to wytłumaczyć nieco bliżej. Normalne i zdrowe życie chrześcijańskie powinno mieć swój punkt wyjścia w przepowiadaniu Dobrej Nowiny Jezusa Chrystusa. W centrum tego głoszenia Ewangelii nie może być nic innego, jak tylko krzyż Chrystusa, który najpierw dokonuje sądu nad nami. Krzyż bowiem jest demonstracją naszej ślepoty i przewrotności. Nasze postępowanie i myślenie tak oddaliło się od prawdy i od Boga, że gdy On we wcieleniu swego Syna wszedł w nasze szeregi, myśmy uznali za słuszne wyrzucić Go spośród nas i skazać na straszliwą śmierć. Krzyż jednak jest także demonstracją miłości Boga do nas. Jezus bowiem w tym momencie robi to, czego sam nas nauczał: pozwala się zmiażdżyć przez naszą głupotę i niesprawiedliwość, nie broni swego prawa do życia, nie opiera się złu, umiera kochając nas, swoich morderców i wrogów. Z krzyża modli się: *Ojczy, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią* (por. Łk 23,34). Zmartwychwstanie Jezusa jest przyznaniem racji przez Boga Ojca tej właśnie miłości, jest ogłoszeniem jej za jedyną prawdę, która może zbawić człowieka. Jezus umarły za nas na krzyżu stał się jednocześnie w swoim zmartwychwstaniu Panem pełnym mocy i władzy, mogącym nas wyrwać z zamkniętego kręgu naszej obłądnej logiki i mentalności, według której żyjemy na co dzień, mogącym nas wyrwać z naszego egoizmu i niemożności prawdziwego kochania. Z przepowiadaniem takich treści posłał Jezus apostołów na świat. I teraz, kto w to przepowiadanie uwierzy, ten otrzymuje w chrzcie od zmartwychwstałego Chrystusa załóżek

nowego życia. To życie, które powinno powoli dojrzewać we wspólnocie kościelnej dzięki ustawicznej katechizacji Kościoła, poprzez stałe karmienie się słowem Pisma Świętego, poprzez uczestniczenie w sakramentach Kościoła — to życie polega na powolnej przemianie wewnętrznej. Motorem napędowym tych zmian jest doświadczenie Boga żywego. Bóg daje nam się poznać jako ktoś naprawdę istniejący, zatroskany o nas, kochający nas nawet w naszych słabościach i grzechu, jako ktoś jedynie potrzebny do naszego szczęścia. To właśnie pod wpływem tego doświadczenia chrześcijanin zaczyna powoli inaczej myśleć, inaczej reagować, inaczej postępować. Nie musi on już teraz za wszelką cenę bronić swego życia przed krzywdami, nie musi zabezpieczać swego życia na wszystkie strony: w pieniądzu, ludzkim uznaniu, w ludzkiej miłości. Chrześcijanin bowiem znalazł nowe źródło szczęścia, stokroć czystsze, stokroć potężniejsze — Boga.

To doświadczenie wiary jest dopiero bazą umożliwiającą nam zrozumienie radykalnej etyki Chrystusa i spontaniczne jej praktykowanie. Bez tego doświadczenia będziemy ciągle zmuszani niekształcać Kazanie na Górze, reinterpreterować je, minimalizować, okrajać, by je przystosować do naszej nie nawróconej mentalności i naszych miernych, czysto ludzkich możliwości.

*9 lipca 1982 r.*

## **Rozdział 5.**

### **CHRZEŚCIJAŃSTWO PONOWNIE ODKRYWANE**

#### **Czy istotnie trzeba odkrywać dziś chrześcijaństwo?**

Proponować naszym słuchaczom cykl audycji o chrześcijaństwie, o jego zasadniczych zrębach, o jego funkcjonowaniu w naszym życiu — wydaje się na pierwszy rzut oka przysłowiowym wyważaniem otwartych drzwi. Nasza większa lub mniejsza ignorancja może, owszem, dotyczyć innych religii (takich jak hinduizm czy islam), ale swoją własną każdy przecież dobrze zna. Większość z nas otrzymała w swoich rodzinach wychowanie religijne, później były lekcje katechizmu i tzw. chodzenie na religię w latach szkolnych, czymś trwałym stały się w życiu wielu z nas kazania niedzielne i coroczne rekolekcje wielkopostne — wszystko to jest aż nadto wystarczające, by wyrobić sobie dokładny obraz tego, czym jest chrześcijaństwo.

A jednak istnieją powody, które nakazują podejrzewać, że nasze poglądy na temat chrześcijaństwa i nasze przeżywanie chrześcijaństwa są wykrzywione, i to nieraz mocno. Jeżeli bowiem w powszechnym odczuciu nasza religia odbierana jest z jednej strony jako zbiór abstrakcyjnych, trudno zrozumiałych i obcych życiu dogmatów, a z drugiej strony jako katalog nakazów i zakazów, które wydają się często niemożliwe do wykonania i tylko nam komplikują życie — to musiały się w nasz obraz chrześcijaństwa wkraść jakieś rysy fałszywe. Pismo Święte przedstawia bowiem religię, którą zainicjował Jezus Chrystus, jako dobrą i oczekiwaną przez człowieka Nowinę; opisuje także, jak wszyscy ci, którzy ją przyjęli z wiarą, nie mogli pohamować swojej radości i uważali się za najszczęśliwszych ludzi na ziemi. Najwidoczniej znaleźli oni w chrześcijaństwie drogocenną, ukrytą dotąd perłę i bez wahania opuścili wszystko, by ją nabyć (zob. Mt 13,45-46). Dlaczego wśród nas, współczesnych chrześcijan, tak rzadko spotyka się ową radość? Czyżbyśmy nie widzieli już w Ewangelii Jezusa Dobrej Nowiny dla nas? Dlaczego odbieramy ją raczej jako jakieś uciążliwe jarzmo?

A druga zastanawiająca i niepokojąca sprawa: chrześcijaństwo nie zmienia naszego życia! Najczęściej od niewierzących różnimy się tylko chodzeniem do kościoła, bo na konkretne problemy życiowe mamy te same poglądy co oni i kierujemy się tą samą skalą wartości. Tak jak wszyscy, trzymamy się i my mocno pieniądza i wierzymy, że tylko on zabezpiecza nam życie; tak jak inni, my również powtarzamy, że „nam się od życia też coś należy” i w imię tego „świętego” prawa szukamy wszędzie wygody, przyjemności i spokoju; tak jak każdy człowiek, my też uciekamy od cierpienia i krzyża; tak jak wszyscy, winę za nasze niepowodzenia życiowe zwalamy zawsze na innych lub na zewnętrzne okoliczności itd., itd. W tych wszystkich sprawach chrześcijaństwo nie ma najmniejszego wpływu na nasze myślenie i postępowanie. Tymczasem Biblia nazywa Ewangelię MOCĄ Boga dla zbawienia każdego, kto wierzy (por. Rz 1,16), a zbawienie w Bożym Objawieniu nie dokonuje się dopiero po śmierci, jest ono także całkowitą zmianą naszej mentalności i życia już na tej ziemi. Historia pierwszych wieków roi się od świadectw takiego właśnie oddziaływania chrześcijaństwa. Posłuchajmy np. jak pochodzący z II w. po Chr., „List do Diogneta” opisuje życie wyznawców Jezusa: Chrześcijanie nie różnią się od reszty ludzi ani odrębnym terytorium, ani językiem, ani zwyczajami. Nie zamieszkują żadnych odrębnych miast, nie używają żadnego specjalnego języka, ich rodzaj życia jest zupełnie normalny... W ubraniu, pożywieniu i w innych sprawach stosują się do miejscowych zwyczajów, a jednak styl życia, do którego zmierzają, jest wspaniały i, według powszechnej opinii, niewiarygodny. Każdy z nich ma jakąś ojczyznę ziemską, ale czuje się w niej, jakby był obcokrajowcem; nie uchylają się od żadnych powinności dobrego obywatela i biorę na siebie wszystkie ciężary publiczne, ale robią to, jakby byli przelotnymi gośćmi... Tak jak wszyscy inni żenią się i za mąż wychodzą, i mają dzieci, ale szanują poczęte i narodzone życie... Mają wspólny stół, ale nie wspólne łóżce. Żyją w ciele, ale nie według ciała. Ich życie upływa na ziemi, ale czują się obywatelami nieba. Są posłuszni ustanowionym prawom, ale ich sposób życia wskazuje, że są ponad wszelkim prawem. Kochają wszystkich, a wszyscy ich prześladują. Posyła się ich na śmierć, a oni w tym znajdują życie. Są ubogimi, a wzbogacają wielu... Są pogardzani, a oni we wzgardzie znajdują chwałę... Obrzuca się ich obelgami, a oni błogosławią; traktuje się ich z lekceważeniem, a oni odwzajemniają się okazywaniem szacunku; gdy im się wymierza karę, cieszą się, jakby im ktoś dawał życie.

Czy ktoś, patrząc z boku na nas, chrześcijan XX w., mógłby coś podobnego napisać? Czegoś takiego trzeba by dziś ze świeczką szukać. Jeżeli tak jednak jest, jeżeli chrześcijaństwo leży obok naszego życia, jak drożdże nie zmieszane z ciastem, to trzeba nam współczuć. Jesteśmy milionerami, ale o tym nie wiemy i żyjemy w nędzy!

Na tle tego wszystkiego wydaje się niezwykle potrzebne i pilne mówić o chrześcijaństwie, o jego korzeniach i głównych zrębach. To właśnie po to, by odpowiedzieć na tę potrzebę, rozpoczynamy dziś niniejszy nowy cykl radiowy. W kolejnych jego audycjach pragniemy najpierw pokazać niezafałszowany portret chrześcijanina i skonstruować go z obrazem człowieka zostawionego samemu sobie, nie odkupionego jeszcze przez Jezusa. Zastanowimy się następnie nad sposobem, w jaki Chrystus przynosi nam zbawienie, a na zakończenie tematem naszych rozważań będzie droga prowadząca do tego, by dokonało się w naszym konkretnym życiu to przeobrażenie, które chrześcijaństwo może i powinno spowodować. Na każdym kroku będzie nam przy tym towarzyszyło Pismo Święte, bo tylko na jego podstawie możemy wiedzieć, jak Bóg wyobraża sobie rzeczywistego chrześcijanina i jakie drogi przewidział, by człowiek mógł nim się stać.

12 lipca 1984 r.

### **Miłujcie się tak, jak Ja was umiłowalem.**

W dzisiejszej audycji będziemy starali się dać odpowiedź na pytanie: Jakim to człowiekiem trzeba właściwie być, by można było powiedzieć: „Oto prawdziwy chrześcijanin”. Ponieważ tylko sam Bóg może miarodajnie określać ideał rzeczywistego chrześcijanina, zwrócimy się po informacje w tej kwestii do Pisma Świętego, księgi napisanej pod Jego natchnieniem i której On sam jest dzięki temu głównym autorem.

Jako pierwszy tekst biblijny rysujący sylwetkę duchową chrześcijanina nasuwa się fragment z Ewangelii św. Jana, który mówi: Daję wam nowe przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali; jak Ja was umiłowalem, tak miłujcie się i wy nawzajem. *Po tym poznają wszyscy, że jesteście moimi uczniami, jeżeli miłość mieć będziecie jedni do drugich* (por. J 13,34). Obok tego tekstu można by zacytować wiele innych, które w centrum duchowości chrześcijańskiej stawiają miłość bliźniego.

Najprawdopodobniej dla nikogo z nas nie jest to nowość. Nie ma chyba prawdy częściej powtarzanej w kaznodziejstwie jak ta, że przykazanie miłości bliźniego jest sercem chrześcijaństwa. Wielu jednak nie zna lub nie uświadamia sobie wymiarów tego przykazania. Chrześcijańska miłość nie jest bowiem jakąkolwiek miłością i nie można jej utożsamiać ze znaną nam z doświadczenia miłością rodzicielską, małżeńską czy narzeczeńską lub z miłością przyjaźni. Jej jakość jest zupełnie inna; mierzy się ją bowiem miłością Chrystusa do nas. Jak Ja was umiłowalem, tak miłujcie się i wy nawzajem. A jak nas umiłowal Chrystus? Na to pytanie każdy z nas by chyba spontanicznie odpowiedział: Aż do śmierci! Dobra odpowiedź, ale niewystarczająca! Brak w niej najważniejszego elementu miłości Chrystusowej. Jezus ukochał nas, tak, aż do śmierci, ale gdyśmy jeszcze wszyscy byli odwróceny do Niego plecami. Posłuchajmy fragmentu z Listu św. Pawła do Rzymian: *Gdyśmy jeszcze byli grzesznikami, Chrystus umarł za niegodziwych w oznaczonym czasie. Z trudem można znaleźć kogoś, kto byłby gotów umrzeć za jakąś osobę uczciwą... Ale Bóg pokazuje swoją miłość względem nas, bo gdyśmy jeszcze byli grzesznikami, Chrystus umarł za nas* (por. Rz 5,6–8). Kim jest właściwie wobec Boga grzesznik? Jego wrogiem! Kimś, kto Jemu, swemu Stwórcy, wyrządził największą krzywdę. Przez grzech odzieramy Boga z należnej Mu czci, okazujemy Mu pogardę, wyrzucamy Go z naszego serca, w którym On pragnie przebywać jak w swoim najbardziej ulubionym mieszkaniu; przez grzech zabijamy Boga. W tym stwierdzeniu nie ma najmniejszej przesady. Jezus Chrystus, wcielony Syn Boży, został przecież przez nas skazany na śmierć krzyżową i wyrok ten niezwłocznie wykonano. Dogmat chrześcijański mówi, że Jezus umarł za grzechy każdego człowieka, że wobec tego za tę śmierć odpowiadamy wszyscy. Wszyscy bez wyjątku zabiliśmy Boga, wszyscy jesteśmy Jego najgorszymi krzywdzicielami i wrogami. I co On na to? Na naszą wrogość odpowiada miłością i przebaczeniem. Jezus z krzyża modli się: *Ojcze, daruj im, bo nie wiedzą, co robią!* (por. Łk 23,34). Oto jak nas ukochał Bóg w Chrystusie! Jeżeli więc taka miłość jest miarą naszej miłości, to oznacza to, że i my mamy kochać innych ludzi aż do śmierci, również wtedy, gdy są lub stają się naszymi wrogami.

Wszystcyśmy słyszeli o tym, że Jezus nakazuje swoim wyznawcom kochać nieprzyjaciół, uważaliśmy to jednak za jedno z wielu przykazań lub widzieliśmy w tym jakby jakiś rodzaj luksusu etycznego, dobrego i dostępnego dla pięknoduchów, dla jakichś dusz wybranych aspirujących do wyższej doskonałości. Tymczasem jest to probierz chrześcijań-

stwa, element wyróżniający je od wszystkich innych religii i systemów etycznych. Innymi słowy: nie można być chrześcijaninem bez praktykowania przykazania miłości obejmującej również wrogów. Słyszeliście, że było powiedziane: będziesz miłował swego bliźniego, swego wroga zaś możesz nienawidzić, ale Ja wam powiadam: kochajcie waszych wrogów i módlcie się za waszych prześladowców... *Jeżeli bowiem miłujecie jedynie tych, którzy was miłują, co za zastugę z tego macie? Czyż tego samego nie robią także grzesznicy?! A jeżeli pozdrawiacie tylko waszych braci, cóż nadzwyczajnego robiecie? Czyż tego nie robią także poganie?! (por. Mt 5,43-47).* Z tych słów Jezusa wyjętych z Kazania na Górze można wywnioskować, że od wszystkich ludzi, wierzących i niewierzących, można oczekiwać wiele wzniosłych osiągnięć moralnych, również i w dziedzinie miłości, ale do miłości nieprzyjaciół może się wznieść tylko chrześcijanin; jeżeli on jednak tego nie robi, traci swoją specyfikę i zacierá istotną różnicę dzielącą go od innych uczciwych ludzi, których pełno jest także i poza chrześcijaństwem.

By zdać sobie sprawę z praktycznych wymiarów i konsekwencji przykazania miłości naszych wrogów, musimy mieć przed oczyma również słowa Jezusa, które w Kazaniu na Górze stoją w bezpośrednim kontekście z powyżej zacytowanymi. Brzmia one tak: *Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb, ale Ja wam powiadam: Nie opierajcie się złu; ale jeżeli ktoś bije cię w prawy policzek, nadstaw mu i lewy; jeżeli ktoś procesuje się z tobą, by ci zabrać tunikę, zostaw mu także płaszcz; jeżeli ktoś cię zmusza iść tysiąc kroków, zrób z nim dwa tysiące (por. Mt 5, 38-41).* Kto nas bije w twarz, wyrządza nam krzywdę i staje się automatycznie naszym wrogiem; kto w niesprawiedliwym procesie sądowym chce nam wydrzeć to, co nasze, jest naszym krzywdzicielem, a więc wrogiem; kto żąda od nas bezpodstawnie nieproporcjonalnie dużego wysiłku, ten wyzyskuje nas i znowu zachowuje się względem nas jak nieprzyjaciel. Jak widzimy, Jezus opisuje tu przypadki dobrze nam znane z codziennego życia. Co oznacza więc według Niego kochać wroga w takich konkretnych sytuacjach życiowych? Nie opierajcie się złu! Innymi słowy: pozwólcie sobie zadawać niesprawiedliwość; nie brońcie swoich nawet słusznych praw do waszego odpoczynku, do waszej własności, do waszej czci. Jezus swoim wyznawcom nakazuje rzecz bulwersującą: w morzu ludzkich nieporozumień, intryg, kłótni, wzajemnych pretensji — a wszystkim się wydaje, że robią to w dobrej wierze, by bronić swoich świętych praw — mamy jako chrześcijanie być w świecie tymi, na których diabelska dialektyka krzywdy i odwetu załamuje się i urywa. Doznana krzywda nie

wywołuje w nas odruch, by oddać pięknym za nadobne, lub by dochodzić swego; naszą odpowiedzią jest miłość do tego, kto nas krzywdzi. W ten sposób robimy to, co uczynił Jezus: gdyśmy niesłusznie deptali Jego największe prawo, prawo do życia, i przybijali Go do krzyża, On pozwolił się do niego przybić, a przyjmując z naszej ręki śmierć, kochał i wybaczal.

19 lipca 1984 r.

### **Krzyż kręgosłupem chrześcijanina.**

W poprzedniej audycji mówiliśmy o tym, że najważniejszą cechą wyróżniającą chrześcijanina jest miłość do nieprzyjaciół. Dzisiaj zastanowimy się nad innym jeszcze rysem składającym się na biblijny obraz ucznia Chrystusowego.

Punktem wyjścia będą dla nas trzy następujące teksty. Pierwszy wyjęty jest z Ewangelii św. Łukasza: *Kto chce iść za Mną niech przekreśli siebie, niech weźmie swój krzyż na każdy dzień i niech Mnie naśladuje. Kto chce ocalić swoje życie, utraci je; a kto utraci swoje życie dla Mnie, ocali je* (por. Łk 9,23–24). Następny nasz tekst pochodzi z Drugiego Listu św. Pawła do Koryntian: *Zewsząd uciskani, ale nie zmiążdżeni; w sytuacjach bez wyjścia, ale nie rozpaczamy; prześladowani, ale nie czujemy się opuszczeni; powaleni, ale nie pokonani; nosimy w naszym ciele nieustannie śmierć Chrystusa, aby i życie Jezusa ujawniło się w naszym ciele* (por. 2 Kor 4,8–10). A w Liście do Galatów św. Paweł woła: *Co zaś do mnie, niech mnie Bóg uchwyci, abym się miał chlubić z czego innego, jak tylko z krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa, przez którego świat jest dla mnie ukrzyżowany, a ja dla świata* (por. Ga 6,14).

Z powyższych cytatów, które łatwo można by pomnożyć, wynika, że nie można być chrześcijaninem bez akceptowania krzyża. Kontrast ze światem jest tu szczególnie wyrazisty. Normalnie bowiem wszyscy ludzie niczego się bardziej nie boją, przed niczym dalej nie uciekają, jak przed krzyżem, czyli przed cierpieniem w najrozmaitszych jego formach. Prawie wszystkie nasze przemyślenia nad tym, jak sobie życie ułożyć, nasze projekty na przyszłość, nasze marzenia mają w tym swój wspólny mianownik, że zawsze chodzi w nich o to, by nie mieć problemów, by przeżywać same tylko sukcesy, by żyć wygodnie, mieć dużo pieniędzy, by wszystko nam się dobrze układało, słowem — by wyeliminować z nasze-



go życia krzyż. I odwrotnie, nasze wewnętrzne niezadowolenie, szamotanie się, bunty i rozpacze płyną z obecności krzyża w naszym życiu i z faktu, że tego absolutnie nie akceptujemy.

Chrześcijanin, który nie jest nim tylko z imienia, patrzy na krzyż zupełnie inaczej. Przede wszystkim wie on, że jego codzienny krzyż polega nie tyle na zadawaniu sobie najrozmaitszych umartwień czy na jakimś sadystycznym pozbawianiu się wszelkich możliwych przyjemności; właściwym krzyżem jest dla niego jego własna historia, czyli samo życie z tymi wszystkimi nieprzyjemnościami, które nieuchronnie mu towarzyszą. Krzyżem może być dla kogoś niski wzrost, fakt, że nie jest wystarczająco przystojny, że pochodzi z rozbitej rodziny, że nie zdołał ukończyć studiów, że ma żonę o trudnym i zamkniętym charakterze, że nie udało mu się wychowanie dzieci itd., itd. A po drugie, chrześcijanin patrzy na te swoje życiowe, przymusowe krzyże przez pryzmat krzyża Chrystusa. Dla Niego krzyż nie był zniszczeniem, ale uwielbieniem, oślepiającym objawieniem miłości Boga do nas, zwycięstwem nad złem i grzechem; krzyż Jezusa był drogą do zmartwychwstania i do życia w nowym, bardziej pełnym wymiarze. Prawdziwi wyznawcy Chrystusa nie uważają swoich cierpień za złośliwe zrządzania losu; oni wiedzą, że jeżeli Bóg dopuścił w ich życiu krzyże, to pragnie im w ten sposób coś bardzo ważnego powiedzieć, coś bardzo wspaniałego dać, z jakichś większych i gorszych nieszczęść wyrwać. Jakżeż bowiem Bóg, który nas kocha, może chcieć naszego nieszczęścia lub tego, by nasze życie upływało w rozgoryczeniu i smutku?

Całe nieporozumienie leży w tym, że my patrzymy na świat i nasze życie przez inne okulary niż Bóg. Nam się wydaje — i w tym błądzimy — że szczęście leży w powodzeniu, w wygodach, w bogactwie; Bóg natomiast wie, że prawdziwym sensem, pełnią i szczęściem naszego życia jest tylko On sam. Poprzez krzyż Bóg pragnie udaremnić niszczenie naszego życia naszymi własnymi rękoma i chce nam umożliwić odkrycie tego, co jest istotne i co naprawdę syci, a jest tym On sam — nasz Stwórca. Dlatego chrześcijanin nie będzie się gorszył krzyżem swego życia ani nie będzie go uważał za głupotę, którą należy z pogardą odrzucić; on będzie w nim dostrzegał — jak mówi św. Paweł — mądrość Bożą i moc Bożą (zob. 1 Kor 1,24). Krzyż jest dla niego miejscem spotkania z Bogiem, wąskim przejściem prowadzącym do zmartwychwstania, by już żyć na tej ziemi życiem nowym, w miłości i szczęściu; krótko mówiąc, krzyż jest dla chrześcijanina chwalebny. Za św. Pawłem

woła on: *Niech mnie Bóg uchwowa, abym miał się chlubić z czego innego, jak tylko z krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa* (por. Ga 6,14).

Wejście w chrześcijańską logikę krzyża wprowadza prawdziwego ucznia Jezusa w styl życia zupełnie odmienny od potocznego: patrzenie na cierpienie oczyma Chrystusa powoduje, że stajemy się zdolni do tej miłości bliźniego, o której mówiliśmy poprzednim razem; kochamy drugiego człowieka jeszcze i wtedy, gdy zamienia się on nam we wroga niszczącego nasze szczęście. Kto nie akceptuje krzyża, nigdy nie zniesie obok siebie kogoś takiego, nigdy nie będzie go mógł kochać.

Miłość do krzyża i chlubienie się nim sprawia, że wywraca nam się skala praktycznych wartości. Pożądania godnymi stają się nagle upokorzenia (w miejscu pracy ktoś szpetnie mi przygadał), ostatnie miejsca (ominał mnie należy mi awans), ubóstwo (nie mogę sobie pozwolić na wiele rzeczy, na które innych stać), niewygody (muszę się gnieździć w małym mieszkaniu z liczną rodziną). To już nas nie załamuje ani nie wywołujemy o to awantur. Nie znaczy to, że do tych rzeczy musimy za wszelką cenę dążyć lub że nie wolno nam podejmować starań o uczyńnienie swego życia znośniejszym; chrześcijańskie podejście do krzyża oznacza, że od tych rzeczy nie zależy już nasze szczęście, że ich brak nas nie załamuje, że nie zazdrościmy ich innym i nie wywołujemy o nie awantur, że umiemy z pogodą poprzestać na tym, co jest, że jesteśmy zadowoleni z tego życia, jakie mamy, gdyż wiemy, że Bóg jest nad wydarzeniami i rządzi naszą historią, i że nas kocha, i że wobec tego to, co nas spotyka z Jego ręki, jest najlepsze.

Nie można być chrześcijaninem bez takiego nastawienia do krzyża, o jakim tu dziś była mowa. *Kto chce iść za Mną, niech przekreśli siebie, niech weźmie swój krzyż na każdy dzień i niech Mnie naśladuje* (por. Łk 9,23).

26 lipca 1984 r.

## **Chrześcijanin człowiekiem w drodze.**

*Wiatr wieje, dokąd chce, i szum jego słyszysz, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie; tak jest z każdym, kto się narodził z Ducha.* Te słowa wzięte z Ewangelii św. Jana (por. J 3,8) przypominają nam jeszcze jeden rys, składający się na biblijny portret chrześcijanina. Uczeń Jezusa jest jak

wiatr! Co to konkretnie znaczy? Jakie to cechy tego znanego nam żywołu mają w nas wywoływać obraz wyznawcy Chrystusa?

Wiatr w powszechnym odczuciu kojarzy się przede wszystkim z ruchem. Nigdy nie stoi w miejscu, zawsze dokądś pędzi. Sprzeczny z jego naturą jest wszelki immobilizm, bezruch, postój. Podobnie i chrześcijanin! Jest zawsze w drodze, nigdy się nie zatrzymuje, nigdzie się na stałe nie osiedla. Taką naturę wiatru, jako nasz ewentualny wzorzec, odczuwamy wszyscy jako coś niezwykle niewygodnego i niepożądanego. Każdy bowiem człowiek siłą swojej bezwładności szuka sobie jakiegoś wygodnego miejsca na tej ziemi, które mógłby nazwać swoim, w którym mógłby się na stałe rozsiać i urządzić, w którym mógłby wieść wygodne, spokojne i bezproblemowe życie. Taki ideał jest jednak absolutnie nie do pogodzenia z chrześcijaństwem. *Nasza ojczyzna jest w niebie, skąd też Zbawiciela oczekujemy, Pana naszego, Jezusa Chrystusa — mówi św. Paweł w Liście do Filipian* (por. Flp 3,20). Tak jak kiedyś wędrujący z miejsca na miejsce Abraham, podobnie i chrześcijanie, według słów Listu do Hebrajczyków, wyznają, że są gośćmi i pielgrzymami na ziemi. Bo ci, którzy tak mówią, okazują, że ojczyzny szukają. I gdyby mieli na myśli tę, z której wyszli, mieliby sposobność do niej wrócić. Lecz oni zdążają do lepszej, to jest do niebieskiej (por. Hbr 11,13–16). Kto ma ojczyznę, ale jeszcze w niej nie mieszka, tylko jest w drodze do niej, traktuje swoje życie jako prowizoryczne, towarzyszy mu ustawiczne poczucie tymczasowości; ktoś taki nie rozkłada się wygodnie w chwilowym miejscu swojego przebywania, ale, jak to się potocznie mówi, „siedzi na walizkach”, gotowy do dalszej drogi. Taka jest właśnie duchowość chrześcijanina. Z niej wypływa to, o czym mówią Dzieje Apostolskie o pierwszych wspólnotach wyznawców Jezusa, że: *Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne* (Dz 4,32). W świetle takiej duchowości jest także zrozumiałe to, co św. Paweł pisze do Koryntian: *Czas stał się już krótki; odtąd na przyszłość, ci, którzy mają żony, niech żyją jakby ich nie mieli; ci, którzy płaczą, jakby nie płakali; ci, którzy się weselą, jakby się nie weselili; ci, którzy kupują, jakby nic nie posiadali; ci, którzy używają tego świata, jakby go nie używali. Przemija bowiem kształt tego świata* (por. 1 Kor 7,29–31). Sens tego zalecenia jest taki: żyć w tym świecie, używać go, ale nie absolutyzować, nie traktować rzeczy tego świata jak bożki, które dają szczęście; robić wszystko z jakimś dystansem wewnętrznym, w pewnym nawet sensie nie całkiem na serio, jakby z przymrużeniem oka. Serce chrześcijanina jest bowiem zakotwiczone w Bogu, a jego nadzieja spoczywa w niebie; tam jest jego ojczyzna;

właśnie dlatego czuje się obcy na tej ziemi, żyje w poczuciu tymczasowości, ciągle gotowy iść dalej.

O wietrze mówi Jezus w przytoczonym na początku zdaniu, że nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie. Słowa te przywodzą nam na myśl inny aspekt tajemniczej i zagadkowej natury ucznia Chrystusa. On rzeczywiście nie wie, dokąd idzie. Także i w tym jest on podobny do Abrahama, o którym List do Hebrajczyków mówi: *Przez wiarę usłuchał Abraham, gdy został powołany, aby pójść na miejsce, które miał otrzymać w dziedzictwo, i wyszedł nie wiedząc, dokąd idzie* (por. Hbr 11,8). Wyznawca Jezusa wie jedno: Bóg go kocha, Bóg obiecał mu w Chrystusie nowe, wspaniałe życie, ale on nie wie, jaki będzie jego konkretny kształt; nie wie też, jakie są konkretne drogi, którymi dojdzie do tego celu. Wystarcza mu świadomość, że Bóg, który suwerennie rządzi historią, sam go tam prowadzi pewną ręką, tak jak niegdyś poprzez słup ognia i chmury prowadził Izraela do Ziemi Obiecanej. Innych projektów życiowych poza tym jednym chrześcijanin sobie nie tworzy. Oczywiście wolno mu układać sobie jakoś życie, ale jest w tym elastyczny, gotowy bez żalu ze swoich planów zrezygnować lub je zmienić, jeśli widzi, że Bóg poprzez konkretne wydarzenia daje mu do zrozumienia, iż ma inne względem niego zamiary. Chrześcijanin bowiem całą swoją radość czerpie z odkrywania i pełnienia woli Bożej, a znajduje ją wyrażoną, nie tylko w przykazaniach Bożych, ale także i najbardziej we wszystkim tym, dobrym i złym, co niesie jego dzień powszedni. Dlatego uczeń Pana cieszyć się będzie zdrowiem, ale i choroba go nie załamie; pragnąć będzie awansu w pracy, ale również ze spokojem zaakceptuje swoją degradację lub pominięcie; życzyć sobie będzie dla swoich dzieci wyższych studiów, ale zadowolony także będzie z innego, niepożądanego w tym względzie obrotu sprawy.

Uczeń Jezusa jest wolny w tych rzeczach. Nie jest niewolnikiem swoich planów, które raz uznawszy za słuszne, pragnie teraz za wszelką cenę realizować i jest głęboko nieszczęśliwy i zrozpaczony, gdy życie mu je przekreśla. Jest to jeden z ważnych aspektów prawdziwej, Chrystusowej wolności. Tę to właśnie wolność miał na myśli Jezus, gdy porównując obywatela Królestwa Bożego do wiatru mówił: Wiatr wieje, dokąd chce. Chrześcijanin jak wiatr nie pozwala się niczym związać, niczym unieruchomić. Jedyнным jego punktem stałym jest Bóg i rozkochanie się w pełnieniu Jego woli.

Wiatr wieje, dokąd chce, i szum jego słyszysz. W tych słowach wyrażony jest efekt, jaki ta postawa wywołuje na zewnątrz. Wyznawca Jezusa, posiadający naturę wiatru, jest słyszany, to znaczy zauważany przez innych. Być innym niż swoje otoczenie, mieć inną mentalność, inne nastawienie życiowe, być wolnym duchowo, zmiennym i nieobliczalnym jak wiatr, być w ustawicznym ruchu, w drodze, a przy tym wszystkim promieniować szczęściem — oto sekret mocy świadectwa, które chrześcijanie winni swym życiem dawać Chrystusowi.

*Wiatr wieje, dokąd chce, i szum jego słyszysz, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie; tak jest z każdym, kto się narodził z Ducha (por. J 3,8).*

2 sierpnia 1984 r.

### **„Człowiek według ciała”**

Chrześcijanin, którego sylwetkę usiłowaliśmy nakreślić w poprzednich audycjach, posiada w terminologii biblijnej dwa ważne synonimiczne określenia. Jest nazywany „człowiekiem według Ducha”, bo — jak słyszeliśmy — narodził się z Ducha. Mówi się także o nim jako o „człowieku nowym”, gdyż jego natura jest absolutnie nowa, zrodzona w nim mocą Chrystusa zmartwychwstałego, bez działania tej mocy zupełnie nieosiągalna i nieobecna w świecie.

Chrześcijanin — uczeń Jezusa, Jego wyznawca — nosi w Piśmie Świętym Nowego Testamentu nazwę „człowieka według Ducha” albo „człowieka nowego”. Jego przeciwstawieniem jest „człowiek według ciała”, zwany też inaczej „człowiekiem starym”. Jego sylwetka duchowa będzie tematem dzisiejszej audycji.

Najpierw najbardziej ogólna definicja! „Człowiek stary, według ciała” to człowiek oderwany od swego Stwórcy wskutek grzechu pierworodnego, a nie objęty jeszcze zbawczym działaniem Chrystusa, człowiek szukający swego życia poza Bogiem, przekonany, że potrafi się zbawić, to znaczy uszczęśliwić, sam, własnymi sposobami, „Człowiekiem według ciała” jesteśmy, poza Maryją Matką Bożą, wszyscy i pozostajemy nim tak

długo, póki Jezus Chrystus nie dosięgnie nas swoją przeobrażającą łaską, której źródłem jest chrzest.

W oczach Bożych ocena tego człowieka wypada bardzo niepochlebnie. W Księdze Rodzaju, przed opisem potopu, znajduje się następująca refleksja tłumacząca, dlaczego Bóg dopuścił ten kataklizm niszczący ludzkość: *A gdy Pan widział, że wielka jest złość człowieka na ziemi i że wszelkie jego myśli oraz dążenia jego serca są ustawicznie złe, żałował Pan, że uczynił człowieka na ziemi i bolał nad tym w sercu swoim* (por. Rdz 6,5 n). Wszelkie jego myśli oraz dążenia jego serca są ustawicznie złe, to znaczy: cokolwiek zaplanujemy, cokolwiek przedsięwzięmiemy, cokolwiek zrobimy — nic nie jest bez zastrzeżeń w oczach Boga, wszystko jest splamione złem. Parafrazując moglibyśmy powiedzieć: Wszystko jest skażone egoizmem, zawsze i wszędzie szukamy siebie! Św. Paweł w pierwszej części swego Listu do Rzymian, po wnikliwej analizie sytuacji moralnej najpierw pogan, a potem Żydów, dochodzi do takiej oto druzgocącej konkluzji: *Tak więc udowodniliśmy, że zarówno Żydzi, jak i poganie, wszyscy są pod władzą grzechu, jak jest napisane: Nie ma ani jednego sprawiedliwego. Nie masz, kto by rozumiał, nie masz, kto by szukał Boga. Wszyscy zboczyli, razem stali się nieużytecznymi, nie masz, kto by czynił dobro, nie masz ani jednego. Grobem otwartym jest ich gardło, językami swymi knują zdradę, jad żmijowy pod ich wargami. Usta ich są pełne przekleństwa i gorzkości. Nogi ich są skore do rozlewu krwi. Spustoszenie i zniszczenie na ich drogach; a drogi pokoju nie poznali. Nie ma bojaźni Bożej przed ich oczami* (por. Rz 3,9–18). Nie sądzmy, że słowa te odnoszą się do jakichś wyjątkowo wielkich grzeszników — złodziei, morderców czy cudzołożników; św. Paweł ma na myśli wszystkich, również tzw. uczciwych, pobożnych i religijnych ludzi. Któż bowiem w tamtych czasach uważał się za bardziej porządnego i pobożnego, jak nie dumny ze swej religii Żyd?

I jeszcze jedno miejsce z Listu do Rzymian ważne jest dla zrozumienia sytuacji „człowieka według ciała”. W siódmym rozdziale Listu czytamy: *Ja nie rozpoznaję się w tym, co robię, gdyż nie to czynię, co chcę, ale czego nienawidzę, to czynię... Mam bowiem zawsze dobrą wolę, ale wykonania tego, co dobre, brak!... Według człowieka wewnętrznego mam upodobanie w prawie Bożym, ale w członkach moich dostrzegam inne prawo, które walczy przeciw prawu uznanemu przez mój rozum i bierze mnie w niewolę...* (por. Rz 7,15.18.22n). „Człowiek według ciała” najczęściej nie ma złej woli. On ma pojęcie dobra, pragnie go, chciałby je realizować, de facto jednak nic z tego nie wychodzi. Nie może się wyplątać z egoizmu i szukania siebie!

Dlaczego tak się właściwie dzieje? Skąd ta sprzeczność w naszym wnętrzu?

Św. Augustyn po długoletnich, bolesnych poszukiwaniach sensu swojego życia i po znalezieniu go w chrześcijaństwie wypowiedział to sławne, często powtarzane zdanie: Stworzyłeś nas, Boże, dla siebie i niespokojne jest serce człowieka, dopóki nie spocznie w Tobie („Wyznania” 1,1). W tym powiedzeniu zawarta jest fundamentalna prawda o człowieku: jest on tak skonstruowany przez Boga, że jedynie w Nim może znaleźć swoje spełnienie, swój sens, swoje szczęście. Od innej strony można by to tak wyrazić: Bóg — według definicji apostoła Jana — jest miłością (zob. 1 J 4,16). Otóż Bóg-Miłość stworzył człowieka dla miłości. W niej, tzn. gdy kocha i gdy jest kochany, realizuje on dopiero w pełni swoje człowieczeństwo. I znowu: natura ludzka jest tak zaprogramowana przez swojego Architekta, że tylko w Jego miłości do nas i w naszej miłości do Niego w pełni żyjemy, odpoczywamy — jak powiedział św. Augustyn. Jednak przez grzech człowiek zamknął się właśnie na tę miłość, zadając sobie tym śmiertelną ranę. Każdy nasz grzech jest w stosunku do Boga jakby antywyznaniem wiary, które mówi: „Ty mnie w rzeczywistości nie kochasz, swoim prawem chcesz mnie ograniczyć; historia, którą ze mną tworzysz, jest zła. Ja sam — kombinując na własną rękę — lepiej pokieruję swoim życiem i skuteczniej dam sobie szczęście”. Reszta jest już tylko konsekwencją tego strasznego, choć rzadko sobie przez nas uświadamianego antywyznania wiary. Istota ludzka nie może żyć, jeżeli nie jest w czymś zakotwiczona: ona musi w czymś lub w kimś znaleźć sobie oparcie, zabezpieczenie, miłość. Jeżeli Bóg przestał w praktyce tym wszystkim być, szuka ona sobie innego gruntu pod nogami. „Człowiek według ciała” nie wyobraża sobie np. szczęśliwego życia bez pieniędzy. Im więcej ich ma, tym lepiej! Zastępczą formą nieskończonej Miłości stały się dla niego uznanie i szacunek innych ludzi do siebie; aby sobie jednak na nie zasłużyć, trzeba być „kims”, trzeba wyrobić sobie pozycję, trzeba czymś móc zaimponować; dlatego o te rzeczy będzie on z całą swoją energią zabiegał. Człowiek uważa teraz, że znajdzie kopalnię miłości w małżeństwie i w rodzinie. „Nic naturalniejszego jak takie oczekiwanie” — pomyśli w tym momencie niejeden z nas! Oczywiście! Tragedia jednak leży w tym, że od męża, żony czy dzieci oczekuje się tej wielkiej, nieograniczonej miłości, którą może nam dawać jedynie Bóg; a takim oczekiwaniom oni — tak samo biedni i zranieni grzechem jak my, tak samo spodziewający się takiej samej miłości od nas — takiemu oczekiwaniu nigdy nie będą mogli

sprościć. Nasza potrzeba miłości w rzeczywistości warunkuje ich i znie-  
wała, a nam przynosi ustawiczne rozczarowania.

Ponieważ te wszystkie rzeczy są w naszym mniemaniu niezbędne do  
szczęśliwego życia, pragniemy je sobie zapewnić za wszelką cenę,  
walczymy o nie, domagamy się ich i jesteśmy głęboko nieszczęśliwi, gdy  
w tej powszechnej walce o realizację własnych koncepcji szczęścia  
okazujemy się słabsi i pokonani.

Oto są mechanizmy, które rodzą w nas „człowieka według ciała”,  
„człowieka starego”, zamkniętego w sobie, egoistę, szukającego we  
wszystkim siebie!

Czy istnieje jakaś droga wyjścia z tego zamkniętego koła?

*10 sierpnia 1984 r.*

### **„Człowiek według ciała” człowiekiem słabym.**

W poprzedniej audycji usiłowaliśmy korzystając z pomocy Pisma  
Świętego nakreślić portret człowieka jeszcze nie odkupionego, którego  
św. Paweł nazywa „człowiekiem według ciała” oraz „człowiekiem star-  
ym”. Dziś na wstępie krótkie wyjaśnienie dotyczące obu tych nazw.

Określenie „człowiek według ciała” nie oznacza człowieka mającego  
specjalną słabość w dziedzinie seksualnej. „Ciało” jest dla św. Pawła  
pojęciem szerszym. Oznacza ono całą psycho-cielesną naturę człowieka  
jako skażoną grzechem i będącą wskutek tego siedliskiem najroz-  
maitszych egoistycznych (nie tylko seksualnych) pożądań. Co do okreś-  
lenia „człowiek stary” to nie odnosi się ono rzecz jasna do człowieka  
starego wiekiem. Nazwą tą objęty jest każdy człowiek. „Starym” nazywa  
się on dlatego, bo jego grzeszna natura należy do przeszłości, do „starego  
porządku” świata, jeszcze wprawdzie istniejącego, a nawet bujnie się  
rozkrzewiającego, ale już pokonanego w śmierci i zmartwychwstaniu  
Chrystusa. Obecny porządek świata — pełen niesprawiedliwości, pełen  
wojen i przemocy, pełen kłamstwa, obłudy i egoizmu — nie ma przed  
sobą przyszłości ani nadziei, będzie potępiony i zniszczony. Zmierza on  
do swojej nieuchronnej śmierci, a więc „starzeje się”, a wraz z nim



„starością” napiętnowany jest każdy człowiek, który swoją mentalnością i czynami do niego należy. Życie, prawdziwe i szczęśliwe życie, nigdy się nie kończące, wieczne — stoi przed człowiekiem „nowym”, „człowiekiem według Ducha”, o którym mówiliśmy w naszych początkowych audycjach-katechezach.

Stać się chrześcijaninem oznacza przejść od „człowieka starego” do „człowieka nowego”, od „człowieka według ciała” do „człowieka według Ducha”. Jak się to przejście dokonuje? Co trzeba robić, by przestać być „człowiekiem starym”, a stać się „nowym”? Odpowiedzią, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni, gdy słyszymy powyższe pytanie, jest: że musimy się o to z całych sił starać, nieznużenie walczyć ze swoimi wadami i namiętnościami, usilną pracą nad sobą wyrabiać w sobie nowe chrześcijańskie postawy. W tym momencie proszę wszystkich moich radiosłuchaczy o szczególną uwagę! Ta odpowiedź jest fałszywa, niezgodna z Pismem Świętym, więcej jeszcze, przekreśla ona samą istotę chrześcijaństwa, gdyż neguje lub niebezpiecznie zacieśnia darmość zbawienia, które przyniósł nam Jezus. Zanim jednak pójdziemy dalej, jedna uspokajająca uwaga! Asceza i tzw. praca nad sobą mają w dojrzałym życiu chrześcijańskim swoją niezastąpioną rolę, nie są one jednak przyczyną rodzącą w nas to nowe życie.

W Liście św. Pawła do Rzymian czytamy takie zdanie: *Ci którzy egzystują według ciała, myślą o tym, co cielesne, ci zaś, którzy bytują według Ducha, o tym, co duchowe. Tylko że myśli ciała to śmierć, myśli zaś Ducha — życie i pokój. Dlatego pomysły ciała są wrogie Bogu, nie poddają się bowiem prawu Bożemu, bo nawet nie są do tego zdolne* (por. Rz 8,5–7). Św. Paweł mówi tu o „człowieku według Ducha” i o „człowieku według ciała”. Ten ostatni, sam z siebie, zachowuje się jak nieprzyjaciel Boga, jest nieposłuszny Jego prawu i nie jest w stanie postępować inaczej, mimo że chciałby. Według człowieka wewnętrznego mam upodobanie w prawie Bożym, jednakowoż dostrzegam w swoich członkach inne prawo, które walczy przeciw prawu uznanemu przez mój rozum i podbija mnie w niewolę... Te słowa, wyjęte z tego samego Listu do Rzymian (por. Rz 7,22n), każą nam myśleć, że grzech nie tylko zakłócił sytuację — że tak powiem — „prawną” człowieka wobec Boga (dopuszciliśmy się nieskończonej obrazy Boga i sami nie jesteśmy w stanie tej krzywdy naprawić); grzech stał się również katastrofą egzystencjalną, tzn. tak głęboko zakłócił i zranił naszą duchową strukturę, że sami nie możemy już z tego dołu wyjść. Tę samą prawdę wyraża św. Paweł w wieloraki inny sposób; gdy mówi

np. o władzy i panowaniu grzechu nad człowiekiem (zob. Rz 3,9; 6,12.14;11,32) lub o jego bezsilności (zob. Rz 5,6), albo gdy nazywa go umarłym wskutek grzechów (zob. Ef 2,1.5). Kto kiedy widział trupa, który samego siebie może ożywić?! Również i Stary Testament głosi tę prawdę i to niemalże na każdej swojej stronie. Pamiętajmy, że księgi Starego Testamentu zajmują się niemal wyłącznie Izraelem, narodem, który znał Boga, oglądał Jego dzieła, który przez więcej jak tysiąc lat był przez Niego pouczany i zachęcany do czynienia dobra. Pod względem moralnym. Żydzi w porównaniu z resztą świata znajdowali się niewątpliwie w lepszym, bardziej uprzywilejowanym położeniu; lepsze mieli możliwości startu do uczciwego życia. Mimo to rzeczywistość była zupełnie inna. Uważny czytelnik ksiąg Starego Testamentu zorientuje się szybko, że historia Izraela jest właściwie historią jego ustawicznego grzechu. *Od dnia, w którym wyszliście z ziemi egipskiej, aż do przyjścia waszego na to miejsce byliście krnąbrni wobec Pana* (por. Pwt 9,7) — tego typu stwierdzenia w rozmaitych wariantach często pojawiają się na kartach ksiąg historycznych i proroczych. Prorocy Starego Testamentu są pod tym względem szczególnie wyraziści. Ich nieustanne oskarżenia i wyrzuty, zapowiedzi kary i nawoływania do pokuty oraz zmiany życia — odbijają się o uszy Izraela jak groch o ścianę. Wieki mijają i nie ma żadnej poprawy. Ten stan zmusza czasem proroków do refleksji nad przyczyną tej beznadziejnej grzeszności ludu i wtedy padają z ich ust słowa takie jak np. te, które czytamy u proroka Ozeasza: *Ich uczynki nie pozwalają im wrócić do swojego Boga, gdyż duch nierządu mieszka w ich sercu* (por. Oz 5,4). Prorok Jeremiasz wyraził to samo jeszcze dosadniej: *Czy może Murzyn odmienić swoją skórę, a pantera swoje pręgi? A czy wy, przywykli do złego, możecie dobrze czynić?* (por. Jr 13,23). Widać z tych słów, że problem tkwi głęboko. Tu jest coś więcej niż tylko kwestia dobrej lub złej woli człowieka, jego pracy nad sobą lub jej braku. W stwierdzeniach tych zarysowują się już przysze wypowiedzi św. Pawła o tyranii grzechu nad każdym człowiekiem. Pamiętać bowiem musimy, że Izrael bynajmniej nie był jakimś wyjątkowo grzesznym narodem, gorszym od innych. Izrael jest przedstawicielem i obrazem całej ludzkości. Różnica leży jedynie w tym, że Bóg przez swój wybór zbliżył ten lud bardziej niż inne do swojego światła. W jego blasku ciemność grzechu ciężącego na Izraelu okazała się jeszcze bardziej mroczna i przerażająca. Ale Bóg chciał poprzez historię tego narodu pokazać, jacy my jesteśmy naprawdę i jak niezdolni jesteśmy uwolnić się sami od niewoli zła.

16 sierpnia 1984 r.

## Chrześcijanin nowym stworzeniem.

Stać się chrześcijaninem oznacza przestać być „człowiekiem według ciała”, „człowiekiem starym”, by zacząć istnieć jako „człowiek według Ducha”, „człowiek nowy”. Wiemy już z poprzednich naszych rozważań, że nie dzieje się to na mocy naszych starań, wysiłków i pracy nad sobą. Pismo Święte wyklucza kategorycznie taką drogę samozbawienia. Jeżeli więc daremne są w tym względzie ludzkie zabiegi, to jaka jest wobec tego droga do chrześcijaństwa? Albo inaczej: skąd się biorą w człowieku autentycznie chrześcijańskie postawy — zdolność kochania naszych wrogów, nieuciekanie przed krzyżem, akceptacja upokorzeń i ostatnich miejsc, życie na co dzień nie własnymi planami, ale wolą Boga, która nam się objawia w konkretnych wydarzeniach itd. Jak się do tego wszystkiego dochodzi?

Prorocy Starego Testamentu, widząc nieskuteczność Przymierza zawartego na Synaju oraz praktyczną niemożliwość zachowania Dekalogu wypisanego na kamiennych tablicach, przepowiadają nadejście czasów, w których Bóg zawarze z ludzkością jakieś Nowe Przymierze, ale na zupełnie innych zasadach. Posłuchajmy fragmentu z Księgi proroka Jeremiasza: *Takie będzie przymierze, które zawarę z domem Izraela po tych dniach... Złożę moje prawo w ich wnętrzu i wypiszę je na ich sercu... I już będą siebie nawzajem pouczać mówiąc: Poznajcie Pana! Gdyż wszyscy oni znać mnie będą od najmłodszego do najstarszego z nich... Odpuszczę bowiem ich winę, a ich grzechu nigdy nie wspomnę* (por. Jr 31,33n). Nową treść i strukturę przyszłego Przymierza odsłonił Bóg również prorokowi Ezechielowi: *Dam wam serce nowe i ducha nowego dam do waszego wnętrza, i usunę z waszego ciała serce kamienne, a dam wam serce z ciała. Mojego Ducha dam do wnętrza waszego i sprawię, że będziecie postępować według moich przykazań* (por. Ez 36,26n). Te dwa teksty potwierdzają najpierw to, o czym mówiliśmy poprzednio, że mianowicie „człowiek według ciała” nie potrafi sam wypracować w sobie postaw chrześcijańskich, ma bowiem serce z kamienia, tzn. niezdolne kochać; a po drugie przepowiadają one nadejście czasów, w których sam Bóg swoją wszechmocą i miłością stworzy w człowieku nowe przesłanki, by go uzdolnić do życia według swoich przykazań. Prawo Boże nie będzie już dla człowieka z zewnątrz nałożonym ciężarem; ono mu będzie wpisane w serce, stając się według późniejszych słów Chrystusa —

jarzmem słodkim i lekkim (zob. Mt 11,30). A stanie się to dzięki Duchowi Bożemu, który da nam serce nowe, z ciała, to znaczy skłonne kochać. Widzimy więc, że już w Starym Testamencie naszkicowana została droga do chrześcijaństwa, które jest owym zapowiedzianym Nowym Przymierzem. Aby w nie wejść całą swoją egzystencją, potrzebne jest doświadczenie w sobie jakiegoś potężnego działania Bożego, które spowoduje w nas głęboką, radykalną zmianę serca.

Gdy otworzymy teraz Pismo Święte Nowego Testamentu i posłuchamy zawartych w nim świadectw pierwszych wyznawców Chrystusa, przekonamy się, że oni rzeczywiście w ten sposób przeżywali swoje wejście w chrześcijaństwo i trwanie w nim. Św. Jan w swojej Ewangelii referuje takie oto słowa Chrystusa: *Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, jeśli się kto nie narodzi na nowo z wody i z Ducha Świętego, nie może wejść do Królestwa Bożego* (por. J 3,3,5). Zobaczmy: wejście do Królestwa Bożego, którym jest chrześcijaństwo, nie jest tu uzależnione od naszych starań i wysiłków, ale od powtórnych narodzin. Protagonistami tych narodzin nie są, jak w przypadku pierwszych naszych narodzin, rodzice ziemscy, od których otrzymaliśmy naturę ludzką; sprawcą powtórnych narodzin jest Duch Święty, który daje nam nową Bożą naturę. Z tymi nowymi narodzinami związana jest też woda, czyli sakrament chrztu. Ta sama prawda we wszystkich jej aspektach wyłożona została lapidarnie w Liście do Tytusa: *Zbawił nas Bóg nie z powodu uczynków sprawiedliwości, które spełniliśmy, lecz dla miłosierdzia swojego, przez kąpiel odrodzenia i odnowienie Ducha Świętego* (por. Tt 3,5). A więc nasze zbawienie nie dokonuje się przez nasze zasługi; jest ono dziełem Ducha Świętego, który odradza nas i czyni zupełnie nowymi przez kąpiel w wodzie, czyli przez chrzest.

Obok kategorii powtórnych narodzin Nowy Testament posługuje się pojęciem jeszcze mocniejszym, by wyjaśnić tajemnicę wejścia w chrześcijaństwo. By stać się wyznawcą Chrystusa, trzeba być jeszcze raz stworzonym. *Ani obrzezanie, ani nieobrzezanie nic nie znaczy, lecz nowe stworzenie* — mówi św. Paweł w Liście do Galatów (por. Ga 6,15), a pisząc do Kościoła w Efezie stwierdza: *Łaską zbawieni jesteście przez wiarę. To nie pochodzi od was, to jest darem Bożym; nie z uczynków, aby się kto nie chlubił. Jego bowiem dziełem jesteśmy, stworzeni w Jezusie Chrystusie dla dobrych uczynków, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili* (por. Ef 2, 8-10).

Jest jeszcze trzecie, bardzo wymowne porównanie. Stać się chrześcijaninem oznacza być współwskrzeszonym z martwych z Jezusem Chrystusem. W tym samym Liście do Efezjan czytamy: *Nas, którzy byliśmy umarłymi wskutek naszych grzechów, ożywił Bóg wspólnie z Chrystusem, wraz z Nim wskrzesił nas z martwych* (por. Ef 2,5n). Zwróćmy uwagę: przedtem byliśmy podobni do trupa, który nic nie może zrobić dla swojego ożywienia; do tego potrzebna jest Boża moc, która jedyna może przywracać życie.

Wiemy już teraz, jak funkcjonuje chrześcijaństwo. Zdolność postępowania według Ewangelii nie bierze się z powietrza, nie można też jej sobie wypracować. Ona dana jest człowiekowi przez Boga w darze. Życie chrześcijańskie jest bowiem owocem, który rodzi się z faktu, że Bóg swoją wszechmocą jeszcze raz nas stwarza, odradza i wskrzesza z martwych.

21 sierpnia 1984 r.

### **Odrodzeni do nowego życia.**

Zdolność do życia Ewangelią przychodzi chrześcijaninowi z faktu, że Bóg jeszcze raz go stworzył, ponownie zrodził, wskrzesił z martwych razem z Jezusem Chrystusem. Te trzy określenia, ilustrujące naturę tego działania Bożego, które czyni z nas chrześcijan, mają charakter jakiegoś bardzo radykalnego wydarzenia. Ze stanu śmierci przechodzimy do stanu życia, z nieistnienia do istnienia! Czy istnieją jakieś zmiany większe od tych? Czyż można o przemianach takiego kalibru myśleć inaczej, niż w kategoriach rzeczywistego wydarzenia, którego nigdy nie da się wymazać z naszej świadomości i pamięci? Każdy z nas winien wiedzieć, gdzie i kiedy coś podobnego przeżył i czego przy tym doświadczył. I nie wystarczy tu wskazać na fakt i datę naszego chrztu przyjętego we wczesnym niemowlęctwie; bo to prawda, że właśnie wtedy miały miejsce nasze powtórne narodziny i że od tamtego momentu mamy udział w życiu zmartwychwstałego Chrystusa; to jednak, co wtedy się stało, ma charakter zaledwie początku. To było jakby początkiem tej nowej Bożej natury w nas. Ale embriion Bożego życia musi się przecież dalej rozwijać, aż uformuje się z niego istota zdolna do samodzielnego istnienia zgodnie z wymogami swojego gatunku. Ten dalszy rozwój łaski chrzcielnej może się odbywać już tylko przy udziale naszej świadomości,

tnz. w naszym wieku dojrzałym. Proces ten będzie zatem zauważalny, można go będzie prześledzić; zdawać sobie będziemy sprawę z jego przebiegu, z jego poszczególnych etapów; uświadamiać sobie także będziemy, jak ta powolna przemiana orientacji naszego życia, naszej mentalności i zachowania odbywa się nie tyle dzięki naszym wysiłkom, ile raczej dzięki temu samemu działaniu Boga, które nowemu życiu w nas dało w chrzcie początek. Właśnie tę drugą fazę miałem na myśli, gdy mówiłem wyżej, że nowe narodziny, nowe stworzenie, zmartwychwstanie z Jezusem są wydarzeniem, którego się z mocą doświadcza. Jeżeli bowiem ono również i w tym drugim sensie w nas się nie wydarzy, innymi słowy — jeżeli łaska chrztu, mimo naszego dojrzałego wieku, w nas się nie rozwija, ale pozostaje ciągle jeszcze nietkniętym nasieniem, nasze postępowanie chrześcijańskie nie ma fundamentu. Wtedy nie jesteśmy po prostu w stanie żyć według Ewangelii Jezusowej. To tak, jakby ktoś od drzewa, które ledwie co zaczęło wypuszczać pierwsze pędy, oczekiwał dojrzałych owoców. Niemożliwe! Albo gdyby ktoś niemowlęciu nakazywał wykonanie trudnych obliczeń matematycznych. Nonsens!

Postawmy sobie teraz wszyscy następujące pytanie: Czy we mnie, w moim życiu dorosłego człowieka wydarzyło się to wszystko? Czy istnieje we mnie rozwinięta owa baza egzystencjalna, z której wyrasta w naturalny sposób Jezusowy styl życia? Pamiętajmy, że kryterium, według którego damy na to pytanie odpowiedź pozytywną lub negatywną, może być tylko to, o czym mówiliśmy w czterech pierwszych audycjach, w których kreśliliśmy obraz prawdziwego chrześcijanina. Jego cechą wyróżniającą nie jest religijność czy pobożność, np. chodzenie w niedzielę do kościoła, komunie święta w pierwsze piątki, udział w rekolekcjach czy pielgrzymkach. To są wszystko środki, by się chrześcijaninem stać, a nie dowody, że się nim jest. Wyróżnikiem chrześcijaństwa jest przebaczenie i miłość względem tych, którzy nas niszczą, niebronienie swoich słusznych nawet praw, akceptacja codziennego krzyża, którym jest nasza historia, pokora i zgadzanie się na ostatnie miejsca, nie szukanie swojej realizacji we własnych planach życiowych, ale w woli Bożej, która często poprzez różne wydarzenia te plany przekreśla itd. Przypuszczam, że bardzo wielu z nas, przymierzwszy swoje życie do takich kryteriów, będzie musiało stwierdzić, że z prawdziwym chrześcijaństwem niewiele ma wspólnego.

Sądzę, że w świetle tego, co tu zostało powiedziane, wyjaśnią się nam przy okazji pewne ważne i bolesne sprawy. Księżom np. często nasuwają się pytania: Dlaczego owoce ich wysiłków duszpasterskich są zazwyczaj tak mizerne, tak nieproporcjonalnie małe w stosunku do włożonego w nie trudu? Dlaczego mentalność wiernych pozostaje w praktyce pogańska? Skąd się bierze ów tragiczny przedział między tym, jak się żyje, a tym, w co się wierzy? Odpowiedź jest prosta: Nasi parafianie najwidoczniej nie przeżyli jeszcze tego nawrócenia, które byłoby aktualizacją owego zmartwychwstania, nowego stworzenia, nowego narodzenia, które miało już miejsce w ich chrzcie, ale tylko w zarodku. Bez tego bowiem dalszego rozwoju łaski chrzcielnej nie ma mowy o jakiegokolwiek istotnej zmianie w ich życiu.

Również i wiernym żyjącym w stanie świeckim w momentach refleksji nad swoją wiarą i życiem nasuwają się podobne myśli. Dlaczego chrześcijaństwo odczuwane jest jako religia tak trudna i w swoich wymaganiach tak nieżyciowa? Dlaczego mimo najlepszej nieraz woli i szczerych starań nie udaje się urzeczywistnić jego ideałów? Dlaczego po spowiedzi tak często nie widać większej poprawy? Dlaczego dla Boga mamy tak mało czasu, a nierzadko także tak mało zainteresowania? Odpowiedź jest znowu prosta. To wszystko są klasyczne sygnały, które mówią, że żadne lub niewystarczające jest w nas doświadczenie Boga i Jego zbawczego działania, które nas odradza, na nowo stwarza i wskrzesza z martwych. Brak jest fundamentu! Nasze chrześcijaństwo jest może tylko teoretyczną wiedzą o Bogu albo sprawą tradycji, albo przeżywamy je jedynie w sferze sentymentalnej, lub wszystkim tym po trochu. To jednak nie wystarcza, brak w tym przecież istoty, sedna!

Myślę, że w niejednej głowie narasta teraz taka oto natarczywa prośba: „Powiedźcie nam wreszcie, jak to wszystko zmienić; co zrobić konkretnie, aby stać się prawdziwym wyznawcą Chrystusa, tak jak pierwsi chrześcijanie?” Właśnie temu pytaniu poświęcone będą dalsze audycje niniejszego cyklu radiowego.

*23 sierpnia 1984 r.*

## **Usprawiedliwieni przez wiarę.**

Bóg stworzył człowieka wolnym i tę jego wolność bierze bardzo na serio. Dlatego nic z nami nie czyni bez naszego dobrowolnego przyzwolenia i współdziałania. Także aktualizacja naszych powtórnych narodzin w chrzcie i rozwój życia Bożego, które wtedy otrzymaliśmy, nie może się odbywać bez jakiegoś naszego wkładu. Na czym on polega? Odpowiedź jest krótka: Na wierze! *Uważamy bowiem* — pisze św. Paweł do Rzymian — *że człowiek bywa usprawiedliwiony przez wiarę, niezależnie od uczynków prawa* (por. Rz 3,28). A w Liście do Efezjan czytamy: *Albowiem łaską [czyli darmo] jesteście zbawieni, przez wiarę; i to nie płynie z was, to jest dar Boży* (por. Ef 2,8). I jeszcze jeden cytat z Listu do Filipian: *[Pragnę] znaleźć się [w Chrystusie] nie mając własnej sprawiedliwości, opartej na prawie, lecz tę, która się wywodzi z wiary w Chrystusa, sprawiedliwość z Boga, na podstawie wiary* (por. Flp 3,9). Tego rodzaju stwierdzeń, podkreślających nieodzowność i pierwszeństwo wiary w procesie stawania się chrześcijaninem, jest w Listach św. Pawła nieskończenie wiele.

Ta prawda brzmi jednak dla nas z wielu względów obco, a nawet podejrzenie. Brzmi obco, gdyż kłóci się po prostu z naszym codziennym doświadczeniem. Przecież wierzymy, tzn. uznajemy za prawdziwe wszystkie dogmaty Kościoła, ale z tej wiary na ogół nic nie wynika dla naszego życia. Nasze postępowanie nie ulega zmianie! W obliczu tego spostrzeżenia musimy sobie najpierw postawić pytanie, czy to, co my uważamy za wiarę, jest nią rzeczywiście. Bez wątpienia wierzyć w dogmaty katolickie jest jakąś częścią składową tego, co Pismo Święte nazywa wiarą, niemniej jednak jest ona rzeczywistością o wiele szerszą, posiadającą inne jeszcze wymiary, których niestety często nie doświadczamy.

Niewystarczający jest najpierw przedmiot naszej wiary. Dziwna rzecz: niektóre ważne prawdy uchodzą naszej uwagi lub z wielkim trudem w nie wierzymy, a właśnie od ich akceptacji zależy skuteczność działania Bożego w nas. Cykl niniejszych audycji radiowych nie spełniłby swojego celu, gdyby nie wypunktował tych „pomijanych prawd”. A więc:

1. Nasza skala wartości bardzo często nie odpowiada skali wartości, którą ma Bóg. W Ewangelii Łukasza znajdujemy takie oto znamienne zdanie skierowane do pobożnych i porządných faryzeuszów: *Wy jesteście*



*tymi, którzy chcą uchodzić w oczach ludzi za sprawiedliwych, lecz Bóg zna wasze serca. Gdyż to, co u ludzi jest wielkie i wspaniałe, obrzydliwością jest przed Bogiem* (por. Łk 16,15). W oczach ludzi i — powiedzmy to sobie szczerze — w oczach naszych ważne i pożądania godne jest: mieć pieniądze, zrobić za wszelką cenę dobrą karierę, mieć pozycję, poklask i uznanie, być wszędzie pierwszym, najlepszym i nieomylnym, odnosić sukcesy, żyć w wygodach. Dla Boga zaś właśnie to jest ową obrzydliwością. On ma inne upodobania! Bogactwa? — Jego Syn wcielony rodzi się w stajni i nie ma dla Niego miejsca w gospodzie. Kariera i sukces? — spójrzmy na krzyż Chrystusa: ot, jaką karierę zrobił Syn Boży i jaki sukces odniósł! Poklask i uznanie? — u możnych tego świata i u liczących się w społeczeństwie izraelskim Jezus miał opinię wariata lub opętanego, niegodnego żyć wśród ludzi! Wygody i pierwsze miejsca? — ostatnie sobie wybrał i najniwgodniejsze: wisieć na krzyżu! Jak widzimy, znakiem tych całkowicie odmiennych gustów Boga i naszych jest krzyż. I nie sposób o nim nie myśleć w kontekście takim, jak ten. W krzyżu widnieje zwłaszcza jedna wartość, której Bóg przyznaje na większą rangę: miłość do grzeszników, czyli miłość do swoich wrogów. Gdy ci maltretowali Chrystusa, On nie opierał się, ale pozwolił się dobrowolnie przybić do krzyża; nie przeklinał ich, ale usprawiedliwiał i tłumaczył przed Ojcem; nie potępił, ale przebaczył ich grzechy i dał nową szansę życia. Wskrzeszając z martwych Jezusa Bóg przyznał się do tej miłości, utożsamił się z nią, ogłosił ją jako jedyną prawdę. My natomiast na myśl, że też mamy kochać tych, którzy nas niszczą, nie przeciwstawiać się ich niesprawiedliwości, ale pozwalać się przybijać do krzyża, cofamy się z przerażeniem. Taka miłość jest w naszych oczach wariacka i absurdalna i uciekamy przed nią ze strachem. Jeżeli jednak my uważamy za obrzydliwość to, co dla Boga jest wartością, to nasza wiara jest głęboko chora, niepełna. Jakże Bóg może nas odrodzić do dojrzałego chrześcijaństwa, jeżeli odrzucamy akurat te wartości, które tworzą jego serce?! Czyż w ten sposób nie stawiamy się autentycznie poza jego nawias?

2. „Pomijaną” w naszej wierze prawdą jest także akceptacja dogmatu o tym, że wszyscy jesteśmy grzesznikami i że jako tacy możemy się śmiało nazwać mordercami Jezusa Chrystusa. Teoretycznie w to wierzymy, ale w praktyce niebezpiecznie zacieśniamy zasięg tej prawdy i spływamy jej głębię. W swojej ślepotcie dzielimy świat i ludzi na dobrych i złych. Żli — to złodzieje, mordercy, oszuści, prostytutki; złych chętnie dostrzegamy na wyższych szczeblach władzy państwowej; reszta zwyczajnych ludzi, która nam w niczym nie podpadła, to obóz dobrych,

w którym oczywiście na pierwszym miejscu lokujemy siebie samych. No, bo my popełniamy co najwyżej „drobne grzeszki”, ale normalnie to mamy przecież zawsze dobre intencje, chcemy dobra naszych bliźnich, w grubszych zarysach zawsze jesteśmy uczciwi i porządni. A gdy porównujemy siebie do tych złych, ogarnia nas subtelna duma i poczucie wyższości. Czy zdajemy sobie jednak sprawę, że dokładnie taką samą mentalność mieli faryzeusze? A wiemy, jak bardzo ich ona zamknęła na Chrystusa. Jezus, widząc to, powiedział kiedyś: *Nie potrzebuję lekarza zdrowi, ale ci, którzy się źle mają. Nie przyszedłem wzywać do nawrócenia sprawiedliwych, ale grzeszników* (Łk 5,31n). Uważając siebie za dobrych, zdrowych i sprawiedliwych, podcinamy właściwie naszej wierze jej korzenie. Jezus Chrystus nie ma nas z czego wybawiać. On jest nam w gruncie rzeczy niepotrzebny! Chrześcijaństwo ma bowiem sens tylko dla takiego człowieka, który ze św. Pawłem może szczerze wołać: *Prawdziwa to mowa i w całej pełni przyjęcia godna, że Chrystus przyszedł na świat, aby zbawić grzeszników, z których ja jestem pierwszy* (por. 1 Tm 1,15).

Wąskie ramy czasowe naszej audycji nakazują nam w tym miejscu przerwać tok naszych rozważań. Do tematu wiary będziemy jednak musieli wrócić jeszcze następnym razem.

28 sierpnia 1984 r.

## **Wierzyć, że Chrystus zmartwychwstały jest Panem naszego życia.**

Nieodzowną i podstawową formą współdziałania człowieka w procesie stawania się dojrzałym chrześcijaninem jest wiara. Jest ona w Piśmie Świętym przedstawiona jako rzeczywistość posiadająca wiele wymiarów. Jednym z nich jest akceptacja dogmatów. Ten aspekt wiary jest nam najbardziej znany, mimo to jednak istnieją pewne „prawdy pomijane”, których sobie nie uświadamiamy lub w które z trudem wierzymy, a które mają istotne znaczenie dla naszego rozwoju wewnętrznego. Poprzednio mówiliśmy o dwóch takich prawdach. Są nimi:

1. Odmierna skala wartości nasza i Pana Boga. To, co Bóg uważa za obrzydliwość, jest dla nas dobrem bardzo cenionym; i na odwrót: to, w czym Bóg ma upodobanie, jest przez nas odrzucane.

2. Nie odnosimy do siebie prawdy o powszechnej grzeszności człowieka; dzielimy ludzi na dobrych i złych, uważając siebie za dobrych, a w każdym bądź razie za o wiele lepszych od innych.

Ważnych prawd wiary, w które niedostatecznie wierzymy, jest jednak niestety więcej.

3. Św. Jan apostoł podaje w swoim Pierwszym Liście taką definicję Istoty Najwyższej: *Bóg jest miłością. Myśmy poznali i uwierzyli w miłość, którą Bóg ma do nas* (por. 1 J 4,16). To może się wydawać dziwne, ale właśnie ten fundamentalny dogmat chrześcijański napotyka w nas trudności. Najczęściej interpretujemy go w ten sposób, że Bóg, owszem, kocha ludzi, ale dobrych i uczciwych, którzy przestrzegają Jego przykazań, którzy Go w niczym nie obrażają. Co do grzeszników, to nie może On ich, rzecz jasna, kochać. Najpierw muszą się poprawić i nawrócić, by zasłużyć sobie na Jego miłość. Tak jednak myśląc umniejszamy Boga, sprowadzając Go do poziomu człowieka. Z doświadczenia bowiem dobrze wiemy, że nasze otoczenie kocha nas tylko wtedy, gdy odpowiadamy jego oczekiwaniom, gdy stosujemy się do jego reguł, do jego gustów i życzeń. Wiemy dobrze, z ilu rzeczy musimy zrezygnować, ile trudu sobie zadawać, by zapracować na miłość choćby własnego męża czy żony. Miłość darmowa, która nas kocha dla nas samych, niczego od nas nie chce, respektuje naszą wolność i odrębność, miłość, która nie

wygasa, nawet gdy na jaw wychodzą nasze braki raniące innych — taka miłość jest nam nie znana. Wśród ludzi ona nie istnieje. Dlatego sądzimy, że także i Bóg tylko taką, ograniczoną miłością może nas kochać. Tu wiąże nam się obecny punkt z poprzednim. To właśnie z tego powodu tak chętnie nie przyznajemy się do naszej grzeszności, tak skwapliwie ją ukrywamy przed sobą i wierzymy w naszą własną uczciwość, bo przekonani jesteśmy, że jako złych nie tylko ludzie nie będą nas akceptować, ale i Bóg. Takie myślenie jest jednak wypaczaniem istoty Boga. Bóg bowiem jest miłością bez żadnego „ale”. On kocha nas dla nas samych, akceptując nas takimi, jakimi jesteśmy. Do tego, by nas kochać, nie potrzebuje wcale naszych dobrych uczynków, Jego miłość bowiem nie ustaje, gdy grzeszymy, przeciwnie, wzmagą się. Gdy któraś z owieczek zabłąka się, Bóg, Dobry Pasterz, zostawia inne i idzie na poszukiwanie zaginionej. Bożej miłości nawet wtedy możemy być pewni, gdy wszyscy naokoło nami gardzą lub gdy my sami czujemy wstręt do siebie z powodu naszych braków i grzechów.

Niewiara w fundamentalny dogmat o tym, że Bóg nas kocha, lub zacieśnianie tej prawdy jedynie do ludzi dobrych, wywraca do góry nogami nasze życie religijne. Bóg jest w nim zdegradowany do miary człowieka, a chrześcijaństwo traci swój najbardziej charakterystyczny rys — przestaje po prostu być Dobrą Nowiną. Zamiast darmowej miłości Bożej do grzesznika w jego centrum stoją wysiłki człowieka, by na tę miłość zasłużyć; chrześcijanami zaś stawalibyśmy się w tym ujęciu nie dzięki wszechmocy Boga, który nas w miłości odradza do nowego życia, ale najpierw i przede wszystkim dzięki własnym staraniom.

4. Jest jeszcze czwarta prawda pomijana w naszym przeżywaniu wiary. Św. Paweł w Liście do Rzymian mówi, że wtedy dokonuje się w nas proces przemiany wewnętrznej, gdy wierzymy w Tego, który wzbudził Jezusa, Pana naszego, z martwych, który został wydany za nasze grzechy i zmartwychwstał dla naszego usprawiedliwienia (por. Rz 4,24–25). Wiemy z grubsza, co oznacza, że Jezus umarł za nasze grzechy, trudno nam natomiast zrozumieć zdanie, że zmartwychwstał dla naszego usprawiedliwienia. W jaki sposób Jego zmartwychwstanie przynosi nam usprawiedliwienie? Jezus nie zmartwychwstał tylko dla siebie, ale i dla nas. W swojej śmierci i w swoim zmartwychwstaniu stał się, według wyrażenia św. Pawła, duchem dającym życie (zob. 1 Kor 15,45). On nam je teraz daje. Zmartwychwstały Jezus otrzymał od Boga — jak mówi Ewangelia Mateusza — wszelką władzę na niebie i na ziemi (por. Mt

28,18). Znaczy to także, że ma On teraz klucz do naszego wnętrza, że może rozwiązać nasze problemy, wypalić nasze grzechy, zmienić nasze serce, dać nam swoją mentalność, uzdolnić nas do takiego stylu życia, który był niegdyś Jego własnym. Jezus zmartwychwstały jest Panem, ma władzę i moc nad nami, nad naszą słabością i egoizmem. Ta moc zaczyna w nas działać, nas przemieniać, gdy wierzymy, tak jak wierzył Abraham. W czwartym rozdziale Listu do Rzymian św. Paweł stawia nam go za wzór wiary. Abraham otrzymał od Boga obietnicę po ludzku niemożliwą: w starości otrzyma syna, którego urodzi mu jego stara, bezpłodna żona. W tym momencie Abraham nie zawahał się, nie pomyślał, że to jest przecież niewykonalne, że może uległ jakiemuś przewidzeniu, ale skierował swój wzrok na Boga, mając zupełną pewność, że cokolwiek On obiecał, ma moc i wykonać (por. Rz 4,21). Siłą tej wiary przyszedł na świat Izaak. Siłą naszej wiary w moc Jezusa zmartwychwstałego może się dokonać w nas cud wewnętrznej przemiany, dzieło naszych nowych narodzin. Wiara bowiem otwieramy Bogu dostęp do naszego wnętrza; On może w nas teraz swobodnie działać.

*Jeśli ustami swymi wyznasz, że Jezus jest Panem, i uwierzysz w sercu swoim, że Bóg wzбудził Go z martwych, będziesz zbawiony (por. Rz 10,9).*

30 sierpnia 1984 r.

## **Zbawieni przez głupstwo przepowiadania.**

W dwóch ostatnich audycjach mówiliśmy o niektórych prawdach wiary, w które z rozmaitych powodów niedostatecznie wierzymy. Wszystkie one, jak widzieliśmy, mają charakter bardzo bliski naszemu życiu. Z ich uznaniem wiąże się ocena naszej osoby i naszego postępowania; dzięki nim następuje także nasza bezpośrednia konfrontacja z Bogiem, który w zależności od tego, czy wierzymy w Jego miłość do grzeszników oraz w moc zmartwychwstałego Jezusa nad nami, ma nieskrępowane ręce, by w nas działać.

Te prawdy, oraz oczywiście wszystkie pozostałe, winny być ustawicznym przedmiotem przepowiadania kościelnego skierowanego do nas. Tak bowiem Bóg w swojej mądrości ustawił sprawy naszego zbawienia, że wiara rodzi się ze słuchania, a słuchanie przez słowo Chrystusa (por. Rz 10,17). To sławne zdanie św. Pawła z Listu do Rzymian znajduje swoje

bardziej poszerzone echo w jego Pierwszym Liście do Koryntian: *Skoro świat przez swoją mądrość nie poznał Boga w Jego mądrości, przeto spodobało się Bogu zbawić wierzących przez głupstwo przepowiadania* (por. 1 Kor 1,21). Słuchanie i przepowiadanie są więc ze sobą jak najściślej związane. Tych tak wyraźnych słów Boga nie można lekceważyć. To prawda, że religijność może się w kimś zrodzić i rozwijać pod wpływem książek czy oglądania piękna przyrody, czy wskutek działania stu innych przyczyn; religijność nie jest jednak tym samym, co wiara. Wiara jest w chrześcijaństwie czymś więcej, a normalnym kanałem, którym się Bóg posługuje, by nam ją dać, jest słuchanie tego, co Kościół głosi. Z tego stwierdzenia wypływają ważne wnioski przede wszystkim dla tych, którzy w Kościele mają misję przepowiadania. Powinni oni zawsze mieć w pamięci wyżej zacytowane słowa Pawłowe, że wiara jest ze słuchania, a słuchanie przez słowo Chrystusa. Nasi wierni mają prawo słyszeć słowo Chrystusa, od tego bowiem zależy przede wszystkim zdrowy rozwój ich życia chrześcijańskiego; i biada nam, sługom i szafarzom słowa, jeżeli my sami nie wiemy lub zapominamy, co właściwie stanowi treść Ewangelii, i zamiast autentycznego słowa Chrystusa przepowiadamy jakąś Ewangelię rozcieńczoną lub tak zniekształconą, że z Dobrej Nowiny zamienia się ona w „nowinę uciążliwą”.

Istnieje jeszcze jeden bardzo ważny wymiar wiary, w który należy koniecznie wejść, jeżeli od niej ma się zacząć proces wewnętrznego odrodzenia człowieka. W wierze nie jest bynajmniej jedyny ani nawet najważniejszy aspekt intelektualnej akceptacji dogmatów. Objawienie bowiem nie spada z nieba w postaci formuł dogmatycznych. Te formuły, owszem, istnieją w chrześcijaństwie i są potrzebne, ale są one wtórne i nie powinny nam nigdy zasłaniać sedna sprawy. Objawienie bowiem polega na tym, że to sam Bóg odsłania nam siebie jako Osobę, odkrywa przed nami swoją miłość, swoje zamiary względem nas oraz drogi prowadzące do Niego. Człowiek, który otrzymuje objawienie, stoi nie w obliczu abstrakcyjnych prawd, ale wobec Osoby Boga. Uwierzyć będzie zatem oznaczało: dać Bogu żywemu kredyt zaufania, znaleźć w Nim i w Jego miłości pewne oparcie i grunt pod nogami, poczuć się całkowicie bezpiecznym, przestać się lękać. Jak z tego widać, wiara jest czymś bardzo egzystencjalnym, angażującym całą naszą duchowość. Streszczając, można by ją nazwać głębokim spotkaniem dwóch osób — Osoby Boga i naszej.

Z pewnością zaczynamy teraz dostrzegać, jak z tak rozumianej i przeżywanej wiary może płynąć moc do radykalnej zmiany życia. Bo to jest tak, jakbyśmy nagle spotkali jakiegoś człowieka potężnego i wpływowego, który żywi do nas sympatię i ofiaruje nam gratis wszelką możliwą pomoc w jakichkolwiek trudnościach życiowych. Od razu następuje w nas wyrównanie psychiczne, zanika nerwowość, zamartwianie się i obawa przed nieznaną przyszłością. Spotkanie Boga i człowieka w wierze podobne jest też do błysku, który przeżywa dwoje młodych ludzi, gdy któregoś dnia otwiera się przed nimi świat wzajemnej miłości. Do ilu ofiar i wyrzeczeń uzdalnia ich wtedy ta miłość! Obydwa te porównania są tylko słabą analogią tego, co może się wydarzyć z człowiekiem, gdy uwierzy, to znaczy: oprze się na Bogu.

Z tej perspektywy widać inny jeszcze aspekt wiary, którego nie można tu pominąć. Tej nowej, żywej i osobowej relacji do Boga nie możemy sobie dać my sami. Nie zrodzi się ona w nas, bośmy o niej gdzieś wyczytali lub zasłyszeli, nie da się jej sobie wmówić ani narzucić. Św. Paweł w Liście do Rzymian mówi, że jej twórcą jest Duch Święty: *Nie otrzymaliśmy ducha niewoli... ale Ducha synostwa, w którym wołamy: Abba, Ojcze! Tenże Duch świadczy wspólnie z naszym duchem, że jesteśmy dziećmi Boga* (por. Rz 8,15n). A więc to Duch Święty daje świadectwo, tzn. upewnia nas ponad wszelką wątpliwość, że Bóg jest naszym Ojcem, a my Jego dziećmi, i że wobec tego nic złego z Jego ręki nie może nas spotkać.

W tym momencie naszych rozważań jesteśmy w stanie objąć wzrokiem dwie prawdy, które leżą na dwu przeciwnych biegunach i zdają się nawzajem wykluczać: wiara jest jednocześnie najbardziej wolnym aktem człowieka oraz całkowitym darem Boga. W wierze osoba ludzka, usłyszawszy słowo Boga skierowane do niej, powierza się z całkowitym zaufaniem swojemu Stwórcy i Zbawicielowi, zachowując przy tym całą swoją wolność, czyni to jednak, bo w jej sercu odzywa się świadectwo Ducha Świętego, że Bogu można zawierzyć.

Tematowi wiary poświęciliśmy aż trzy katechezy naszego cyklu radiowego. Wymagało tego fundamentalne i niczym nie zastąpione znaczenie wiary w procesie naszego usprawiedliwienia. Nikt nie może przestać być „człowiekiem starym, według ciała”, by zacząć istnieć i rozwijać się jako chrześcijanin, „człowiek nowy, według Ducha”, jeśli go Bóg na nowo nie stworzy, nie odrodzi, nie przywróci do życia razem ze zmartwychwstałym Jezusem. By to wszystko jednak mogło się w nas za

sprawą Boga wydarzyć, musimy uwierzyć. Od tego wszystko się zaczyna, na tym wszystko inne się buduje. Z wiary, jak owoce z drzewa, wyrosną uczynki stanowiące specyfikę życia chrześcijańskiego.

4 września 1984 r.

### **Wzrastanie w wierze.**

Jeżeli wiara jest pierwszym i podstawowym warunkiem, by mogło się w nas rozpocząć i dalej rozwijać życie Boże udzielane nam w sakramencie chrztu, to staje się w pełni jasne, dlaczego chrześcijaństwo przynosi ludzkości naprawdę Dobrą i Błogosławną Nowinę. Każdy bowiem człowiek, choćby nie wiem jak nisko upadł, choćby nie wiadomo jak straszną historię miał za sobą, choćby nie wiem jak był słaby psychicznie i bezwolny — dowiadyuje się z niej, że Bóg nim nie gardzi, że go kocha i że dlatego posłał na świat swego Syna, który stawszy się człowiekiem umarł i zmartwychwstał dla niego, że Jezus zmartwychwstały przebacza mu grzechy i ma moc dać mu nowe, szczęśliwe życie, które zaczyna się już na tej ziemi i trwa dalej po drugiej stronie grobu. Bóg nie wymaga przy tym żadnych warunków w postaci nie wiadomo jakich wyczynów moralnych; żąda jedynie wiary. Dlatego nieprawdą jest to, co się nieraz słyszy, że chrześcijaństwo jest religią trudną, zwracającą się do ludzi silnych, z wyrobionym kośćcem moralnym. Wprost przeciwnie, jego pierwszymi i uprzywilejowanymi adresatami są wszelkiego rodzaju rozbitkowie życiowi — ludzie zniszczeni nałogami, osoby bez charakteru i silnej woli, zrujnowane psychicznie. Nie są oni może zdolni do życia moralnego, są jednak zawsze w stanie uwierzyć. I to wystarcza, by spoczęło na nich spojrzenie Boga, pełne miłości i aprobaty. Później, powoli Bóg odbuduje w nich także życie i postępowanie godne człowieka i godne dziecka Bożego.

Po tej wstępnej refleksji, zaokrąglającej nasze poprzednie rozważania, przejdźmy do właściwego tematu dzisiejszej katechezy. Zawiera się on w następującym pytaniu: Co trzeba robić, żeby wiara zaczęła zmieniać nasze myślenie i postępowanie? No, bo jakoś trudno jest uwierzyć, by jedno wypływało z drugiego mechanicznie; doświadczenie przynajmniej tego nie potwierdza. Całkiem słusznie: wiara istotnie nie jest sprawą jednej chwili, ona wymaga długiego czasu na swoje dojrzewanie, wymaga też odpowiednich warunków, tzn. odpowiedniego typu duszpasterstwa,



by mogła się rozwijać aż do momentu, w którym wydawać będzie owoce dojrzałego życia chrześcijańskiego. To spostrzeżenie doprowadziło do utworzenia w pierwotnym chrześcijaństwie instytucji katechumenatu. Była to specjalna i bardzo intensywna praktyka duszpasterska, którą Kościół pierwszych wieków stosował wobec tych dorosłych osób, które, pociągnięte chrześcijaństwem, zapragnęły stać się jego wyznawcami przez przyjęcie chrztu. Celem katechumenatu było właśnie to, co nas w tej chwili interesuje: uczyć człowieka wierzyć, rozwijać jego wiarę aż do jej dojrzałych wymiarów. Kandydatów do chrztu nie tylko instruowano, w co powinni intelektualnie wierzyć, stwarzano im ponadto warunki, by mogli także zmienić mentalność, by ich życie uległo nawróceniu, żeby z „ludzi według ciała” stali się „ludźmi według Ducha”.

Środki, jakimi się w tym celu posługiwano, były niezwykle proste, ale i skuteczne. Myślę, że będzie i dla nas pożyteczne przyjrzeć im się nieco bardziej z bliska.

1. Punktem wyjścia duszpasterstwa katechumenalnego była początkowa ewangelizacja, w której kandydatom do chrztu głoszone tzw. kerygmat, czyli najbardziej podstawowe prawdy wiary, nazywane przez współczesną teologię misterium paschalnym — tajemnicą śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Na tle tragicznej sytuacji wewnętrznej człowieka spowodowanej jego odejściem od Boga, na tle jego bezsilności, by samemu wyjść z niewoli grzechu i egoizmu, przepowiadano Dobrą Nowinę Jezusa: że Bóg nie pozostał obojętny na ludzkie cierpienie, że w śmierci i zmartwychwstaniu swego Syna, Jezusa Chrystusa, przewidział ratunek; że podaje człowiekowi, nic od niego w zamian nie żądając, pomocną dłoń; że mu przebacza grzechy i gotów jest go uzdolnić i odrodzić do nowego życia w miłości. Przepowiadanie to zmierzało do obudzenia w sercu słuchacza wiary oraz pragnienia, by ta możliwość zbawienia, istniejąca w Jezusie Chrystusie, stała się rzeczywistością. Z tymi, którzy uwierzyli, didaskalowie, czyli katechiści Kościoła, rozpoczynali długoletnią „szkołę nawrócenia”, w której ziarno wiary zrodzonej słuchaniem Ewangelii będzie dojrzewało.

2. Najważniejszym narzędziem tego dojrzewania było słowo Boże, zawarte w Piśmie Świętym. Posługiwanie się tym środkiem podyktowane było przekonaniem, które Kościół przejął od Izraela, że Biblia przekazuje nam niezafałszowaną myśl Boga o drogach naszego zbawienia i zawiera w sobie samą obecność Boga, który swoim słowem demaskuje

i rozbija złoza naszego egoizmu i buduje w nas powoli zręby chrześcijańskiego życia. Dzięki słowu Bożemu katechumeni zaczęli powoli doświadczać mocy Boga żywego, Jego miłości, a także tej pełni i tego szczęścia, które z Boga płyną. Katecheza kościelna, która wyjaśniała i aktualizowała słowo Boże, posługiwała się chętnie i obficie Starym Testamentem. Nic bowiem nie wydawało się Kościołowi bardziej przydatnym do formowania katechumenów w wierze, jak podpatrywanie metod którymi sam Bóg się posługiwał, gdy z Izraelem współtworzył swój dziejowy, przeszło tysiąc lat trwający katechumenat, mający go przygotować na przyjście Jezusa.

3. Drugim elementem inicjacji katechumenalnej była sama liturgia chrzcielna. Sakramentu chrztu nie udzielano dawniej w ciągu piętnastu minut, jak to się dzisiaj dzieje. Jego rytury były dokonywane partiami i rozkładane na wiele lat. Co jakiś czas zbierano katechumenów na tzw. liturgie skrutiniów i egzorcyzmów, w trakcie których weryfikowano ich postępy w wierze oraz udzielano im mocy Chrystusa, by mogli sprostać wymaganiom, które stopniowo przed nimi stawiano. Kościół bowiem nigdy nie posługiwał się w swojej formacji chrzcielnej tanim moralizowaniem. Ideał życia chrześcijańskiego odślaniano katechumenom powoli i etapami, jego zaś realizacji domagano się dopiero wtedy, gdy widziano, że są oni w stanie według niego żyć i gdy przedtem zostali wzmocnieni i uzdolnieni do tego egzorcyzmami, które osłabiały wpływ szatana na ich życie.

4. Istniał jeszcze jeden ważny czynnik, od którego w dużej mierze zależała skuteczność katechumenalnej „szkoły wiary”. Było nim życie wspólnotowe. Unikano przygotowywania osób dorosłych do chrztu w pojedynkę; gdy tylko to było możliwe, łączono ich w stosunkowo nieliczne grupy; dbano także o stały ich kontakt ze wspólnotą już ochrzczonych chrześcijan, do której katechumeni mieli w przyszłości wejść. Ta wspólnotowa struktura pierwotnego katechumenatu miała swoją głęboką bazę teologiczną w samej istocie chrześcijańskiej soteriologii i eklezjologii. Zbawienie, którego Chrystus dokonał, polega bowiem na zjednoczeniu rozproszonych, egoizmem od siebie oddzielonych ludzi w jedną kochającą się rodzinę dzieci Bożych (zob. J 11,52). Tą rodziną jest właśnie Kościół. Dlatego było niezwykle ważne, by katechumeni widzieli na własne oczy ten cud zrealizowany już we wspólnocie parafialnej, do której przez chrzest mieli być wprowadzeni, oraz by doświadczyli, jak z nich samych, ludzi przedtem się nie

znających, podzielonych barierami wieku, płci, wykształcenia, odmiennego statusu społecznego itd., moc Chrystusa tworzy powoli wspólnotę — rodzinę.

Tak wyglądała w swoich najbardziej ogólnych zarysach starochrześcijańska „szkoła wiary”, która formowała wyznawców Chrystusa godnych tego imienia. Czy jest możliwe, by stała się ona znowu inspiracją dla naszego współczesnego duszpasterstwa parafialnego?

6 września 1984 r.

### **Pascha Pana sercem chrześcijaństwa.\***

Dzisiejsza noc zwana jest w języku polskim Wielką Nocą. W wielu krajach określa się ją mianem Nocy Paschalnej lub po prostu Paschą. Chrześcijanie od początku nazywają tę noc uroczystością nad uroczystościami, świętem nad świętami, świętem pierwszym i najważniejszym, do którego zmiierają wszystkie inne święta lub z którego one wypływają. Ta noc świąteczna jest tak ważna, że gdyby ją usunąć z kalendarza liturgicznego, chrześcijaństwo utraciłoby swoje serce, swój najgłębszy sens, przestałoby być tym, czym jest.

Orędzie chrześcijańskie głosi bowiem następującą fundamentalną wieść: w zmartwychwstaniu Jezusa śmierć została pokonana, ciemność rozproszona, zło i grzech utraciły swoją władzę nad człowiekiem. Życie, światłość, miłość mają przed sobą przyszłość, więcej jeszcze, mają zapewnione ostateczne zwycięstwo. Przejście ze śmierci do życia, z ciemności do światła, od zła i grzechu do miłości jest właśnie najgłębszą treścią święta Paschy, Wielkiej Nocy.

U wielu ludzi potoczne rozumienie dzisiejszego święta jest bardzo ubogie i niewystarczające. Co oznacza bowiem dla nich zmartwychwstanie Jezusa? W praktyce tylko to, że jak Jezus zmartwychwstał, tak i my kiedyś, po naszej śmierci, zmartwychwstanimy. Z tej prawdy jednak niewielka dla nas płynie pociecha. Życie pozagrobowe na razie nie bardzo nas fascynuje, a w tym życiu, które teraz mamy, nic istotnego się przecież nie zmienia, obojętnie czy Chrystus zmartwychwstał, czy nie.

Św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian mówi, że gdybyśmy tylko w tym życiu pokładali nadzieję w Chrystusie, odrzucając prawdę o zmartwychwstaniu ciał, bylibyśmy najbardziej pożałowania godni między ludźmi (zob. 1 Kor 15–19). To prawda! Ale to powiedzenie można by też odwrócić: gdybyśmy wierzyli tylko w szczęście pozaziemskie, nie doświadczając już tu i teraz żadnego zmartwychwstania, bylibyśmy tak samo pożałowania godni.

Zmartwychwstanie Jezusa jest także ważne dla naszej doczesności. Nasze życie bowiem na tej ziemi jest napiętnowane śmiercią. A jest nią napiętnowane nie tylko w tym sensie, że wszyscy zmierzamy nieuchronnie do śmierci fizycznej, właściwie to rodzimy się po to, by umrzeć, ale jakaś inna, głębsza jeszcze śmierć (moglibyśmy ją nazwać śmiercią ducha) zżera już teraz szczęście naszej teraźniejszej egzystencji. Mówimy np. często: „Prześladuje mnie pech, ktoś lub coś krzyżuje wszystkie moje plany”; właściwie to całe życie spędzamy nieraz na walce o realizację swoich projektów życiowych lub na lamentowaniu i szemraniu, że się nie spełniły; pragniemy być kochani, ale szybko przekonujemy się, że na czyjaś miłość i życzliwość najczęściej musimy ciężko pracować; pragniemy kochać, lecz prędko stwierdzamy, że udaje nam się to tylko po części; wnet nadchodzi moment, w którym obrona naszych, przecież słusznych, interesów bierze górę nad miłością. W ostatecznym rozrachunku żyjemy w niezadowoleniu, rozgoryczeniu i smutku; wielu z nas, gdy zaczyna się starzeć, stwierdza, że życie zeszło nam na niczym, że było i jest ono puste. Oto niektóre objawy owej śmierci ducha!

Zmartwychwstanie Jezusa oznacza również możliwość wyjścia z tej innej, na co dzień przeżywanej śmierci. Jej przyczyną nie jest bowiem żadna zewnętrzna sytuacja przebiegająca nie po naszej myśli. Nasz brak szczęścia na tej ziemi i niezadowolenie z życia, które nam wszystkim w większym lub mniejszym stopniu towarzyszy, mają swoje źródło w głębokim i śmiertcionym zakłóceniu, które w nas powoduje grzech. Odziera on nas z pewności, że Bóg nas kocha, że kocha nas jako grzeszników, kocha nas również i najbardziej wtedy, gdy dopuszcza na nas krzyże i cierpienie. Grzech zagłusza w nas poczucie, że do życia i szczęścia wystarczy nam Bóg, i wprowadza w nas kłamliwe i fałszywe przekonanie, że aby być szczęśliwymi, potrzebujemy przede wszystkim pieniędzy, dobrobytu, zdrowia, pozycji, ludzkiego szacunku i miłości. Bóg, jeżeli w Niego wierzymy, służy nam głównie do tego, by nam

zapewnić te dobra, będące w naszym mniemaniu fundamentem naszego dobrego samopoczucia.

Jezus Chrystus był jedynym, który, nie w duchu rezygnacji, ale dobrowolnie, z miłością zaakceptował przegraną życiową, śmierć na krzyżu, niezrozumienie i odrzucenie przez zaślepioną i zatwardziałą w grzechu ludzkość. On jeden nie zwątpił, że kielich goryczy, który przyszło Mu pić w dniach Jego męki, pochodzi z woli Ojca, a więc z Jego miłości, jest dla Jego dobra i dla naszego dobra. I Bóg Go nie zawiódł i nie opuścił w śmierci. Śmierć fizyczna była dla Jezusa przejściem do nowego życia po prawicy Ojca. Bóg wskrzesił z martwych Jezusa—człowieka. Oto zmartwychwstanie Pana. Wieść dla nas wszystkich naprawdę radosna. Bo tak jak Jezus Chrystus zmartwychwstał i żyje w chwale Ojca, w Jego miłości, tak i my już teraz, już tutaj, na tej ziemi, możemy doświadczyć pierwocin tego życia, które On w pełni posiada. Świat wokół nas może zostać taki, jaki jest, niesprawiedliwy i okrutny, życie nasze na zewnątrz nie musi się wcale zmieniać na lepsze a jednak może nas ogarnąć całkowita nowość. Jezus zmartwychwstały może dać nam nowe oczy na świat, które nareszcie dostrzegać będą wszędzie, nawet w krzyżu, Boga i Jego miłość do nas; Jezus może dać nam nowe serce, które zdolne będzie kochać, nawet wtedy, gdy nie ma wzajemności, nawet wtedy, gdy tak jak Jego serce przebite będzie bólem niezrozumienia i wzgardy. Jezus zmartwychwstały może żyć w nas, może kochać w nas wszystkich ludzi, nawet wrogów, a to oznacza dla nas wrócić do swoich początków, wrócić do pierwotnej myśli Boga o człowieku, wrócić do raj, czyli do tego szczęścia, dla którego zostaliśmy stworzeni.

Zmartwychwstanie Pana! Wieść dla nas wszystkich radosna jeszcze z innego powodu. Ta nowa egzystencja w Jezusie Chrystusie jest nam ofiarowana przez Boga gratis. Dokonuje się ona w nas nie naszą mocą i wysiłkiem, ale działaniem Ducha Świętego, którego zmartwychwstały Pan zsyła na tych, którzy w Niego wierzą. Tak! Bo wiara w to, że Bóg kocha nas, grzeszników, że w śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa niszczy nasze grzechy i stwarza w nas zdolność życia w miłości, jest pierwszym i podstawowym warunkiem, by mogło się w nas rozpocząć chrześcijańskie życie. W wierze dokonuje się nasze otwarcie na Boga, który nareszcie może w nas znowu działać, okazując nam swoją całkowicie darmową, niczym przez nas nie zasłużoną miłość.

Cała dzisiejsza Noc Zmartwychwstania była niegdyś w pierwotnym chrześcijaństwie czasem, którego nie przesypano, w który wszyscy wierzący czuwali. Oblubienica Chrystusa, Kościół Święty, z miłością oczekiwał blasku dnia niedzielnego, ósmego dnia — jak go nazywano — dnia będącego znakiem dnia wieczności, którą Chrystus zainauguruje swoim powtórным przyjsciem. Jeszcze w mroku, ale już rozjaśnionym blaskiem świecy paschalnej, która jest symbolem Chrystusa zmartwychwstałego, chrześcijanie pierwszych wieków medytowali proctwa Starego Testamentu, a potem przeżywali zmartwychwstanie Jezusa i swoje z Nim współzmartwychwstanie w sakramencie chrztu (lub w odnowieniu jego przyrzeczeń) oraz w uroczystej Eucharystii. W ten sposób czerpali z obchodu tej naprawdę Wielkiej Nocy siłę do chrześcijańskiego życia. Mocą tej wspaniałej liturgii żyli oni przez cały rok, podtrzymując i przedłużając jej życiodajne działanie coniedzielną Eucharystią, która była dla nich Wielką Nocą w miniaturze.

Na zakończenie tych rozważań ciśnie się na usta prośba do Boga, by i katolicy naszych czasów odkryli jak najprędzej pełnię i piękno tego życia, którego Jezus zmartwychwstały jest źródłem. A wtedy pojawi się również w nas pragnienie i potrzeba czuwania w tę noc, tak jak to robili pierwsi chrześcijanie.

21 kwietnia 1984 r.

*\* Ta homilia nie wchodziła w skład cyklu „Chrześcijaństwo ponownie odkrywane”. Przygotowana została specjalnie do audycji w Wielką Sobotę. W niniejszej edycji dołączono ją do tego cyklu, bo stanowi jakby jego zwieńczenie i klamrę*

## Rozdział 6.

### HOMILIE

#### Odrzućcie głupotę, a będziecie żyli.

Prz 9,1-6

Ef 5,15-20

J 6,51-58

Dzisiejsze lektury, podobnie zresztą jak lektury poprzednich trzech niedziel, stawiają nam przed oczy Eucharystię — ten tak dobrze nam wszystkim znany sakrament. To, co dzisiaj nam o nim powiedziało słowo Boże, jest dość dziwne: Eucharystia jest lekarstwem na ludzką głupotę. Mądrość, która, jak to słyszeliśmy w pierwszym czytaniu, zastawia swój stół i zaprasza nas do spożywania chleba i wina, jest starotestamentową zapowiedzią Jezusa i Jego Królestwa. Eucharystia, która właśnie jest kwintesencją tego Królestwa, doskonale pasuje do tego obrazu uczyty z pierwszej lektury. Dlatego nic dziwnego, że Kościół go dzisiaj użył, by nam Eucharystię przybliżyć. Gospodarz uczyty eucharystycznej, Jezus Chrystus, jest wcieloną Mądrością, która podając nam swoje dary mówi: *Odrzućcie głupotę i życie; chodźcie drogą rozwagi* (Prz 9,6). Tak samo św. Paweł w drugim czytaniu: *Bacście więc pilnie, jak postępujecie: nie jako niemądrzy, ale jako mądrzy. Wyzyskujcie chwilę sposobną, bo dni są złe. Nie bądźcie przeto nierozsądni...* (Ef 5,15-17).

O jaką tu głupotę chodzi? Czy o tę, którą tak łatwo dostrzegamy w drugich, a która polega na braku ludzkiego sprytu, nieumiejętności przewidywania, na zdolności psucia dobrej dla siebie koniunktury? Bynajmniej! Tu mowa jest o głupocie o wiele głębszej, w której się w większym lub mniejszym stopniu wyróżniamy wszyscy. Ale w tym miejscu dotykamy już sprawy bardzo zasadniczej. Istnieją mianowicie

dwa sposoby życia: pierwszy sposób urzeczywistnił się w Jezusie Chrystusie i tylko w Nim; drugim żyjemy my wszyscy. Jezusowy sposób życia doskonale odzwierciedla Eucharystia. W dzisiejszej Ewangelii słyszeliśmy: *Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata* (J 6,51). Egzystencja Jezusa jest egzystencją (życiem) dla innych. On ich kocha, On w tej miłości nie zna żadnych granic: nie tylko za nich umiera (bo to i ludzie potrafią zrobić), ale ci, za których umiera, są Jego wrogami, oni posłali Go na krzyż, w której to zbrodni my wszyscy mamy równy udział. Jezus nas takich kocha bez żadnych „ale”, bez żadnych „o ile...” Do Eucharystii Jezus użył chleba, i ten chleb, który stał się Ciałem Pańskim, w czasie mszy łamiemy. Wymowny gest: on symbolizuje życie Jezusa, które zostało w męce i na krzyżu złamane po to, abyśmy my mogli żyć. I my przyjmując to Ciało w komunii świętej, mówimy: „Amen”. Co oznacza „Amen”? To jest słowo hebrajskie, które wyraża zgodę: Tak jest. Zgadzam się. Niech tak będzie. Mówiąc: „Amen” przy komunii oświadczamy niejako, że Jezus miał rację, że Jego życie dla innych jest prawdą, jedyną prawdą, że to jedyna mądrość życiowa, że wszystko inne jest fałszem i grzechem; wszystko inne jest życiem głupim i zmarnowanym.

Właśnie takim jest nasze życie, życiem głupim i zmarnowanym, o ile go nie zbawi, tzn. nie przemieni swoją mocą Jezus Chrystus. Zastanówmy się dzisiaj w świetle przed chwilą usłyszanego słowa Bożego, zastanówmy się my, chrześcijanie starej daty, czy nasze życie zostało uratowane przez Jezusa Chrystusa, uratowane już tutaj na tej ziemi, uratowane konkretnie, nie tylko w teorii. Kryterium, by to rozpoznać, jest jedno: czy nasze życie jest życiem też dla innych, ale tak po Jezusowemu, tzn. bez granic, kochając ich nawet wtedy, gdy ci inni objawiają się nam jako niszczyciele naszego życia i naszego szczęścia, gdy oni rozciągają nas na krzyżu. Jakże trudno w naszym życiu dopatrzeć się śladów takiej miłości! Jakże często nasza miłość urywa się tam, gdzie jej konsekwencją jest umieranie na co dzień w najrozmaitszej postaci: utraty rzeczy materialnych, czasu, prestiżu albo gdy naruszane są nasze święte prawa! Jakże często się zdarza, że temu niedostatkowi miłości towarzyszy silne przekonanie, że tak jest przecież w porządku, że trzeba się w życiu rozpychać łokciami, że trzeba niesforenemu bliźniemu dać porządną nauczkę, żeby się nauczył nas na przyszłość respektować itd. Obok tych pytań dotyczących miłości postawmy sobie jeszcze inne pytanie, też bardzo ważne: Od czego zależy moje szczęście? Czy jestem przekonany, że może mi je dać tylko Bóg? Czy też raczej myślę o tej



najważniejszej mojej sprawie tak, jak potocznie myślą wszyscy ludzie: że moje życie i szczęście zależy od tego, ile mam pieniędzy, zdrowia, uznania u innych? Za takimi poglądami idą oczywiście fakty: postawienie siebie w środku i ustawiczne zabieganie o to wszystko, by nakarmić swoje własne „ja”. W ten sposób dokonuje się w rzeczywistości marnowanie własnego życia, to jest ta głupota, o której mówią dzisiejsze czytania. Możemy nigdy nie pomyśleli, że przystępowanie do komunii świętej i życie według potocznych założeń świata nawzajem się wykluczają. Jeżeli nas ta myśl wprowadza w pesymizm, jeżeli stwierdzamy, że wobec tego chrześcijaństwo jest za trudne, to pamiętajmy o jeszcze innej ważnej sprawie: Eucharystia jest szkołą tego Jezusowego sposobu życia, jest źródłem mocy i siły, bez której takie życie jest niemożliwe. Nie zostawiajmy na boku tego źródła.

Amen.

19 sierpnia 1979 r.

## **Ja jestem Dobrym Pasterzem.**

Dz 4,8-12

1 J 3,1-2

J 10,11-18

Jezus Chrystus, Dobry Pasterz swojego Kościoła i całej ludzkości, wypowiedział w dzisiejszej Ewangelii między innymi takie słowa: *Mam inne jeszcze owce, które nie są z tej owczarni; także i te muszą przyprowadzić: będą słuchały mego głosu, i nastanie jedna owczarnia i jeden pasterz* (por. J 10,16). Na ogół myślimy tak: owczarnią Chrystusa jesteśmy my, wierni Kościoła katolickiego, owcami, które jeszcze nie są z tej owczarni, są ludzie należący do innych wyznań lub religii, lub niewierzący, słowem ludzie spoza Kościoła. Pomińmy kwestię słuszności takiego podziału. Myślę, że Bóg poprzez dzisiejsze czytania stawia nam inne pytanie, a mianowicie: Czy ty, który uczestniczysz w tej Eucharystii, bezpośrednio czy poprzez radio, należysz naprawdę, wewnątrznie, do owiec

Chrystusa? Podobne pytanie nasuwa nam drugie czytanie, które mówiło: *Popatrzcie, jak wielką miłość okazał nam Ojciec! Zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi i naprawdę nimi jesteśmy* (por. 1 J 3,1). Pytanie, które Pan dziś stawia mnie i wam, brzmi: Czy naprawdę jesteście dzieckiem Bożym?

Być rzeczywiście dzieckiem Bożym, być naprawdę z owczarni Chrystusowej, nie oznacza tylko być ochrzczonym, być praktykującym, być uczciwym i przyzwoitym człowiekiem. Ewangelia z dnia dzisiejszego stawia inne kryterium. Jezus mówi: *Znam moje owce i one znają mnie* (por. J 10,14). Wzajemna znajomość: Jezus zna mnie, ja znam Jezusa — oto prawdziwe kryterium! A na czym polega znajomość Chrystusa? To nie jest wiedza o Chrystusie, wiedza katechizmowa czy nawet pogłębiona wiedza kogoś, kto przestudiował całą teologię. Znać Chrystusa oznacza doświadczyć we własnym życiu, na własnej skórze, Jego obecności, Jego działania, Jego miłości. Znać Chrystusa oznacza odkryć i siłą spontanicznej miłości przyswoić sobie Jego sposób myślenia i reagowania, mieć w sobie Jego mentalność i orientację życiową, tę orientację, która w ostatecznym rozrachunku jest miłością. O tej miłości mówi dzisiaj Jezus: *Oddaję życie moje za owce... Nikt mi nie zabiera mojego życia, a ja sam ze siebie je ofiaruję... Takie polecenie otrzymałem od mojego Ojca!* (por. J 10,15.17n). Tu mamy kryterium prawdziwej przynależności do owiec Chrystusa: tym kryterium jest krzyż, dobrowolne przyjmowanie go, gdy nam go stawia historia przed oczyma; krzyż, który stoi przed tobą w postaci twojego męża czy żony, którzy swoimi postawami ranią cię i uniemożliwiają ci szczęśliwe życie; krzyż, którym może jest ciasne mieszkanie, koszmar codziennego życia z dławiącym pytaniem: Co będzie dalej, co nas czeka w przyszłości? itd. Zna Chrystusa ten, kto wierzy, że nie beznadziejne szamotanie się, by strząsnąć ze swych ramion krzyż, ale właśnie jego dobrowolna akceptacja jest paradoksalną drogą do wewnętrznej wolności, do odnalezienia sensu we wszystkich wydarzeniach naszego życia, do odnalezienia siebie i swojego szczęścia. Do podobnych wniosków dojdziemy, gdy rozejrzemy się za kryterium, które decyduje o tym, czy jesteśmy naprawdę, czy tylko z imienia dziećmi Bożymi. Św. Paweł w Liście do Rzymian mówi tak: *Wszyscy ci, którzy dają się prowadzić Duchowi Bożemu, ci są synami Bożymi* (por. Rz 8,14), i na innym miejscu w tym samym Liście: *Jeśli ktoś nie ma Ducha Chrystusowego, nie należy do Niego* (por. Rz 8,9). A jaki to jest ten Duch Chrystusa? Czym się różni do ducha świata? Duch Chrystusa to nieszukanie pierwszych miejsc, nieszukanie życia i zabezpieczenia w pieniądzu, nieszukanie poklasku i ludzkiego uznania; Duch Chrystusa to pokora, niesądzenie i nie-

potępienie innych, nieuważanie siebie za lepszego od nikogo, nieudowadnianie wszystkim naokoło, kim to ja jestem; Duch Chrystusa to niebronienie swoich praw, nawet tych słusznych i świętych, tak jak Jezus nie bronił swojego prawa do życia, tylko pozwolił się rozpiąć na krzyżu. Duch Chrystusa to ustępowanie, zdolność przepraszenia, zdolność wybaczenia i niepamiętania; Duch Chrystusa to miłość do nieprzyjaciela, kimkolwiek by on był: twoim dzieckiem, twoją teściową, twoim kolegą w pracy, tym, który ukradł mi spadek, moim przeciwnikiem politycznym, tym, który sprawuje nade mną władzę. Miłość do tych wszystkich to jest Duch Chrystusa i kto takiego Ducha ma w sobie, ten jest dzieckiem Bożym naprawdę, w nim Bóg rozpoznaje siebie samego, swoją naturę, swój sposób myślenia.

Postawmy sobie teraz w świetle tego wszystkiego jeszcze raz pytanie: Czy rzeczywiście należę do owiec Chrystusa, czy rzeczywiście jestem dzieckiem Bożym? Może wielu, bardzo wielu z nas, jeżeli otrzyma światło Boże, by zobaczyć siebie w prawdzie, będzie musiało przyznać, że nasze serce jest dalekie od Pana, że mamy w sobie ducha świata, że jesteśmy jak ci budowniczości z psalmu cytowanego przez dzisiejsze pierwsze czytanie, którzy wznoszą gmach swojego życia i szczęścia odrzucając ze wzgardą i obrzydzeniem jedyny budulec, który w oczach Bożych ma wartość i jest kamieniem węgielnym (zob. Ps 118/117/, 22; Dz 4,11) — odrzucając Chrystusa, Jego krzyż, Jego Ewangelię, której nie znamy, nie rozumiemy, którą skracamy i przystosowujemy do naszej własnej małości? Jeżeli to w sobie widzimy i do tego się przyznajemy, błogosławieni jesteśmy! Bo to jest pierwszy krok do nawrócenia, to jest zobaczenie siebie w osobie owego paralityka, który jest nieszczęśliwy, nie może chodzić, żebrze przed bramą świątyni, ale którego Piotr i Jan w imię Jezusa uzdrowili. To właśnie o tym paralityku Piotr w dzisiejszym pierwszym czytaniu mówi: *...niech będzie wam i całemu ludowi izraelskiemu wiadome: w imię Jezusa z Nazaretu, którego wysięcie ukrzyżowali, a którego Bóg wskrzesił z martwych, ten tu człowiek stoi przed wami uleczony i zdrowy* (por. Dz 4,10). I w tym jest również dobra, wspaniała wiadomość dla nas! Jeżeli pragniemy się nawrócić, być naprawdę, duchem, w owczarni Chrystusowej, być rzeczywiście dzieckiem Boga, to oto droga, a nie nasz wysiłek i starania, by „nabyć” Ducha Jezusowego. Doświadczenie nam mówi, że to nam niewiele przynosi; i Bóg sam nam dziś powiedział w swoim słowie. W niczym innym nie ma zbawienia, tylko w Jezusie Chrystusie. Ducha Bożego się nie „nabywa”, otrzymuje się go w darze. Oto więc nasza droga nawrócenia:

Jezus Chrystus, wiara w Niego, wiara, że w Jego logice i w Jego miłości jest racja; wiara, że On, nasz zmartwychwstały i żywy Pan, ma moc nad nami, nad naszą ślepotą, słabą wolą, lenistwem; wiara, że jedynie On może nas darmo wyciągnąć z naszego egoizmu. W nikim innym nie ma zbawienia: *nie istnieje bowiem pod niebem żadne inne imię dane ludziom, w którym moglibyśmy być zbawieni* (por. Dz 4,12).

Amen.

2 maja 1982 r.

### **Uwierzmy w imię Jezusa i miłujmy się wzajemnie.**

Dz 9, 26-31

1J 3,18-24

J 15,1-8

*Kościół cieszył się pokojem w całej Judei, Galilei i Samarii. Rozwijał się i żył w bojaźni Pana, pełen pociechy Ducha Świętego* (por. Dz 9,31). Te słowa z dzisiejszej pierwszej lektury biblijnej przedstawiają nam obraz spokojnego i wzorowego życia Kościoła w pierwszych latach po wniebowstąpieniu Jezusa. Widzieliśmy także jeden konkretny epizod z jego najwcześniejszej historii — wspólnota uczniów Jezusa akceptuje świeżo nawróconego Pawła. Zwróćmy uwagę na dwie sprawy: z jednej strony mówi się o tamtych chrześcijanach, że żyją w pokoju i w bojaźni Bożej, tzn. bez grzechu, lub jeszcze inaczej: według zasad Ewangelii, z drugiej strony Duch Święty napełnia ich pociechą, a osoba Pawła, do niedawna zajadłego wroga nowej religii, jest dla wszystkich namacalnym dowodem tego, że Jezus Chrystus naprawdę zmartwychwstał, że jest obecny w swoim Kościele, że coś w nim robi, że ma ogromną moc, skoro poradził sobie z tak wielkim grzesznikiem jak Paweł. Łatwiej jest nawrócić pospolitego mordercę czy prostytutkę, bo ci przynajmniej widzą swój grzech i to, jak on im życie rujnuje. Bardzo trudno jest nawrócić faryzeusza, tj. człowieka na pozór pobożnego, przyzwoitego, który jest przekonany o swojej świętej racji i nie widzi, że swoją postawą też się wokół spustoszenie i że cała jego pobożność nie ma nic wspólnego z prawdziwym Bogiem. Paweł był właśnie tego typu grzesznikiem,

a jednak Jezus był mocniejszy niż jego zaciętrzewienie i fałszywa religijność. Kościół pierwotny w jego nawróceniu doświadczył obecności Jezusa i Jego mocy.

Słowo Boże zaprasza nas, byśmy porównali nasze życie wewnętrzne z tym życiem, o którym mówią nam dzisiejsze czytania. Niezmiernie często życie chrześcijańskie wydaje się nam bardzo uciążliwe. Zapytani, jak przeżywamy nasze chrześcijaństwo, musielibyśmy może odpowiedzieć, że jest ono dla nas jednym wielkim bagażem do dźwigania, prawem, zbiorem przepisów, zakazów, które komplikują życie, gdy ktoś chce je na serio zachować, albo są tak nierealne i nieżyciowe, że poddajemy się z góry, mówiąc: „życie jest życiem, bez zrobienia czegoś na lewo, bez drobnych oszustw trudno iść naprzód, Ewangelii nie da się w całości zachować”. Nasze życie religijne jest szare, nie ma w nim śladu owej pociechy Ducha Świętego, o której mówią dziś Dzieje Apostolskie, Bóg wydaje nam się odległy i nieobecny, Jego działania i potęgi w praktyce nigdzie nie widzimy. Moje życie chrześcijańskie to w praktyce ja sam, mój wysiłek, moje starania; moja dobra wola i praca nad sobą z odrobiną modlitwy, by jakoś utrzymać się choćby na miernym poziomie.

Gdy porównamy te nasze odczucia z tym, co mówi dzisiejsze słowo Boże, stwierdzimy, być może, że to, co znamy z naszego doświadczenia, jest, owszem, jakąś religijnością, ale w mniejszym stopniu chrześcijaństwem, niewiele ma z nim wspólnego. Prawdziwe życie chrześcijańskie to to, o czym mówi Ewangelia, którą przed chwilą słyszeliśmy. My jesteśmy latoroślami. Ale latorośle nie czerpią życia same z siebie, one stanowią jedno z krzewem winnym. Naszym krzewem winnym jest Jezus Chrystus zmartwychwstały. Ten obraz sugeruje coś więcej niż tylko to, że o Jezusie coś wiemy, że czasem się do Niego pomodlimy, o Nim pomyślimy. Jezusa można doświadczyć egzystencjalnie, z Jezusem jest możliwa taka więź, jak między dzieckiem i jego rodzicami, jak między małżonkami, jak między przyjaciółmi. Wiemy dobrze, że w tych przykładach nie chodzi tylko o więzi emocjonalne czy sentymentalizmy. Miłość rodzicielska, miłość małżeńska, miłość przyjaźni — o ile są przeżywane normalnie i bez zakłóceń — to potężna siła życiowa, uzdalniająca do ofiar i trudów, tak że ich nie odczuwamy; to potężne przywiązanie do drugiej osoby, tak że jej sprawy są naszymi sprawami i przejmujemy się nimi, jakby to były nasze własne problemy. To wszystko jest tylko słabym obrazem tego, czym mogłaby się stać nasza

wież z Chrystusem. Jeżeli bazą naszego życia chrześcijańskiego jest takie właśnie doświadczenie Chrystusa, wszystko się zmienia: asymilujemy powoli nową mentalność; otrzymujemy nowe oczy, które inaczej patrzą na świat i na życie, inaczej oceniają jego zjawiska; zostaje dane nam nowe serce, które nie sądzi i nie potępia innych, które zdolne jest kochać nie tylko słowem i językiem, ale czynem i prawdą (1J 3,18). Pojawia się głęboki pokój wewnętrzny, który nie znika, gdy wszystko nam się w życiu płącze i krzyżuje, gdy spotykają nas głębokie zawody i rozczarowania. A wszystko to, choć kosztuje, jest spontaniczne, naturalne, bo wypływa z nowego, rzeczywistego życia, które jest w nas. Skąd się to wszystko bierze? Stąd, że jak mówi św. Paweł, życie w wierze jest w ostatecznym rozrachunku życiem samego Jezusa w nas. *Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus* (Ga 2,20). To już nie tyle ja, to On we mnie kocha, to On we mnie nie ucieka przed krzyżem, to On we mnie podporządkowuje się prawu Bożemu. W ten sposób życie chrześcijańskie staje się proste i oczywiste.

Może przychodzi komuś z nas w tej chwili myśl do głowy: Chciałbym tak żyć, ale jak do tego dojść? I na to dają nam odpowiedź dzisiejsze czytania. W Liście św. Jana słyszeliśmy: A przykazanie Jego zaś jest takie: abyśmy wierzyli w imię Jego Syna, Jezusa Chrystusa, i miłowali się wzajemnie tak, jak nam nakazał (1J 3,23). Zobaczmy! Najpierw się wierzy, potem dopiero można kochać. Przez wiarę idzie się do miłości! Sedno w tym, by odkryć, co znaczy „naprawdę uwierzyć”! Że to nie jest tylko akceptować wszystkie po kolei dogmaty, bo tak to i diabeł wierzy, i nic mu z tego nie przychodzi. „Uwierzyć” to zdolność wielkiego uporzenia się w obliczu Boga, który przez Jezusa Chrystusa powiedział nam, co jest prawdą; „uwierzyć” to jest zdolność przyjęcia tej prawdy, choćbyśmy musieli uznać, że cała nasza mądrość życiowa, nasze zasady życiowe, nasza „filozofia maćkowa” na co dzień są fałszywe. O wiele łatwiej jest wierzyć w abstrakcyjne dogmaty niż przyznać rację Jezusowi, gdy np. poucza, że kiedy ktoś zajdzie nam mocno za skórę, to nie mamy mu odpłacić tą samą monetą, ale mu wybaczyć, wziąć na siebie krzywdę, a nawet dać się ukrzyżować przez jego postawy, które nas niszczą. Do głowy nam nie przychodzi, że to też oznacza „wierzyć” Jezusowi. Dopiero gdy i w tych także praktycznych sprawach życiowych uznamy prawdę Jezusa, gdy Mu pokornie wyznamy, że choć tego nie rozumiemy, choć nie jesteśmy w stanie tak żyć, to jednak chcielibyśmy myśleć i postępować tak jak On, gdy Mu powiemy, że wierzymy w Jego moc nad nami, w to, że On nas może tak nawrócić, jak nawrócił kiedyś św. Pawła — dopiero

wtedy otworzą się w nas jakieś tajemne, do tej pory ukryte drzwi, którymi Jezus wejdzie w nasze życie nie tylko w teorii, ale w rzeczywistości. Wtedy może i w nas zacznie się realizować nowe spontaniczne życie chrześcijańskie, w którym Jezus jest krzewem winnym, a my Jego latoroślami.

Amen.

9 maja 1982 r.

### **Miłujcie się tak, jak Ja was umiłowałem.**

Dz 10,25.21.34-35.44-48

1J 4,7-10

J 15,9-11

W czytaniach biblijnych dzisiejszej niedzieli Bóg mówił nam o swojej miłości do nas oraz apelował o naszą miłość do bliźnich. *To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali tak jak Ja was umiłowałem* (J 15,12). Jezus mówi: To jest moje przykazanie... tak jakby właśnie ono, a nie co innego, było cechą specyficzną i wyróżniającą etykę Jezusa od wszystkich innych sposobów życia.

To nam się wydaje grubo przesadzone. Czyż miłość nie jest propagowana przez wiele innych systemów etycznych, które ludzie wymyślili? Więcej jeszcze: Czyż nie jest ona marzeniem i tęsknotą wszystkich ludzi? Czemuż bardziej my wszyscy pragniemy, jeżeli nie tego, by wreszcie nastał na ziemi taki ład społeczny, w którym wszyscy się nawzajem szanują i kochają? A jednak Jezus mówi: To jest moje przykazanie! W tym stwierdzeniu mieszczą się dwie sprawy. Najpierw, że miłość jest najgłębszą istotą religii Chrystusa; a po wtóre, że poza Jezusem prawdziwa miłość jest niemożliwa!

Zastanówmy się chwilę nad nimi. Miłość jest najgłębszą istotą religii Chrystusa. Skąd to płynie? Stąd, że chrześcijaństwo jest objawieniem i doświadczeniem takiej miłości Boga do nas, że z trudem tylko w to

wierzimy. W tym przejawia się miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale że On sam nas umiłował i posłał Syna swojego jako ofiarę przebłagalną za nasze grzechy (1 J 4,10). Wszyscy ludzie, bez wyjątku, obciążeni są dziedzictwem grzechu pierworodnego i dlatego od najwcześniejszych swoich lat żyją źle; źródeł swego szczęścia nie szukają w Bogu, ale gdzie indziej, stają się bałwochwalcami pieniądza, ludzkiego uznania, ludzkiej miłości. Boga w praktyce wszyscy odstawiamy na boczny tor. Samych siebie stawiamy na Jego miejsce. Dlatego jesteśmy nieprzyjaciółmi Boga, synami buntu, jak w Liście do Efezjan powie św. Paweł (zob. Ef 2,2). A jakie jest nasze normalne postępowanie względem tych, którzy w stosunku do nas są nieprzyjaciółmi? Nienawidzimy ich, zwalczamy, usiłujemy ich pognać albo w najlepszym razie nie chcemy mieć z nimi nic do czynienia. A jak postąpił Bóg z nami, kiedy byliśmy Jego nieprzyjaciółmi? Odpowiedział miłością! *W tym objawiła się miłość Boga ku nam, że zesłał Syna swego Jednorodzonego na świat, abyśmy życie mieli dzięki Niemu* (1 J 4,9). Św. Paweł w Liście do Rzymian wyrazi to jeszcze dobitniej: *Chrystus umarł za nas, gdyśmy jeszcze byli bezsilni, gdyśmy jeszcze byli grzesznikami* (zob. Rz 5,6.8). Bóg nas kocha nie dopiero wtedy, gdy jesteśmy grzeczni, pięknie nawróceni, pełni najlepszych postanowień nieobrażania Go więcej; Bóg nas kocha, gdy jesteśmy w grzechu, i jeszcze wtedy, gdy jesteśmy w grzechu, daje nam największy dowód swojej miłości: wydaje swego Syna na śmierć za nas, by nas pojednać ze sobą, tzn. by nas nawrócić, przekonać o naszym błędnym, wyzwolić z nieszczęścia, które grzech ze sobą niesie, uczynić szczęśliwymi. Ta zawrotna miłość Boga do grzeszników, czyli do swoich wrogów, jaśnieje pełnym blaskiem w krzyżu Jezusa. Jezus umierający na krzyżu, otoczony swoimi wrogami, którzy skazali Go na śmierć niesprawiedliwą, którzy teraz jeszcze śmieją się i drwią z Niego, nie przeklina ich, nie rzuca na nich gromów potępienia, ale modli się: *Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią* (por. Łk 23, 34). Jezus ich tłumaczy i usprawiedliwia. Taka miłość jest kamieniem węgielnym chrześcijaństwa. Dzięki tej miłości żyjemy jako chrześcijanie; dzięki niej otrzymaliśmy chrzest, dzięki niej ciągle na nowo Bóg nam przebacza nasze grzechy w sakramencie pokuty, dzięki niej możemy, kiedy tylko chcemy, przyjmować Go w komunii świętej, dzięki niej mamy wszyscy nadzieję znaleźć się po śmierci w niebie.

Czy dziwi nas jeszcze to, że taka miłość jest istotą chrześcijaństwa? Jego najważniejszym przykazaniem? Cechą wyróżniającą je od wszystkich innych religii, od wszystkich innych filozofii, od wszystkich innych humanizmów? Wszyscy ludzie wołają o miłość, wszyscy jej pragną,



wszyscy ją głoszą, ale nikt nie praktykuje na co dzień miłości nieprzyjaciół. A Jezus taką właśnie miłość ma na myśli, gdy mówi w dzisiejszej Ewangelii: *To jest moje przykazanie, abyscie się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowatem* (J 15,12). *Tak jak Ja was umiłowatem. A Ja was umiłowatem do śmierci, gdyżycie byli moimi wrogami* (por. Rz 5,8). Tak właśnie wy kochajcie waszych bliźnich, nawet wtedy lub przede wszystkim wtedy, gdy są waszymi wrogami. Taką miłością możecie ich uczynić swoimi przyjaciółmi, tzn. nawrócić ich, uczynić moimi uczniami, chrześcijanami.

Taka miłość jest niemożliwa poza Jezusem i bez Jezusa. Dlaczego? Bo ona zakłada zdolność umierania sobie. Żebyś np. mogła wytrwać przy twoim mężu, który z dnia na dzień okazuje się coraz większym egoistą, nie ma czasu na wysłuchanie twoich problemów, coraz częściej się upija, może nawet bije cię — żebyś mogła wytrwać przy takim typie, który jednoznacznie stał się wrogiem twojego spokojnego i szczęśliwego życia — musisz, siostró, umieć postawić krzyżyk nad twoim ideałem szczęścia, nad twoimi wyobrażeniami na temat życia, musisz umieć umierać sobie. żebyś mógł, bracie, kochać np. twojego kolegę w pracy, który uknuł przeciwko tobie intrygę, udaremnił twój awans lub przywłaszczył sobie owoce twojej pracy naukowej i opublikował je pod własnym nazwiskiem — żebyś mógł kochać taką kanalię — musisz być zdolny przekreślać swoją karierę, musisz umieć umierać sobie. Ale kto z nas jest tak głupi, żeby chciał umierać sobie? W czym innym może leżeć nasze szczęście i życie, jeśli nie w tym, że wszyscy mnie szanują, respektują moje słuszne prawa, nie podkładają mi kłód pod nogi, ułatwiają mi życie?! Przecież z tego nie można rezygnować! Otóż to! To właśnie takie rozumowanie odbiera nam zdolność miłowania, jak Jezus nas umiłowiał. Żebyśmy do takiej miłości stali się zdolni, w nas musi się przedtem coś zmienić. Jezus Chrystus zmartwychwstały musi przyjść do nas, musi nam przynieść w darze nowe doświadczenie życiowe. Musimy dzięki Jego bliskości doświadczyć, że prawdziwe życie to co innego, niż to, jak myśmy je sobie wyobrażali, że prawdziwe życie daje tylko Bóg; że zupełnie nam wystarcza to, że On nas akceptuje i kocha nawet w naszych słabościach, że On o nas dba jak najlepszy Ojciec. Może my już wiemy o tym teoretycznie, problem jednak jest w tym, żebyśmy tego doświadczyli, tak jak np. dwoje młodych doświadcza swojej pierwszej miłości i ona ich niesie spontanicznie, uzdalnia do ofiar i poświęceń. W nas musi dokonać się nie tylko w teorii, ale na płaszczyźnie najgłębszego doświadczenia religijnego owo wszczępienie w Jezusa, o któ-

rym mówiła Ewangelia z poprzedniej niedzieli. Ja w was, a wy we Mnie, jak latorośle w szczepie winnym (por. J 15,4-5). To jest dopiero baza, z której rodzi się etyka chrześcijańska ze swoim przykazaniem miłości. Bez tej bazy jest niemożliwe praktykować to przykazanie.

W pierwszej lekturze słyszeliśmy, jak do Kościoła Chrystusowego zostali wprowadzeni poganie. Zstąpił na nich Duch Święty, a Piotr ich ochrzcił. To właśnie ten Duch Święty sprawia w nas te wszystkie zmiany, On pozwala nam doświadczać bliskości Jezusa zmartwychwstałego, to On powoli przemeblowuje naszą mentalność, to On nas uzdalnia do nowej miłości. Tego Ducha Świętego w zarodku wszyscy otrzymaliśmy w momencie naszego chrztu. Módlmy się w czasie tej Eucharystii, by to nasienie naszego chrztu w nas ożyło, zaczęło się rozwijać, byśmy szli i owoc przynosili [owoc miłości] i by owoc nasz trwał (por. J 15,16).

Amen.

16 maja 1982 r.

## **Duch Święty Pocieszyciel będzie was prowadził.**

Dz 2,1-11

1 Kor 12,3b-1.12-13

J 20,19-23

Dzisiejsze święto Zesłania Ducha Świętego jest koniecznym dopełnieniem święta Paschy, zmartwychwstania Chrystusa. Gdyby Jezus Chrystus nie przysłał nam Ducha Świętego, Jego śmierć i zmartwychwstanie byłyby dziełem nie wykończonym, nie na wiele by się nam przydały. To byłoby tak, jak gdyby Bóg ulepił jeszcze raz człowieka, ale zapomniał tchnąć w niego życie. Pozostałby on na zawsze martwą figurą. Bez zesłania Ducha Świętego śmierć i zmartwychwstanie Jezusa byłyby Jego osobistą sprawą, a dla nas w najlepszym przypadku czymś sensoryjnym. Apostołowie, mimo że często objawiał im się Jezus zmartwychwstały, nie zmienili się ani o krztę. Są dalej nieśmiali, bojaźliwi, nie rozumiejący istoty Ewangelii. Jeszcze w dniu wniebowstąpienia stawiają Jezusowi pytanie, czy to nareszcie teraz nastąpi długo oczekiwany moment wolności politycznej dla Izraela. Bez przyścia Ducha Świętego chrześcijaństwo byłoby religią nie do zniesienia, byłoby ono jednym

wielkim prawem, którego nikt z nas nie jest w stanie wypełnić. Cała Dobra Nowina Ewangelii sprowadzałyby się do tego, że Jezus swoją śmiercią otworzył nam bramy nieba, do tej pory zamknięte przez nasz grzech, ale by się tam dostać, to już nasza sprawa. Musimy się w tym celu wysilać, dokładać wszelkich starań, by zachować Boże przykazania, i wtedy w nagrodę Bóg da nam niebo. Każdy z nas wie z własnego doświadczenia, jak nam te starania nie wychodzą, jak ciągle wpadamy w te same grzechy i jak w gruncie rzeczy chrześcijaństwo, gdybyśmy je mieli brać naprawdę konsekwentnie i dosłownie, jest dla nas ciężarem nie do uniesienia. Dzięki Bogu taki sposób pojmowania i przeżywania chrześcijaństwa jest fałszywy. Dzisiejsze święto przynosi nam inną, naprawdę dobrą nowinę. Życie chrześcijańskie jest nie tylko naszym dziełem, ono jest przede wszystkim dziełem Ducha Świętego. On, dany nam na chrzcie i bierzmowaniu, zaszczepia w naszych sercach owoce śmierci i zmartwychwstania Jezusa. To On przynosi nam, jak to słyszeliśmy w Ewangelii, odpuszczenie grzechów, nie tylko w sensie jurydycznym, ale i egzystencjalnym, to znaczy On nas uwalnia spod tyranii grzechu, który w dobrze nam znanej postaci egoizmu wleczę się za nami jak cień i jest nieodłączny od naszego życia, choćbyśmy nie wiem co robili, by się go pozbyć. To Duch Święty ma moc uwolnić nas od niego. Duch Święty przywraca naszemu życiu sens, radość, pokój, miłość; On daje nam za darmo to samo nowe życie Boże, które posiada Jezus zmartwychwstały. Choć to wszystko brzmi w naszych uszach jak wyświechtane, bez pokrycia słowa, to są fakty; to jest rzeczywistość, której pierwsi chrześcijanie doświadczyli na własnej skórze, to jest rzeczywistość, w której żyło tysiące kanonizowanych i anonimowych świętych we wszystkich epokach historii Kościoła. Tym nowym spontanicznym życiem jest możliwe żyć i dzisiaj. Dzisiejsze święto głosi nam tę możliwość, pragnie w nas wzbudzić pragnienie odkrycia tego nowego, pełnego i dojrzałego chrześcijaństwa, ono nas zaprasza, byśmy w nie weszli.

Amen.

30 maja 1982 r.

## Królestwo Boże podobne jest do ziarnka gorczycy.

Ez 17,22-24

2 Kor 5,6-10

Mk 4,26-34

W dzisiejszym słowie Bóg i do nas przemawiał w przypowieściach. Słuchaliśmy ich w Ewangelii i w pierwszym czytaniu. Homilia, czyli to, co pospolicie nazywamy kazaniem, będzie dziś ich objaśnieniem.

Fragment z Księgi proroka Ezechiela, który przed chwilą był przeczytany, powstał w takich oto okolicznościach. Na przełomie VII i VI w. przed Chr. Królestwo Judzkie było u kresu swego istnienia. Potężne Imperium Babilońskie uzależniło od siebie małe państwo żydowskie. Władca Babilonii usunął wybranego przez naród króla judzkiego, Jojakina, a na jego miejsce ustanowił Sedecjasza, osobę lepiej gwarantującą mu lojalność wobec siebie. Żydzi jednak, także pod tym nowym królem, ciągle myśleli o strząśnięciu z siebie jarzma babilońskiego i w tym celu namówili Sedecjasza, by szukał sprzymierzeńca w innym mocarstwie tamtych czasów, w Egipcie. Gdy Sedecjasz uległ tym podszeptom i wypowiedział posłuszeństwo władcy Babilonii, ten z wielką armią wszedł do Palestyny, zdobył ją, spalił wszystkie jej zabudowania ze wspaniałą świątynią włącznie, a króla judzkiego i kilka tysięcy znacznieszej i bardziej liczącej się ludności żydowskiej przeniósł do Babilonii. Tak zaczął się okres niewoli babilońskiej. Otóż o tych wydarzeniach prorok Ezechiel w siedemnastym rozdziale swojej Księgi mówi w przypowieści. Izrael został w niej porównany do wspaniałego cedru, a Babilonia i Egipt do dwóch orłów. Pierwszy orzeł, Babilonia, łamie mu wierzchołek i najlepsze gałęzie, tzn. zmienia mu według własnego uznania królów; do drugiego orła, do Egiptu, cedr sam wyciąga swoje ramiona, prosząc o pomoc. Prorok Ezechiel przepowiada za to zagładę cedrowi, jego całkowite wykorzenienie. Na tym tle jest dopiero zrozumiałe pierwsze dzisiejsze czytanie. Ezechiel mówi w nim, że Bóg zgadza się na zagładę polityczną Izraela, ale jednocześnie odłamuje z wierzchołka walącego się cedru małą niepozorną gałązkę, na nowo ją zasadza na górach izraelskich i obiecuje jej wspaniałą przyszłość; ona stanie się kiedyś wielkim drzewem, dającym cień i schronienie wszystkim istotom żywym na ziemi (zob. Ez 17,1-10.22-24). To jest obraz małej reszty Izraela, która

ocaleje z pogromu, zachowując to co najważniejsze: swoją wiarę w obietnicę Boga, swoją duchowość i głęboką pobożność, swoją tożsamość religijną. Do tej wybranej i pielęgnowanej przez Boga reszty należeć będzie pięć wieków później Maryja z Nazaretu, Jej mąż Józef, apostołowie. Z jej szeregów wyjdzie Jezus Chrystus i Jego Kościół.

Dzisiejsza Ewangelia mówi o spełnieniu się tego proroctwa. Jezus porównuje w niej siebie samego do ziarnka gorczycy, które jest najmniejszym z ziaren, tak małym jak ziarnko piasku lub koniuszek szpilki, ale roślina, która z niego wyrasta, jest bardzo dużym krzewem (zob. Mk 4,30-32). Tą wielką rośliną, która wyrosła z ziarna gorczycy, jest Kościół Jezusa Chrystusa, Jego Ciało mistyczne, przedłużenie Jego egzystencji na tej ziemi. Zatrzymajmy się przez chwilę nad tym przedziwnym faktem. Jezus Chrystus i organicznie z Nim związany Kościół święty — to Królestwo Boże w swojej doczesnej fazie. Jakże nikłe i niepozorne są jego początki! Po ludzku nie miało ono żadnych szans. Jezus, w którym ono przyszło z nieba na naszą ziemię, pozbawił się wszelkich ludzkich atutów: nie posiadał władzy politycznej, urodził się na prowincji wśród najuboższych, nie ukończył żadnych studiów, Jego uczniowie rekrutowali się z ciemnej, niewykształconej i ubogiej masy żydowskiej. Jego nauka zawierała wiele elementów bardzo trudnych. Jezus nie obiecywał nikomu złotych gór na tej ziemi, przeciwnie, zapowiadał swoim wyznawcom krzyże i prześladowania. Jego zaś żądania moralne były wyśrubowane ponad wszelkie ludzkie możliwości, np. małżeństwo bez rozwodów w epoce, w której nawet Żydom wolno się było rozwodzić, nie mówiąc już nic o Rzymianach, którzy w dziedzinie etyki małżeńskiej odznaczali się bezprzykładnym liberalizmem. Na przekór normalnemu ludzkiemu rozsądkowi Jezus głosił miłość do nieprzyjaciół i zasadę nieopierania się złu, to znaczy niebronienia swoich słusznym praw w obliczu przemocy naszego wroga. Przypieczeniem tego wszystkiego była śmierć Jezusa na krzyżu. Po ludzku powinna to być Jego ostateczna i definitywna klęska. W przypadku innych agitatorów religijnych w tym momencie wszystko się kończyło. Gamaliel, uczoney żydowski, w kilka lat po śmierci Jezusa tak argumentuje wobec Sanhedrynu zaniepokojonego tym, że jacyś tam apostołowie ukrzyżowanego Jezusa uporczywie i gorliwie głoszą Jego naukę i zdobywają dla niej coraz więcej zwolenników. Bo niedawno temu — są to słowa Gamaliela — wystąpił Teodas, podając się za kogoś niezwykłego. Przyłączyło się do niego około czterystu ludzi; został on zabity, a wszyscy jego zwolennicy zostali rozproszeni i ślad po nich zaginął. Potem podczas spisu ludności wystąpił Judasz Galilejczyk

i pociągnął lud za sobą. Zginął sam i wszyscy jego zwolennicy zostali rozproszeni (Dz 5, 36–37). Te słowa Gamaliela dobrze odzwierciedlają normalny bieg dziejów. Z Jezusem i Jego zwolennikami powinno się było stać tak samo. A jednak stało się zupełnie inaczej. Dlaczego? Bo tu w grę wszedł sam Bóg. A Boga nikt nie zwycięży. *Ja, Pan, rzekłem i to uczynię* — brzmiało ostatnie zdanie pierwszego dzisiejszego czytania (por. Ez 17,24). Dlatego Gamaliel dał swoim kolegom taką radę: *Odstąpcie od tych ludzi i puśćcie ich. Jeżeli bowiem od ludzi pochodzi ta myśl czy sprawa, rozpadnie się, a jeżeli rzeczywiście od Boga pochodzi, nie potraficie jej zniszczyć i może się z czasem okazać, że walczyście z Bogiem* (Dz 5,38n).

Tu tkwi sedno sprawy! Jezus i Jego Kościół są dziełem Boga. Oto dlaczego trwa zwycięski pochód Jezusa poprzez historię ludzką: Jezus ma setki milionów wyznawców na ziemi; w każdej epoce znajdują się tacy, którzy za Niego oddają swoje życie; krew męczenników rodzi Mu ciągle nowych wyznawców; kiedy na Kościół spadają momenty zmęczenia i osłabienia jego gorliwości, nie wiadomo skąd pojawiają się nowe siły i potężne moce, które go wewnętrznie odradzają i mobilizują do nowych zrywów. Takim momentem przebudzenia się był niedawny Sobór Watykański, a przejawami głębokiego odnowienia się Kościoła są m.in. takie zjawiska jak oazy, wspólnoty życia chrześcijańskiego, wspólnoty neokatechumenalne itd.

Dzisiejsza Ewangelia jest wiecznie aktualna. Także dziś ów krzew gorczyczny żyje i rozwija się, rozwija się swoją własną, Bożą mocą. Czy śpi, czy czuwa, we dnie i w nocy nasienie kiełkuje i rośnie... *Ziemia sama ze siebie wydaje plon, najpierw żdźbło, potem kłos, a potem pełne ziarno w kłosie* (Mk 4,27–28). Niech te słowa dodadzą dziś nam wszystkim otuchy, niech będą źródłem naszego optymizmu i nadziei, że Bożej sprawy nic nie zwycięży. Niech te słowa pomogą nam także w naszym osobistym życiu wewnętrznym. W każdym z nas od momentu naszego chrztu złożone zostało przez Boga ziarno wiary, ziarno zupełnie nowego życia, życia wiecznego, które może przeobrazić gruntownie naszą ludzką egzystencję: uczynić ją szczęśliwszą, pogodniejszą, przesyconą miłością. Bóg może stać się nam bliższy, konkretniejszy. To wszystko zawiera się w nasieniu naszego chrztu. Jeżeli na to bogactwo otworzymy się, jeżeli pragnąć będziemy jego urzeczywistnienia się w nas, jeżeli modlić się o to będziemy, jeżeli wierzyć będziemy, że Bóg ma moc ruszyć z posad nasze często martwe i jałowe życie chrześcijańskie, doświadczymy, jak nie

naszą mocą, ale mocą Boga ziarno gorczyczne naszego chrztu rozwinie się w potężny krzew naprawdę nowego życia.

Amen.

13 czerwca 1982 r.

### **Niech z nami idzie Bóg miłosierny i miłujący.**

Wj 34,4b-6.8-9

2 Kor 13,11-13

J 3,16-18

Liturgia słowa dzisiejszego święta pragnie nas wprowadzić w głębsze zrozumienie tajemnicy Trójcy Przenajświętszej. Nie chodzi tu o poznanie tylko intelektualne, ale o takie zrozumienie, które włącza nasze życie w nurt życia pulsującego w łonie samego Boga.

Zauważyliśmy wszyscy, że słowo Boże z dzisiejszych lektur nie bawi się w subtelne i zawiłe dociekania nad naturą Boga, to znaczy nad tym, jak to jest możliwe, by istniał tylko jeden Bóg, ale w trzech oddzielnych Osobach, z których każda jest Bogiem. Zamiast tego przedstawia nam ono fakt dokonany: tak jest! Tak się sprawy mają! Istnieje Bóg-Ojciec, istnieje Syn, istnieje Duch Święty. Każdy z tych trzech działa, interesuje się nami, prowadzi nas. Nie oznacza to jednak, że każde nam wierzyć na ślepo, wbrew wszelkiej oczywistości. Fragmenty Pisma Świętego, które przed chwilą słyszeliśmy, wskazują nam drogę, jedyną możliwą drogę, na jakiej ta wielka tajemnica może stać się dla nas choć trochę przejrzysta.

Pierwsza lektura z Księgi Wyjścia została napisana w czasach Starego Testamentu, kiedy to prawda o Trójcy Świętej nie była jeszcze wiadoma. Izrael wierzył w jedyne Boga, który odsłonił mu swoje święte Imię — Jahwe. Przypatrzmy się temu Bogu, jaki On jest! By lepiej zrozumieć wymowę pierwszego czytania, musimy je osadzić w szerszym kontekście. Izrael dopiero co wyszedł z Egiptu. Wydarzenie to było dla niego długim pasmem dobrodziejstw, które Bóg mu świadczył w sposób zupełnie darmowy: z ludu niewolników wyzyskiwanych przez Egipcjan stał się ludem wolnym, wspaniałe obietnice Boże otwierają przed nim przyszłość pełną nadziei, celem jego dalszej wędrówki jest Ziemia Obiecana, do

której zaprowadzi go sam Bóg; jego życie ma teraz sens i klarowną orientację. Tak hojnie obsypany łaskami Izrael znalazł się pod Synajem, gdzie właśnie rozgrywa się akcja dzisiejszej pierwszej lektury. Na Synaju Bóg koronuje swoje dobrodziejstwa Przymierzem: Izrael ma się stać Jego ludem, być na zawsze Jego specjalną i drogocenną własnością. To straszne, że właśnie w tym szczytowym momencie dopełnienia i uwieńczenia lud wyprowadzony z Egiptu opuszcza swojego Boga i czyni sobie boga według własnego widzimisię. Gdy Mojżesz przez czterdzieści dni przebywa na Synaju, by odebrać od Boga prawo zapewniające życie w szczęściu, Izrael odlewa sobie cielca z metalu, ogłasza go swym bogiem i oddaje mu cześć. Mojżesz, gdy zstępując z góry zobaczył to, tak był wstrząśnięty, że w gniewie i oburzeniu rozbił tablice z Dekalogiem. By opisać zaś reakcję Boga na taką postawę człowieka, Pismo Święte używa bardzo znamienego środka. Najpierw przedstawia gniew Boga, gniew tak wielki, że Bóg zamierza zniszczyć doszczętnie Izraela i na jego miejsce stworzyć sobie z Mojżesza nowy lud. Później jednak, słysząc modlitwę wstawienniczą Mojżesza, zmienia zdanie. Nie odrzuca, przebacza grzech, postanawia nadal współtworzyć z Izraelem historię zbawienia. Nakazuje Mojżeszowi drugi raz wejść na górę z kamiennymi tablicami, na których On sam jeszcze raz wypisze prawo życia. Wtedy to właśnie Mojżesz zdumiony tym, że Bóg nawet w takiej sytuacji potrafi i chce przebaczać, wypowiada słowa, które słyszeliśmy w pierwszym czytaniu: *Pan! Pan Bóg miłosierny i litościwy, cierpliwy, bogaty w łaskę i wierność!* (por. Wj 34,6). A z jego ust wyrywa się modlitwa: *Jeśli łaskawy jesteś dla mnie, Panie, [to proszę] niech pójdzie Pan w pośrodku nas. Jest to wprowadzić lud o twardym karku, ale przebaczysz winy nasze i grzechy nasze i uczynisz nas swoim dziedzictwem* (Wj 34,9).

Dlaczego Bóg najpierw się gniewa, chce niszczyć, a później, postępując jakby wbrew sobie, przebacza? Jak już zasugerowane było wyżej, jest to chwyt, którym posługuje się Biblia, by nam wyjaśnić dwie sprawy: najpierw to, że grzech, który popełniamy, jest czymś naprawdę strasznym; grzech sam z siebie rujnuje, niszczy szczęście i życie; i nie dzieje się grzesznikowi żadna niesprawiedliwość, gdy ta śmierć rzeczywiście na niego spada, gdy Bóg to zniszczenie dopuszcza. Na tle tego tym bardziej niesamowita jest ta druga sprawa, o której Pismo Święte mówi: Bóg robi rzecz niemożliwą, wyciąga do człowieka rękę i wyprowadza go z dna przepaści; okazuje się względem nas miłosierny i cierpliwy, bogaty w łaskę i wierność! Nadal zadaje się z nami, jest i idzie pośrodku nas,



przebacza nam winy i czyni nas swoim dziedzictwem, mimo że jesteśmy ludem o twardym karku.

Dlaczego tę lekturę czyta się w uroczystość Trójcy Świętej? Dlatego, by nam mocno wbić w głowę, że naturą i istotą Boga jest miłość, tylko miłość i jeszcze raz miłość! Miłość zawrotna i bez granic! Miłość niewyczerpana! Miłość zaś nie może istnieć tam, gdzie jest się samotnym i nie istnieje nikt, kogo można by kochać. Miłość wymaga do swego istnienia obecności jakiejś drugiej osoby. Dlatego też i Bóg, będący Miłością, nie jest wielkim samotnikiem! Jest wspólnotą, czyli Trójcą! Z Jego natury, którą jest miłość, wypływa odrębność Osób Boskich, które się kochają. Dlatego to Bóg–Ojciec w otchłaniach swojego niezgłębionego Bóstwa rodzi Osobę Syna; dlatego to więź miłości, która ich łączy, jest też Osobą — Duchem Świętym.

Dzisiejsze lektury biblijne, choć wskazują nam drogę, na jakiej trochę można wniknąć w niewysłowioną tajemnicę Trójcy, chcą powiedzieć jeszcze co innego. Ta sama przepastna miłość, która z Boga czyni Trójcę, skłania Go do wyjścia na zewnątrz siebie, tzn. do stworzenia świata i człowieka i do objęcia nas swoją miłością. W miłości Trójcy Świętej znajduje swoje wyjaśnienie zagadka naszego istnienia. Dzięki niej istniejemy, dzięki niej i my także mamy wypisaną w sercu miłość, chcemy w niej żyć, pragniemy kochać i być kochani, odczuwamy w sobie potrzebę życia w małżeństwie i w rodzinie. Nawiasem zaznaczmy, że właśnie tam, w rodzinie, w troistości trzech oddzielnych podmiotów miłości: mężczyzny, kobiety i dzieci oraz w ich wzajemnej jedności, odnajdujemy ziemski daleki refleks tajemnicy Boga — jedyne w Trójcy Świętej.

Jest jednak jeszcze coś więcej! Gdyśmy przez grzech zerwali więź z Bogiem, czyli z Miłością, i zamienili się w egoistów, gdyśmy wtrącili naszą egzystencję w samotność, rozpacz, gdyśmy z naszego świata zrobili świat wilków walczących o miejsce dla siebie i niszczących się nawzajem — miłość nie pozwoliła Bogu patrzeć obojętnie na nasze cierpienie, ale popchnęła Go do rozpoczęcia owej zdumiewającej historii zbawienia, której fragment przedstawiło nam pierwsze dzisiejsze czytanie, a której punkt kulminacyjny opisany jest w Ewangelii. *Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne* (J 3,16). Nie aby potępić świat, Bóg posłał swego Syna, ale by go ratować, zbawić. Znamy przebieg tej historii —

wcielenie Syna Bożego, Jego śmierć i zmartwychwstanie, zesłanie Ducha Świętego, który leczy nas, przekonuje nas wewnętrznie o miłości Boga i miłość tę w naszych sercach rozlewa.

Może nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak głęboko tajemnica Trójcy Świętej, czyli tajemnica Bożej miłości, wpisuje się w naszą naturę i egzystencję. Cała historia zbawienia zmierza do wprowadzenia nas na powrót w życie Trójcy Świętej, czyli w miłość, w prawdziwą, autentyczną miłość. Dlatego drugie czytanie mówi — i słowa te niech będą zarazem życzeniem skierowanym, na zakończenie tej homilii, do nas wszystkich: *Łaska Pana Jezusa Chrystusa, miłość Boga i dar jedności w Duchu Świętym niech będą z wami wszystkimi* (2 Kor 13,13).

Amen.

17 czerwca 1984 r.

### **Nie samym chlebem żyje człowiek.**

Pwt 8,2-3.14b-16a

1 Kor 10,16-17

J 6,51-58

Z bogatej treści zawartej w dzisiejszych lekturach mszalnych zwróćmy uwagę na dwie sprawy. Pierwsza dotyczy pytania — jak czcić Eucharystię. Czczymy ją np. przyklękając przed tabernakulum, modląc się przed nim. W dniu dzisiejszym cześć naszą w sposób specjalny okazujemy obnosząc Jezusa ukrytego pod postacią chleba w uroczystych procesjach po ulicach naszego miasta. Jednak o tym wszystkim dzisiejsze lektury nie mówią ani słowa. Mowa w nich jest tylko o spożywaniu, o jedzeniu i piciu. To jest najważniejsza i przez długie wieki historii Kościoła jedyna forma oddawania czci Eucharystii. Jest to całkiem logiczne: Jezus nie został z nami pod postaciami złota czy drogich kamieni, ale pod postaciami chleba i wina, które z natury swojej muszą być spożyte. Jednak ta najważniejsza forma czci u ogromnej liczby praktykujących katolików w ogóle nie istnieje. Wystarczy zobaczyć to, co dzieje się po naszych kościołach w czasie zwyczajnej niedzielnej mszy. Małeńki procent obecnych przystępuje do stołu Pańskiego, cała reszta nie rusza się ze swych miejsc. Zachowują się oni jak ludzie zaproszeni przez kogoś

na obiad; zaproszenie to przyjęli, poszli; najpierw rozmawiają z gospodarzem domu, gdy jednak przychodzi pora siadania do stołu, mówią: „Nie! Dziękuję! Nie będę jadł!” Nie zdziwilibyśmy się, gdyby pan domu rzucił im pytanie: „To po coś w ogóle przyszedł? Przecież zaprosiłem cię na jedzenie! Nie zdajesz sobie sprawy z nonsensu twojego zachowania?!” W podobnie absurdalny sposób zachowują się wszyscy ci, którzy przychodzą na mszę, ale nie przystępują do komunii. Wejdźmy dzisiaj w siebie i zapytajmy się, o ile to i nas dotyczy, dlaczego tak właściwie jest? Może nie istnieją żadne rzeczywiste przeszkody. U większości w grę wchodzi inne przyczyny: fałszywe przekonanie, że nie można mieć na sumieniu najłżejszego grzechu, nieodróżnianie grzechów ciężkich od lekkich, niechęć do spowiedzi, gdy czasami jest ona przed komunią potrzebna, a najczęściej chyba: letniość życia chrześcijańskiego.

W tym momencie dotykamy drugiej sprawy bardzo mocno podkreślonej w dzisiejszych czytaniach. Komunię świętą spożywa się po to, by mieć w sobie życie wieczne, tzn. by rozwijać w sobie to nowe życie, które otrzymaliśmy na chrzcie, by wychodzić w ten sposób z letniości. Księga Powtórzonego Prawa idzie po tej samej linii. Mowa w niej jest o mannie, którą Bóg karmił Izraela na pustyni. Manna była zapowiedzią Eucharystii. A nasze życie jest wędrówaniem przez pustynię wielką i straszną, pełną węzów jadowitych i skorpionów (por. Pwt 8,15). Myślę, że obraz ten dobrze oddaje rzeczywistość życia większości z nas. Cierpimy, walczymy, szamoczymy się; jakże częste są chwile, w których nam się wydaje, że życie nasze jest puste i upływa bez sensu. Manna, czyli Eucharystia, uczy nas, że nie samym tylko chlebem żyje człowiek, ale wszystkim, co pochodzi z ust Boga (por. Pwt 8,3). Te słowa oznaczają, że człowiek nie jest stworzony dla chleba, to znaczy po to, by usłać sobie na tej ziemi wygodne gniazdo, by żyć w nim bez problemów. Życia i szczęścia nie znajdziemy w małżeństwie czy w rodzinie, w karierze, w ukończonych studiach, w posiadaniu pieniędzy. To nas nie nasyci. Zostaliśmy tak przez Boga stworzeni, że naszym wypełnieniem, sensem i szczęściem może być tylko Bóg i wszystko to, co z Jego ust wychodzi. A z ust Bożych wychodzi słowo, to słowo, które Bóg przez wieki kierował do nas przez proroków, przez Jezusa Chrystusa i Jego apostołów, a które dziś mamy zawarte w Piśmie Świętym. Słowem, które wychodzi z ust Boga, są także fakty naszego życia, wszystkie jego wydarzenia, również te, które powodują nasze cierpienia i czynią naszą egzystencję ciężką i nieznośną. Tym słowem faktów Bóg nas wychowuje, usiłuje odwrócić od życia bezsensownego, by odkryć przed nami życie

prawdziwe. A życie prawdziwe, to znaleźć Boga, rozkochać się w Nim i w Jego woli, odkryć w Nim smak i radość wszystkich codziennych rzeczy. Eucharystia uczy nas takiego życia, prowadzi nas do niego. Eucharystia jest bowiem udziałem w Ciele i Krwi Chrystusa, tego Chrystusa, który umarł i zmartwychwstał dla nas, który jest Panem, wszystko może i wszystko potrafi, który nas kocha i który ma moc zmienić nasze życie.

Amen.

*21 czerwca 1984 r.*